Ochotniczka

PISMO P.S.K.

ROK III MAJ, 1945 r. NR 5 (20)

Zygmunt Turkiewicz: Czyszczenie lufy

ZASADY IDEOWE P. S. K.

1. Podstawą ideową Pomocniczej Służby Kobiet jest praca dla dobra Rzeczypospolitej w ramach organizacji Armii Polskiej.
   P. S. K. wywodzi się z chlubnej tradycji udziału kobiet polskich w walce o Niepodległość Ojczyzny.
2. Ochotniczka P.S.K. jest żołnierzem służby czynnej. Jako żołnierz Armii Polskiej bierze udział w wojnie przeciw barbarzyństwu o wolność Ojczyzny i pełne prawa człowieka.
3. Gdziekolwiek postawi ją rozkaz Dowódcy, ochotniczka spełni swój żołnierski obowiązek. Wszystkie rodzaje pracy są ważne i wykonywane być muszą karnie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności.
4. Ochotniczka P. S. K. postępuje według zasad moralności chrześcijańskiej.
5. Ochotniczka P.S.K. strzeże honoru swego munduru, pamiętając, że swoim zachowaniem urabia opinię o kobiecie polskiej wśród obcych narodów.
6. Postawa zewnętrzna ochotnicki P.S.K. jest wyrazem jej postawy wewnętrznej.
7. Z pracy P.S.K. na obczyźnie ochotniczka musi przynieść Państwu Polskiemu te wartości, które dadzą jej prawo stanąć w szeregu tych, którzy budować będą Nową Polskę.

18. V. 1944 — 18. V. 1945

W pierwszą rocznicę zwycięskiej bitwy 2 Korpusu o Monte Cassino

Za pośrednictwem „Ochotniczki" śle Pani wszystkim moim Kochanym Ochotniczkom z głębi serca płynące pozdrowienie

18.5.1945.

Władysław Anders

(fot. Hrynkiewicz

Dowódca 2 Korpusu gen. Zygmunt Bohusz-Szyszko

GENEZA P. S. K.
NA TERENIE Z. S. R. R.

Było to jednego z pierwszych dni mojego pobytu w Moskwie. Wojskowa Misja Polska, na czele której stałem, nie miała jeszcze osobnego lokalu. Urzędowaliśmy w dwóch pokojach w hotelu Inturista, przeznaczonym dla cudzoziemskich dyplomatów. Przyjmowaliśmy tam pierwszych interesantów Polaków, nielicznych jeszcze, przybywających z więzień moskiewskich. Od nich dowiadywaliśmy się nazwisk uwięzionych w Moskwie i poza Moskwą naszych obywateli i kolegów. Mieliśmy wówczas bardzo skąpe wiadomości o liczbie wywiezionej z Polski do Sowietów ludności. Wiedzieliśmy jednak, że liczba ta znacznie przekraczała milion.

Sprawą, która nas przede wszystkim absorbowała — było zorganizowanie silnej i licznej Armii Polskiej. Siłą faktu więc, zarówno podczas wszystkich rozmów wstępnych w Londynie, jak i w pierwszych dniach naszej obecności w Moskwie, cały nasz wysiłek skierowany był ku temu, by zwolnić z więzienia i powołać do pracy przede wszystkim tych wyższych dowódców i oficerów, o których wiedzieliśmy, że na pewno znajdują się w Sowietach. Zagadnienie ludności cywilnej, kobiet i dzieci, aczkolwiek niemniej ważne i palące, było mniej dostępne naszym wpływom, gdyż w zasadzie miało ono stanowić zakres pracy bezpośredniego zainteresowania Ambasady R. P., której wówczas jeszcze w Moskwie nie było. Od pierwszej jednak chwili w liczbie zgłaszających się do nas ludzi znaleźli się również ci, którzy z wojskiem nie mieli nic wspólnego, lecz byli naszymi obywatelami i bezsprzecznie posiadali prawo do natychmiastowej pomocy i opieki z naszej strony.

W pewnym momencie stanęła przede mną postać szczupłej, wynędzniałej, nad wyraz ubogo ubranej kobiety. Była to pani Władysława Piechowska. Była pierwszą kobietą zwolnioną w Moskwie z więzienia sowieckiego. Jej obecność sama przez się postawiła przed nami natychmiast sprawę setek tysięcy kobiet i dzieci polskich, bardziej od mężczyzn potrzebujących pomocy i ratunku. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ich położenie jest stokroć trudniejsze i gorsze od losu mężczyzn. Znalezienie odpowiedniej formy niesienia im pomocy było niełatwe, nie posiadaliśmy bowiem ani dostatecznych środków pieniężnych, ani też środków materialnych jak odzież i żywność. Zdobycie tych środków w Rosji Sowieckiej było możliwe w jednej formie, t.zn. jako racje i umundurowanie żołnierskie. Wolny rynek nie istniał, sklepy były puste, a magazyny państwowe sowieckie były dla nas kompletnie niedostępne. Mechanika rozmów z przedstawicielami władz sowieckich była niezwykle przewlekła i długotrwała. Każde postanowienie czy decyzyja mieszanej Komisji polsko-sowieckiej musiała być zatwierdzona przez Kreml, który tak był zaabsorbowany wypadkami wojennymi, że nie mógł albo nie chciał naszych spraw załatwiać szybko. Trzeba było więc szukać innych dróg, krótszych i bardziej radykalnych.

Po naradzie z Generałem Andersem, przyszliśmy do przekonania, że jedynie i wyłącznie w płaszczyznie wojskowej możemy znaleźć rozwiązanie tej sprawy. Umowa wojskowa z Sowietami nie przewidywała wprawdzie powołania do wojska naszych kobiet, lecz niektóre paragrafy umowy dawały możliwość interpretacji dość luźnej i dowolnej i mogły być przez nas odpowiednio wykorzystane. Postanowiliśmy wykorzystać te możliwości i ratować taką ilość kobiet i dzieci, na jaką warunki pozwolą. Zdecydowaliśmy się przeprowadzić powołanie kobiet do wojska polskiego na równi z mężczyznami, a młodzież ściągnąć do ośrodków i ewentualnie szkół junackich. W projekcie rozporządzenia o poborze i zaciągu ochotniczym do W. P. na terenie Z. S. R. R. znalazł się więc również paragraf określający wiek i inne warunki dla naszych kobiet.

Gdy projekt tego rozporządzenia został doręczony przewodniczącemu komisji gen. Panfilolowi, ten ostatni żywo zaprotestował. — Przepraszam — powiedział — umowa wojskowa nic o kobietach nie wspomina — my tego paragrafu przyjąć nie możemy.

Był przy tym wyraźnie zaskoczony treścią tego naszego żądania.

Generał Anders z całym spokojem i przekonaniem zareplikował natychmiast:

— Myli się pan. Paragraf o poborze kobiet i zaciągu ochotniczym jest całkowicie zgodny zarówno z treścią jak i duchem zawartej umowy. Wszak umowa nigdzie nie określa, że tylko mężczyźni podlegają obowiązkowi służby wojskowej — mowa jest w ogóle o obywatelach polskich, a przecież kobiety są również naszymi obywatelkami. Zresztą, zarówno u was w Związku Sowieckim jak i w Polsce, zagadnienie to jest uregulowane ustawą o powszechnym obowiązku wojskowym. Jest obojętnie, którą ustawę przyjmiemy za podstawę do naszej dyskusji, naszą polską czy też waszą sowiecką, gdyż żadna z nich nie robi wyjątku dla kobiet i przewiduje dla nich na równi z mężczyznami obowiązek służby wojskowej w czasie wojny. Różnice są tylko w formalnościach, a to przecież nie ma istotnego znaczenia. Że tak jest właśnie a nie inaczej, świadczy niezbicie fakt dobrze panu generałowi znany, że w szeregach czerwonej armii służy w obecnej chwili bardzo duża liczba kobiet. Są one zatrudnione nie tylko w instytucjach, czy też w urzędach tyłowych, lecz nawet w pierwszej linii. Proszę spojrzeć na ten numer „Czerwonej Gwiazdy". Umieszczono tu fotografię, waszej dzielnej telefonistki wojskowej, która pod ogniem ciężkiej artylerii, będąc ranna, nie przerwała swej pracy. Czy sądzi pan, że pozbawienie naszych kobiet prawa do udziału w walce, którą z takim wysiłkiem i z tak wielką ofiarą krwi i życia toczy cały naród, byłoby słuszne i sprawiedliwe?

Mówiąc to, Anders podsunął Panfilolowi numer zawczasu przygotowanej gazety.

— To prawda — rzekł po chwili wahania Panfilow — ale wy jesteście obecnie w innym położeniu. Dla zorganizowania wojska macie mężczyzn więcej niż potrzeba, więc po co jeszcze powoływać kobiety?

— W niektórych działach służby mężczyźni nie są w stanie zastąpić kobiet — odpowiedział Anders — pracy siostry szpitalnej żaden mężczyzna nie wykona tak jak kobieta. A zresztą odsunięcie kobiet od współpracy w wysiłku zbrojnym byłoby sprzeczne z naszym ustawodawstwem i zasadniczym poglądem waszego ustroju na prawa i obowiązki kobiety.

Ten ostatni argument ostatecznie przekonał delegata sowieckiego i paragraf rozporządzenia dotyczący kobiet został w całości przyjęty.

— A ile kobiet chcecie zmobilizować? — zapytał dalej Panfilow.

— Trudno mi dać panu ścisłą odpowiedź, gdyż absolutnie nie wiem, ile jest tu w Sowietach naszych kobiet zdolnych do służby wojskowej, ile z nich zgłosi się, oraz w jakich rozmiarach będziemy mogli rozbudować nasze szpitalnictwo i inne służby. Sądzę, że ustalenie dokładnej liczby może być odłożone na później.

Na tym stanęło. Sprawa formowania P.S.K. została w zasadzie przyjęta przez władze sowieckie i uzyskaliśmy w ten sposób możliwość nie tylko okazania doraźnej pomocy naszym kobietom, lecz również ratowania od zagłady całych rodzin.

Warunki, jakie zaistniały wówczas na terenie Związku Sowieckiego, były w pełnym tego słowa znaczeniu niezwykłe. Front sowiecki gwałtownie przesunął się w kierunku Leningradu, Moskwy i Kijowa. Kilkanaście milionów uchodźców wszystkimi drogami i wszelkimi środkami komunikacyjnymi wędrowało z zachodu do środkowych połaci kraju. Wiązania gmachu państwowego zaczęły chwiać się i trzeszczeć. Władze N.K.W.D., tak świetnie panujące dotąd nad życiem sowieckim, nie mogły opanować olbrzymiej wędrówki narodów i nie mogły sobie dać rady z gwałtownie narastającymi zjawiskami. Wielu przestawicieli tej władzy, szczególnie w dalekich, trudno dostępnych okręgach północnych i wschodnich, nie orientowało się już zupełnie w przebiegu wypadków i położeniu. Ale każdy z nich zachował w swej duszy i umyśle bezwzględny szacunek i ślepe posłuszeństwo wobec każdego rozkazu zwierzchniej władzy, lub pisma urzędowego. Było to nam bardzo na rękę. Niezwłocznie poszły w świat telegramy, wysyłane bądź przez Polską Misję Wojskową, bądź też przez zapoczątkowany wówczas Sztab Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R., wzywające do wojska tych wszystkich mężczyzn i kobiety, których nazwiska i adresy stały się nam już znane. Wezwania te w większości wypadków odnosiły pożądany skutek, a nieznaczny dopisek: „Z rodziną"—pozwalał na wywiezienie z okręgów polarnych, z tajg i bezbrzeży turn syberyjskich setek i tysięcy kobiet i starców. Bardzo wiele z nich wyrwane zostały straszliwemu losowi w przede dniu ostatecznej ich zagłady. Zaczęły więc jechać transporty ze wszystkich stron Rosji, do tych miejsc, gdzie formowało się nasze wojsko. Dokoła obozów wojskowych zaczęły się tworzyć drugie obozy złożone z rodzin i ludności cywilnej. Żołnierz polski chętnie dzielił się swą głodową racją z bliźnimi, bo dobrze znał warunki, z których ci ludzie przybyli. Przeszedł sam niedolę, przebył na własnym przykładzie wszystkie udręki.

We wszystkich oddziałach wojska stworzone zostały ośrodki kobiece. Ustalona została nazwa „Pomocnicza Służba Kobiet", określono zakres pracy, obowiązków i praw.

Zrodziła się w ten sposób ta część Polskiej Siły Zbrojnej, która tak dzielnie przetrwała okres pobytu w Sowietach, która ratowała z narażeniem życia żołnierzy polskich podczas epidemii tyfusu, która dzieliła z nim trudy pracy wojskowej w żarze pustyni irackiej i która niosła ulgę żołnierzowi rannemu na polach bitewnych Italii.

Najtrudniejszą sprawą w pierwszych dniach powstania P.S.K. było wydobywanie kobiet, które należały w Polsce do Z.W.Z., i które wskutek tego otoczone były specjalną podejrzliwością i nieufnością władz sowieckich. Wiele z nich, tak jak i mężczyzn zresztą, nie zostało objętych prawem „amnestii". Trzymano je nadal w więzieniu i starano się skrzętnie ukryć ich nazwiska i miejsce uwięzienia przed naszą penetracją. Starano się często wmówić nam, że

Pierwsze ochotniczki w ZSRR

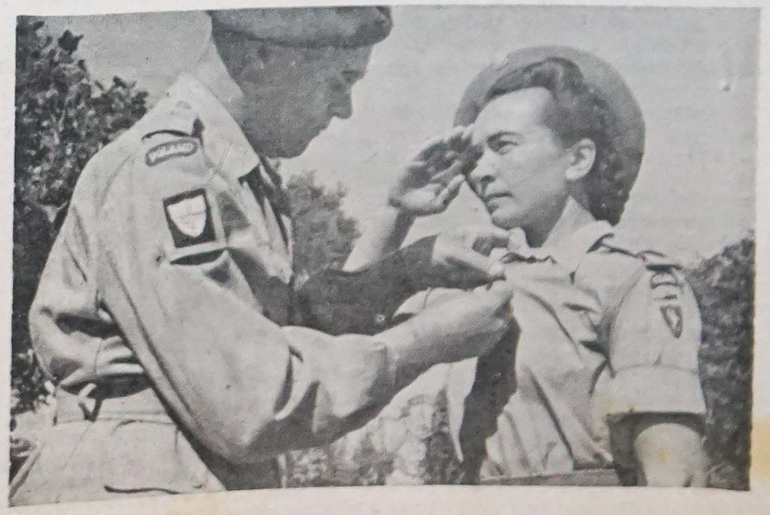

Dekoracja ochotniczki Krzyżem Walecznych (fot. Szumalisk

Bronisława Wysłouchowa Inspektorka Główna P.S.K.

są to osoby, które współdziałały z Niemcami, że są one dla naszej sprawy szkodliwe i że w naszym właśnie interesie polskim jest, by nadal pozostały w więzieniu. Tak było np. z późniejszą inspektorką P.S.K. panią Bronisławą Wysłouchową. Gdy dotarła do nas wiadomość, że jest ona uwięziona w Moskwie, gen. Anders niezwłocznie wystąpił z żądaniem natychmiastowego jej uwolnienia. Przedstawiciel N.K.W.D., do którego żądanie to było zwrócone, był wyraźnie speszony i niezadowolony z tego iż znane nam jest miejsce uwięzienia pani Wysłouchowej.

— A wy wiecie, za co ona siedzi? — zapytał ponuro.

— Wiemy. Za to samo, za co i inni siedzieli.

— No, nie — ona knuła spisek przeciwko Związkowi Sowieckiemu, należała do tajnej organizacji, a więc znaczy współdziałała z Niemcami.

— Wcale to nie znaczy, że współdziałała z Niemcami — odrzekł generał Anders. Jest to wierutna bujda, a zresztą, jaki tam spisek może knuć kobieta.

— Wy jej nie znacie. Po co wam ta wredna baba — lepiej zostawcie ją u nas.

Mimo tej przekonuwującej perswazji, nie zostawiliśmy jej w więzieniu sowieckim.

Tak, lub podobnie działo się z wieloma innymi kobietami.

Niestety, wiele tysięcy nazwisk nie zostało ujawnionych. Wiele dziesiątków tysięcy kobiet musiało pozostać na wygnaniu, w obozach i w więzieniach. Bezbrzeżny obszar ziemi sowieckiej umie strzec swych straszliwych tajemnic. Tylko ręka Boska może pozwoli w przyszłości uratować tych wszystkich naszych bliskich, którzy dotąd tam pozostają.

Z. Bchusz-Szyszko

ŚWIETLICZARSKIE SERCA — KANTYNIARSKIE RĘCE

Za najszczerszą i najgłębszą podstawę pracy świetliczarsko-kantyniarskiej w Armii Polskiej należałoby uznać jedno z rozwiązań problemu: co może wnieść kobieta w wojnę? Problem jest niesłychanie szeroki i wielostronny. Ale pomijając zagadnienie fachowe, zagadnienie materialnego zużycia każdych ludzkich sił w walce o to, co dla nas jest święte i sprawiedliwe, otworzył się przed nami, które znalazłyśmy się w obozach Wojska Polskiego w Rosji, nowy zupełnie odcinek możliwości służby nie opartej na żadnej tradycji poprzedniej praktyki.

Perspektywę tego nowego odcinka otworzyła przed nami rzeczywistość życia żołnierza polskiego w ZSRR, człowieka straszliwie doświadczonego przez los, który przygotował się do długiej, krwawej walki o to, co stracił. Wszyscy chcieliśmy służyć jednemu celowi; mężczyźni, walcząc z bronią w ręku — kobiety, pomagając i służąc tym, którzy walczą.

Jedna była tylko utorowana już droga pomocniczej pracy kobiet — w sanitariacie, w opiekowaniu się i służeniu chorym żołnierzom.

W niesłychanie, moralnie i materialnie ciężkich warunkach obozów wojskowych było zadaniem ważnym i trudnym otoczenie również i zdrowego żołnierza zorganizowaną troską i opieką, stworzenie mu namiastki tych rzeczy, których mu tak bardzo było brak, danie mu choć odrobiny odprężenia i uśmiechu, przemycając przy tym pewne zagadnienia wychowawcze, z jakimi chcieli go zetknąć jego dowódcy. Wydawało się to tym bardziej trudne, że jedyną kwalifikacją tych przyszłych świetliczarek była serdeczna, gorąca chęć służenia. Ich zasoby intelektualne, czy ich znajomość zasad służby wojskowej wymagały bowiem dość gruntownej reedukacji i zasadniczego wyszkolenia. Dwuletni wysiłek w ZSRR nie tylko w walce o mizerny byt, ale o zachowanie przy życiu najbliższych i siebie, odsuwał na ostatni plan te wszystkie potrzeby kulturalne, które zaspakajało się w Polsce bezwiednie, czy to przez szkołę, czy przez bieg życia rodzinnego i społecznego. Ten stan rzeczy powodował pewnego rodzaju zastój umysłowy, z czego na ogół wszystkie zdawały sobie sprawę. Pierwszym więc zadaniem było jak najprędzej wydostać się z bierności umysłowej i przygotować się do służby w wojsku.

Te niełatwe zadania spełniały krótkie 3-4 tygodniowe kursy kulturalno-oświatowe, zorganizowane dla nowo przybywających. Kursy takie poza tym, że porządkowały i uzupełniały wiadomości świetliczarek, że przygotowywały niezgrane jeszcze w pracy drużyny do zespołowego myślenia i działania — obejmowały nadto zasady organizacji pracy świetlicowej oraz treść zagadnień, z jakimi należało zetknąć żołnierza w świetlicy.

I tak nowo kreowane świetliczarki, wyposażone w wiadomości nabyte na kursie, oraz w wiele zapału i projektów, zgrupowane w 4-5 osobowe zespoły szły do zasypanych śniegiem pułków i batalionów, by tam tworzyć świetlice dla żołnierzy. Marzyły się tym ochotniczkom jasne, ciepłe, zadomowione sale, w których można by było rozwinąć pracę nacechowaną swobodą koleżeńskiego współżycia, samorzutnością projektów i ich wykonania, w których by się czuło, jak we wspólnym domu.

A tymczasem praca w ówczesnych warunkach nie była w żadnej mierze zbliżona do tych marzeń. Mróz dochodził do 60 stopni C., małe, niemożliwe do ogrzania salki świetlicowe, albo namioty zakrzepłe w śniegu mogły pomieścić stosunkowo niedużą liczbę żołnierzy. Wcześnie zapadający zmrok, przy braku światła ograniczał czas otwarcia świetlicy, więc zziębnięty, źle ubrany żołnierz często wolał po ćwiczeniach biec do swego jako tako ogrzanego namiotu, niż do izby świetlicowej, gdzie nierzadko na stojąco, w tłoku trzeba się było wsłuchiwać przez ogarniającą senność w treść pogadanek, inscenizacji, czy recytacji.

Jeżeli w tych warunkach udało się świetliczarkom opracować z grupą żołnierzy „Jasełka", jeżeli zorganizowały się amatorskie zespoły muzyczne, jeżeli odgrywano obrazki sceniczne, napisane przez zdolnych żołnierzy — było to w dużej mierze osiągnięciem świetliczarek.

Mijały miesiące. Po mrozach Buzułuka, Tocka i Tatiszczewa, przyszło słońce Uzbekistanu. Praca świetliczarska szła dalej i rozwijała się. Po tym trudnym okresie stawiania pierwszych kroków, prawie zupełnie po omacku wykorzystywało się wszystkie wolne godziny i dnie na dalsze zawodowe dokształcanie świetliczarek. Równolegle z pracą odbywały się dalsze kursy i wykłady, które poruszały zagadnienia takie, jak rola kobiety w wojsku dawniej i dziś, charakterystyka środowisk, z jakich rekrutują się żołnierze naszej Armii, analiza doświadczeń przeżytych w więzieniach i obozach sowieckich. Chodziło o to, aby wniknąć w przeszłość i chwilę obecną, aby wyraźnie uprzytomnić sobie drogę właściwego postępowania jednostek i zbiorowości. Na wykładach tych były także omawiane cele, formy, metody i programy pracy kulturalno — oświatowej, oraz praktyczne zajęcia artystyczne, których wyrazem były później wieczornice świetlicowe dla żołnierzy.

Każdy z pułków czy batalionów miał przydzielony zespół świetliczarek. Zdobyte umiejętności dawały im większą śmiałość w podejmowaniu inicjatywy i urzeczywistnianiu zamierzeń. W pojęciu niejednego żołnierza ochotniczka bywała już kolegą, o tyle lepszym, że umiała cierpliwie słuchać wywnętrzeń i rozważań na temat przeżyć dawnych i obecnych.

Ten tok pracy został przerwany niespodziewanym rozkazem ewakuacji jak największej ilości ochotniczek do Iranu. Wskutek tego w jednej z dywizji podjęto pracę świetlicową już nie w zespołach przydzielanych na stałe do oddziałów, ale w czołówkach świetlicowych złożonych z 10-12 świetliczarek. Czołówki te w ustalonej kolejności objeżdżały oddziały dywizji z opracowanym uprzednio programem w myśl wytycznych otrzymanych z Referatu Kulturalno-Oświatowego.

Praca w tej postaci miała te dobre strony, że programy przygotowane pod fachowym kierownictwem zyskiwały na jakości, dobór materiału był ułatwiony, a przy dostatecznej liczbie czołówek żołnierze w oddziałach mogli mieć stale nowy program świetlicowy.

Były jednak i minusy: odpadał moment zżywania się zespołu świetliczarek z oddziałem w dłuższym codziennym współdziałaniu, nie było też możliwe wciąganie żołnierzy do czynnego udziału w programie świetlicowym. Ponadto ciągłe przejazdy z garnizonu do garnizonu, a tym samym stała „bezdomność", nadwyrężała wytrzymałość świetliczarek. Działo się to bowiem w upalnych miesiącach lata, przy nagminnie panującej malarii. Bywało tak, że niejedna artystka świetliczarka w imię dbałości o całość programu śpiewała, tańczyła, deklamowała — z 39 stopniami gorączki. Programy ówczesnych czołówek, z których jeden poświęcony był lotnictwu, inny lotnictwu i polskiej marynarce, jeszcze inny życiu w Kraju pod okupacją — miały bez wątpienia swą wartość wychowawczą i atrakcyjną, na co wskazywała dowodnie żywa reakcja żołnierzy. Jednak wzmiankowane powyżej ujemne strony tej pracy spowodowały, że zespoły świetliczarskie z powrotem przydzielono do oddziałów na stałe.

Koncert w świetlicy (rys. K. Domańskiej)

Do tej, już odtąd prawdziwie świetlicowej pracy ochotniczek w oddziałach, przyszedł inny czynnik z chwilą, gdy wojsko polskie znalazło się na terenie Iraku. Po oddziałach zaczęto otwierać sklepiki żołnierskie i świetlicowe zapoczątkowały w jednonamiotowych pomieszczeniach skromniutkie kantyny z gorącą kawą, kakao, ciastkami. Wytargowywało się coraz więcej namiotów na te kantyny-świetlice. Zniknęła tamta z ZSRR., zmora głodu, chłodu i ciemności. Dowódcy dokładali starań, żeby lokale świetlic były możliwie obszerne. Jeżeli nie starczyło namiotów, budowano szopy. Dekorowane wspólnymi siłami ochotniczek i żołnierzy kantyny — świetlice stawały się naprawdę „Domami Żołnierza". Wieczorami, płynące stamtąd światła, śpiew i gwar rozmów były drogowskazem, gdzie szukać odprężenia i uśmiechu w koleżeńskim gronie.

Nie było podziału na kantyniarki i świetliczarki; wszystkie pełniły jedną i drugą funkcję pod kierownictwem starszej zespołu. W pracy tej kantyniarki i świetliczarki otrzymały duże uprawnienia: powierzono im prowadzenie świetlic, sklepików i kantyn, a w niektórych oddziałach prowadziły hurtownie i dokonywały zakupów hurtowych. Okazane zaufanie pobudzało inicjatywę, nikt więc nie liczył się z siłami i czasem, byle sprostać zadaniu.

Sklepiki funcjonowały w godzinach przed i popołudniowych, a kantyny łącznie z świetlicą w godzinach przedwieczornych i wieczornych. Jeżeli się do tego doda, że w przerwach między godzinami pracy trzeba było przygotować program świetlicowy, a raz na tydzień wieczór artystyczny, i że w batalionie było 5 ochotniczek, a w kompanii 3 — jasne jest, że dzień świetliczarki — kantyniarki był wypełniony po brzegi.

Prócz tego musiały świetliczarki pracować nad sobą. Odbywały się bowiem kursy prowadzenia sklepików i kantyn, wykłady na tematy polityczno-społeczne, przeglądy prasy polskiej i obcej, a nadto stale powtarzające się zebrania na tematy pracy świetlicowej.

Horyzont pracy rozszerzał się z tygodnia na tydzień. Świetliczarki — kantyniarki wrastały w życie oddziałów, zdobywając sobie zaufanie, szacunek i przyjaźń żołnierzy. Kiedy wiosną już wyszkolone, wyposażone i uzbrojone ruszyły na wielogodzinne, a czasem kilkudniowe ćwiczenia, kantyny były już tak istotną częścią oddziału, że postanowiły na pożyczonych skądś wozach powędrować za żołnierzami. Z początku dziwiono się temu, nawet czasem wzruszano ramionami, ale kto napił się chłodnej lemoniady na krótkim postoju w irackie południe, albo pokrzepił się doskonałymi kanapkami, nabierał natychmiast przekonania do przedsiębiorczości upartych kantyniarek.

Mimo tak pomyślnego rozwoju pracy, na ogół bardzo dobrze ocenianej i szanowanej, na horyzoncie zaczęły się jednak zgęszczać coraz groźniejsze chmury. W związku bowiem z dokonaną reorganizacją armii według etatów angielskich, okazało się, że nie ma tam miejsca na jakieś świetliczarsko-kantyniarskie oddziały w ogóle, a już na kobiece w szczególności. Zaczęły chodzić naprzód mgliste, a potem coraz wyraźniejsze słu-

Pierwsze kantyny na pustyni irackiej 1943 (fot. Mainak)

chy, że wszystkie kompanie dywizyjne świetliczarsko — kantyniarskie zostaną rozwiązane i wycofane z Korpusu do Bazy, do O. Z. K.

Było rzeczą jasną zarówno dla Dowódcy Korpusu, dla Inspektorki Głównej, jak i dla nas samych, że takie rozwiązanie sprawy prowadziło nie tylko do zmarnowania już stworzonego dorobku pracy i doświadczenia, ale także do zablokowania użytecznej i potrzebnej placówki pracy kobiety-żołnierza. Ponieważ jednak w organizacyjnych ramach angielskich nie można było pomieścić kompanii, czy plutonów kobiecych w Dywizjach, należało jakoś zmodyfikować organizację pracy świetliczarsko — kantyniarskiej, przystosowując ją do potrzeb i warunków Korpusu. Przede wszystkim trzeba było wywalczyć dla tego projektu prawo istnienia.

Słowo „wywalczyć" jest w pełni uzasadnione, bo trudno opisać, ile wysiłku, ile odbytych konferencji, odpraw i wyjazdów kosztowało Inspektorkę Główną stworzenie tego nowego typu pracy kantyniarskiej. Doprowadziła jednak swoje zamiary do skutku. Dnia 23 czerwca 1943 roku rozkazem D-cy A. P. W. gen. Andersa została powołana do życia Kompania Kantyn Polowych i Bibliotek Ruchomych, która po kilkumiesięcznym szkoleniu w Iraku i Palestynie, znalazła się wraz z oddziałami Korpusu na terenie włoskiego teatru wojny.

Organizacja i zasady pracy zostały gruntownie zmienione wskutek diametralnie innych warunków. Kiedy dawniej dywizyjna kompania świetliczarsko - kantyniarska liczyła przeciętnie około 120 ochotniczek, to w nowej organizacji dla obsługi Dywizji były przewidziane trzy zespoły kantyniarskie, czyli 12 kantyniarek, będących jednocześnie kierowczyniami swoich wozów — nie przerobionych jednak na kantyny. Chociaż to była bardzo zasadnicza trudność, znalazły się jeszcze inne trudności, niemniej poważne: brak sprzętu do uruchomienia kantyn i nieprzygotowany fachowo personel Wysuniętego Składu Hurtowego i Drużyny Rozdzielczej NAAFI.

To wszystko nie przeszkodziło puszczeniu maszyny kantyniarskiej w szybkim bardzo czasie w ruch, z początku ze zgrzytami co prawda, ale były to znowu pierwsze kroki, a jak wiadomo za każde nowe doświadczenia trzeba słono płacić.

Ktoś może się zdziwi, czytając określenia: „pierwsze kroki" i „nowe doświadczenia" — i zapyta, co się stało z doświadczeniami dwuletniej pracy świetliczarsko-kantyniarskiej w Dywizjach? Nie będzie jednak przesady, jeżeli powiemy, że między tamtą pracą kompanii dywizyjnych, czy plutonów brygadowych, a pracą Kompanii Kantyn we Włoszech jest tylko jedna wspólna więź: żeby otoczyć żołnierza bez względu na to, czy jest w warunkach walki, czy odpoczynku — zorganizowaną kantyniarską opieką. I wtedy — w Rosji, czy w Iraku — i teraz we Włoszech wiedziałyśmy wszystkie, że wartość naszej pracy polega nie tylko na tym, co i w jakich ilościach damy do skonsumowania żołnierzowi, ale w równym stopniu i na tym, jak i w jakiej atmosferze będzie to podane. Zrozumiałyśmy, że do wyposażenia kantyniarskiego jest tak samo potrzebny sprzęt i towar, jak życzliwość uśmiechu, słowa, oraz nieudawana uprzejmość.

Poza tą wspólną intencją, cała organizacja pracy zmieniła się zupełnie. Nie było już dowódców, którzy dbaliby o to, żeby ich oddziałowa kantyna była obszerna, wygodna, ładna i zaopatrzona we wszystko. Kantyny, umieszczane przy najbardziej uczęszczanych szosach i węzłach drogowych, obsługiwały poza żołnierzami oddziałów, zakwaterowanych w tym samym m. p., nie tylko pojedyńczych przejezdnych, ale i całe kolumny. A tu dosłownie wszystko, co było potrzebne w kantynie — od stołów i krzeseł począwszy, a na każdym garnku, czy szklance skończywszy — trzeba było sobie wywalczyć i zdobyć. Dawne wypraktykowane świetliczarskie przymioty należało pomnożyć o nową umiejętność dostosowaną do warunków: o kantyniarską zaradność. Nie wiadomo skąd zdobyte firanki, abażury, obrusiki i trochę kwiatów zmieniały ciemne, ponure lokale w przytulne kąty. Musiały znaleźć się garnki, talerze i stoły, przyszła też z czasem rutyna szybkiej i sprawnej pracy, a życzliwość uśmiechu i serdeczność żołnierskiego „dziękuję" była nie tylko zapłatą, ale i bodźcem do największego wysiłku.

Na jeszcze bardziej odległy tor od dywizyjnego świetliczarstwa prowadziło zadanie powierzone dziesięciu ochotniczkom, stanowiącym drużynę rozdzielczą i obsługę Wysuniętego Składu Hurtowego. Sześć z nich pobierało towar z NAAFI na cały Korpus i rozdzielało ten towar na 200 oddziałów według sporządzonego przez nie rodzielnika, wystawiało rachunki i przeprowadzało wydawanie bądź na swoim m. p., bądź na punktach żywnościowych. Pozostałe zaopatrywały kantyny w towar egipski i towar pobierany ze Składnic Zaop. Przy ciężkiej, kilkunastogodzinnej na dobę pracy, kiedy za każde nowe doświadczenie trzeba było płacić naprawieniem własnego błędu, nie brakło tym zaimprowizowanym magazynierkom świetliczarskiej fantazji. Prozaiczne sprawy związane z wydawaniem towaru były załatwiane... w poetyckiej formie (patrz: „Ochotniczka" Nr 11: „Czysta poezja").

Kiedy jednak po dwóch miesiącach z rozkazu Korpusu rozdział NAAFI został przekazany czynnikom angielskim, dochód wykazany po zamknięciu pozwolił zwrócić dług zaciągnięty na pierwszy kapitał zakładowy i stworzyć nowy kapitał obrotowy Hurtowni Kantyn.

Słodkie bułki i placki własnego wypieku (fot. Hrynkiewicz)

Ten pierwszy okres pracy Kompanii Kantyn we Włoszech pozwolił dawnym świetliczarkom przyswoić sobie metodę pracy w nowym, rozszerzonym zakresie, zdobyć rutynę i doświadczenie, a co najważniejsze przekonać się i uwierzyć, że nikt już nie odnosi się sceptycznie do użyteczności i wartości ich służby.

Nową i bardzo piękną kartą pracy kantyniarek był okres, kiedy Korpus poszedł do swej pierwszej wielkiej bitwy na terenie Europy — pod Monte Cassino.

Cztery zespoły kantynowe zostały przydzielone rozkazem Kwatermistrza Korpusu na punkty przeładunkowe dla rannych i do Sanitarnych Ośrodków Ewakuacyjnych celem obsługi rannych. Jeżeli przedstawi się liczbowe dane, które mówią, że za okres bitwy o Monte Cassino cztery zespoły kantynowe obsłużyły wszystkich rannych Korpusu i wydały 17 tysięcy porcji na sumę około pół miliona lirów, to takie zestawienie da bardzo powierzchowny i jednostronny probież wartości tej pracy. Zespół czterech ochotniczek pracował na zmianę przez 24 godziny na dobę, karmiąc i pojąc napływających rannych, obmywając ich, rozdziewając z zakurzonych, przepoconych strzępów munduru, otaczając ich opieką w tym czasie, kiedy nieliczny personel GPO, czy Ośr. Ewak. mógł się zajmować tylko koniecznymi zabiegami. Jeden z zespołów pracował 3 tygodnie na GPO w Aquafondata pod ogniem artylerii niemieckiej. Razem z lekarzami i sanitariuszami, bo sióstr PCK nie ma na tak wysuniętych punktach, przyjmowały kantyniarki tego zespołu cały napływ rannych ze wszystkich wysuniętych punktów Opatrunkowych. O tym, jak została oceniona praca kantyniarek świadczą podziękowania komendantów Ośrodków Ewak. GPO. Oto jedno z nich:

„W czasie akcji frontowych był przy 5 Sanitarnym Ośrodku Ewak. czynny zespół kantyniarski 318 KKP pod komendą sierż. Broniatowskiej Krystyny.

Zespół ten wyróżnił się pracowitością, niestrudzoną chęcią niesienia ulgi rannym i dawał dowody przykładnego ducha samarytańskiego".

Komendant Ośrodka
(—) Dr Sikora Ppłk Lek.

Niezależnie jednak od akcji opieki nad rannymi, Kompania Kantyn kontynuowała pracę dla walczących oddziałów. 5 Kantyn (w toku pracy kompanii z rezerwy kierowczyń stworzono dziewiąty zespół, pracowało bądź jako kantyny stałe, bądź ruchome, dojeżdżając do pozycji artyleryjskich.

Kantyna przy 3 D. S. K., poza pracą normalną, w otwartej dla przejezdnych kantynie przez cały okres bitwy o Monte Cassino zaopatrywała według sporządzonego przez siebie rozdzielnika wszystkie oddziały Dywizji, w świeże owoce, jarzyny, pieczywo i artykuły toaletowe. Owoce i jarzyny zakupowała kierowniczka zespołu i dostarczała do żywności, dowożonej na mułach żołnierzom na stanowiska. Dowódca Dywizji w podziękowaniu zespołowej kantynie nr. 8 podkreślił, że dzięki wytężonej pracy tego zespołu możliwe było polepszenie i urozmaicenie strawy walczącemu żołnierzowi, a co

Kantyna nazywa się „Lwów" (fot. Paduch)

ważniejsze, żołnierz widział, że się o niego troszczy i dba.

Zespół przy 5 K. D. P. miał stały punkt kantynowy w Aquafondata przy stanowiskach polskiej i angielskiej artylerii, obsługując artylerzystów i duże ilości przejezdnych. Dowoził poza tym na wozie kantynowym oddziałom, do których można było dojechać, pieczywo, ciastka, kanapki, napoje, oraz inne artykuły.

Trzeci punkt stały był uruchomiony w Wenafro przy Dowództwie Kompanii Kantyn dla stacjonujących tam oddziałów i przejezdnych żołnierzy. Dwa zespoły funkcjonowały jako kantyny ruchome na zaadaptowanych wozach, jeżdżąc do oddziałów pozadywizyjnych, zaopatrzonych w to wszystko, co można było dostać w stałej kantynie.

Kiedy zwycięski Korpus schodził ze zdobytych gór, wszystkie kantyny zostały z powrotem ściągnięte do oddziałów. Cały wysiłek Kompanii Kantyn i Składu Hurtowego poszedł w kierunku jak najbardziej urozmaiconego zaopatrzenia żołnierza zmęczonego krwawą bitwą, i zapewnienia mu w kantynie-świetlicy możliwie najlepszych warunków odprężenia w czasie krótkiego odpoczynku. Dwom ochotniczkom Składu Hurtowego powierzonego zadanie zaopatrywania kantyn, a także bezpośrednio oddziałów w artykuły z wolnego rynku. Jeżdżąc do często odległych miasteczek włoskich, skupowały tysiące kilogramów owoców, jarzyn, orzechów, nawet wędlin.

Kantyny rozmieszczone na terenie Korpusu zmieniły swój charakter w tym okresie. W czasie akcji chodziło przede wszystkim o nakarmienie żołnierza, teraz trzeba mu było stworzyć możliwie najmilsze warunki odpoczynku i rozrywki. Wśród drzew, na łąkach pod wysoko rozpiętymi płachtami brezentowymi rozbrzmiewały wrzawą, śmiechem, śpiewem i muzyką kantyny, w których przesiadywali żołnierze przez cały bez mała dzień. Pojawiały się wtedy wymyślne domowe sałatki, francuskie ciastka, a nawet torty wypiekane nie wiadomo gdzie i kiedy, a witane przez żołnierzy ze zrozumiałym entuzjazmem. Jeżeli praca na punktach opatrunkowych zadzieżgnęła między kantyniarką a żołnierzem węzły serdecznego koleżeństwa, to krótki okres wypoczynku utrwalił je mocno.

W tym okresie jedna z ochotniczek ze Składu Hurtowego zorganizowała nową pomoc dla pracy w kantynie: ciastkarnię, wypiekającą dziennie około

W nowym wozie-kantynie

4000 ciastek, rozprowadzanych wyłącznie po kantynach.

Zupełnie nowe warunki, a wraz z nimi i konieczność nowych zmian, przyniósł pierwszy okres nadadriatyckiej akcji: okres pościgu. Był to okres podwójnie trudny dla kantyn: stanęły one bowiem po raz pierwszy przed koniecznością zmiany m. p. co drugi, trzeci dzień, ponadto zostawiły na czas dwóch przeszło tygodni piekarnię i składnicę, tak daleko w tyle za sobą, że nie było żadnych możliwości skontaktowania się. Okres ten należałoby nazwać okresem próby w wykazywaniu inicjatywy i przedsiębiorczości. Nie było drogi, którą nie poszłaby kantyniarka, żeby zapewnić swoim chłopcom słodkie bułki i placki. Tu wyprosiła kilka worków mąki, tam pożyczyła cukier i tłuszcz, a że komendant piekarni zgodził się na wypiek, więc mogły dowozić świeże słodkie pieczywo do oddziałów, zatrzymujących się na krótkie postoje. Z tych jednak trudności wynikało, że w okresie akcji kantyny, nie mogąc ze względów operacyjnych pozostawać w oddziałach, powinny mieć swoje bazy w dywizyjnych czy brygadowych Kompaniach Zaop., gdyż wtedy mają nie tylko możność utrzymywania stałego kontaktu z magazynami i piekarniami, ale mogą również zaopatrywać oddziały, dojeżdżając do nich, albo jeśli to niemożliwe — wydawać im towar i pieczywo według rozdzielnika przez punkty żywnościowe.

Kiedy oddziały Korpusu nawiązały kontakt z nieprzyjacielem, po pierwszych krwawych starciach znowu zapełniły się rannymi punkty opatrunkowe i przeładunkowe dla rannych. Kompania Kantyn wróciła do samarytańskiej pracy, organizując siedem punktów pomocy rannym żołnierzom w pięciu GPO, w 6 Szpitalu Ewak. oraz na lotnisku, skąd odbywała się ewakuacja rannych do szpitali na południu Włoch.

D-two Kompanii Kantyn, nie rezygnując z obsługiwania walczących oddziałów, sięgnęło do wszystkich swych rezerw, stworzyło jeszcze dwa zespoły i w ten sposób przy zdwojonym wysiłku mogła Kompania Kantyn otoczyć opieką zarówno walczących jak i rannych. Kantyny pracujące dla oddziałów, bez względu na wydłużone linie zaopatrzenia i bezustanny ruch naprzód, regularnie zaopatrywały bijące się oddziały, a poza tym wykorzystywały każdy moment odwodu oddziału, żeby przyjechać na kilka godzin z ruchomą kantyną.

Z wysiłkiem zespołów kantynowych był zsynchronizowany wysiłek ochotniczek ze Składu Hurtowego. Ochotniczki te prowadziły wtedy na szeroką skalę zakup owoców i jarzyn, zorganizowały produkcję wody sodowej i oranżady, a w końcu sierpnia utworzyły masarnię, skąd wydawało się dziennie 150 kg. wędlin.

W chwili zejścia Korpusu na odpoczynek uruchomiono 11 kantyn. Ponieważ w czasie odpoczynku oddziały były rozmieszczone na dużej przestrzeni, kantyny musiały funkcjonować równocześnie jako stałe i ruchome, aby móc równomiernie zaopatrywać wszystkie oddziały, niezależnie od ich oddalenia. Frekwencja w tym okresie była bardzo duża, ale dzięki zwiększonemu wypiekowi pieczywa i ciastek (7000 dziennie), działalności masarni i zakupom na wolnym rynku — kantyny mogły sprostać zadaniu.

W październiku, kiedy oddziały Korpusu znów weszły do akcji, Kompania Kantyn stanęła przed nowym problemem. Linie zaopatrzenia ze względów terenowych i operacyjnych wydłużyły się do stu kilkudziesięciu mil, co przy ograniczonych środkach przewozowych Kompanii było trudnością nie do pokonania. Wobec tego D-two Kompanii zorganizowało na dwóch osiach marszu Korpusu wysunięte placówki zaopatrujące, do których co drugi dzień dowożono wozami kompanijnymi pieczywo, towar i owoce, a wysunięte placówki z kolei zaopatrywały kantyny, które były z oddziałami. Praca była trudna, wozy odbywały ciężką dwustu-milową trasę po to, żeby wczesnym rankiem następnego dnia znowu ruszyć w drogę. Dzięki jednak ich wysiłkowi, praca kantyn nie rwała się i mogła iść normalnym trybem.

W ciągu następnych miesięcy stworzono jeszcze dwa nowe zespoły kantynowe. W chwili obecnej pracuje na terenie Korpusu 13 Kantyn, które zależnie od warunków, w jakich znajduje się obsługiwany przez nie oddział, są bądź kantynami — świetlicami, „domami żołnierza", bądź kantynami ruchomymi, bądź placówkami zaopatrującymi oddziały w pieczywo, ciastka, papierosy i artykuły toaletowe. Oczywiście jedno nie wyklucza drugiego. Te same kantyniarki, które rano zjawiają się z wozem kantynowym w oddziale, można zobaczyć pod wieczór za ladą gwarnej, ruchliwej świetlicy — kantyny, a jutro znowu na wysuniętym punkcie żywnościowym, przeładowujące z wozu kantynowego na wóz gospodarczy któregoś z batalionów swoje kantynowe skarby. Dziś wiedzą kantyniarki, że w każdych warunkach mogą zapewnić żołnierzowi swoją opiekę — byleby było dość wozów do rozwożenia. Roczne doświadczenia kantyniarskiej pracy w walczącym Korpusie pozwoliły poznać i zrozumieć wartość, treść i metodę pracy. Kantyniarki żyją w rytmie wojska. Nabrały pewności i śmiałości w zakresie powierzonej im służby. A kiedy obejrzą się za siebie, ogarnia je miłe wzruszenie związane ze stawianiem pierwszych kroków kantyniarskich.

Daleka jest droga od świetlicy oddziałowej w ZSRR do kantyny polowej we Włoszech. I różnie też bywało na tej drodze. Trzeba ją było wyznaczyć, nieraz odkryć, przebić, wreszcie budować. Trzeba było wspinać się, przedzierać przez przeszkody. Bywało też, że nagle urywała się droga. Światłem, które wskazywało kierunek, mostem, który pozwolił przejść dalej, była pionierska wiara i zrozumienie, że świetliczarskie serca i kantyniarskie ręce potrafią serdecznie, życzliwie i rozumnie służyć koledze - żołnierzowi.

Stefania Łomnicka

DO GENERAŁA ANDERSA

Jakże mi dzisiaj wiersze pisać, Generale?

Aby przekrzyczeć pieśnią dziejową zawieruchę,
by słowem wstrząsnąć świat,
skłębiony w dzikim szale,
trzeba mieć głos, jak grzmot
i trzeba płonąć duchem
i mowę mieć,
co zgłoski piorunem ryje w skale...

Trzeba móc krzesać skry
myślą o serca krzemień,
— myślą, która porówni prorocza jest i święta —
i w żaglu wielkich natchnień
wiatr dobrych uczyć odmienień
i niczym słup ognisty — wskazywać bród w odmętach...

Taki — i tylko taki — ma prawo dziś być wiersz!

A ja, mój Generale, ja przecież jestem świerszcz...

...Umiałam skrzypieć na łące złotej ku sianożęci
i zrębów malinowych słoneczność wielbić płową.
W pogodzie się — jak świerszcze —
kochałam bez pamięci,
z pogody się i ciszy rodziło moje słowo...

Jakże mi brząkać dziś
— gdy oto potop huczy —
o ścierni usypianej letnich gwiazd dygotem,
czy o tęsknym klangorze, żurawianych kluczy?
Kto dzisiaj w to uwierzy
i co komu po tym?

Gdy nowe światy wstają
a stare w gruzach giną
na inną pieśń — zaiste — nie ma dziś miejsca wcale,
jak ta,
którą na wietrze,
wysoko nad Cassino
szumiał skrwawionym skrzydłem
nasz sztandar — Generale!

Londyn, październik 1944 r.

Beata Obertyńska

DOBRA ŁĄCZNOŚĆ
TO POŁOWA ZWYCIĘSTWA

„Dobra łączność, to połowa zwycięstwa, zła łączność to klęska". Słowa te wypowiedział wielki Wódz, który walczył przez lat dziesiątki w najtrudniejszych warunkach, który wojnę znał we wszystkich jej przejawach, a przeżywszy gorycze i radości, słów tych na pewno na wiatr nie rzucił. W losie historycznych bitew, decydujących o istnieniu narodów, wiadomość podana w porę może zmienić bieg wypadków. Każda armia rozbudowuje więc swoją łączność, wybiera i szkoli bez przerwy najlepszy, najinteligentniejszy element i zazdrośnie strzeże swoich tajemnic. Bo łączność, to nie tylko wiadomości zewsząd i o wszystkim — to pieczęć milczenia na ustach.

Służba kobiety w łączności datuje się od chwili powstania Armii Polskiej w Z.S.R.R. Jednak początki miały charakter dorywczy, niemal nawet przypadkowy. Po prostu ochotniczka, która w Polsce ukończyła jakiś kurs radioamatorski, lub pracowała jako telefonistka na poczcie, zgłaszała swoje kwalifikacje i otrzymywała przydział do łączności. Jak wszędzie, tak i tu początkowo kandydatki spotykały się z niedowierzaniem, z bagatelizującym traktowaniem pracy, której się miały podjąć. Lecz okres ten trwał bardzo krótko. I tu, jak wszędzie później, ochotniczki przekonały sceptyków o szczerości swego powołania, gorliwości i inteligencji w wykonywaniu swych zadań. Dowiodły, że choć może wyszkolenie ich w danej chwili nie odpowiada stawianym wymaganiom, są one jednak elementem, z którym się liczyć należy, bo liczyć się warto. Już w początku listopada 1941 r. pracowały w Baonie łączności jednej z Dywizji dwie wykwalifikowane telefonistki i jedna radiotelegrafistka. Praca „nieetatowa" sięga września 1941 r.

Dążność Dowództwa do zastąpienia na pewnych odcinkach pracy męskiej — pracą kobiet, znalazła swój wyraz i tutaj. Próba wypadła dobrze. Pierwszy przedwstępny egzamin zdawały ochotniczki bez przygotowania. Należało teraz przystąpić do szkolenia i do egzaminów dalszych. Już w tym wczesnym okresie rozpoczyna się więc planowe szkolenie ochotniczek P.S.K. W kilku oddziałach i miejscowościach organizowano wielomiesięczne kursy telefonistek, które jednak, mimo najlepszych chęci i pracy uczennic i wykładowców, nie mogły dać pełni wyszkolenia, a tym mniej potrzebnej rutyny. Brak najprymitywniejszych urządzeń i aparatów do szkolenia, chłód i głód jako zasadnicze czynniki życia, nie dziwią nikogo, kto przeżył i pamięta te czasy w Z.S.R.R., kiedy wojsko nasze po wodnistej zupce, z takim zapałem ćwiczyło... drewnianą bronią. Chęć i zapał nie mogły zastąpić wszystkiego.

Radosna chwila wyjazdu z Rosji przerwała w połowie rozpoczęte szkolenie. Nie na długo jednak. Pracę podjęto natychmiast po przybyciu pierwszych transportów na teren Środkowego Wschodu. Już w lipcu 1942 r. powstaje kurs telefonistek w Rehowoth w Palestynie, na który uczęszczało 24 ochotniczki. Po przybyciu wszystkich wojsk na Środkowy Wschód, akcja szkolenia postępowała szybko naprzód. W Iraku zorganizowano w Qisil — Ribat kurs łączności zakrojony na wielką skalę. Kurs ten, który rozpoczął się 13 listopada 1942 r. z obsadą 80 kandydatek, zespolił istniejące już kursy, aby przygotować zastęp pracownic na wymaganym nowoczesnym poziomie. Podzielono je na trzy grupy: 1) telefonistki, 2) telegrafistki, 3) radiotelegrafistki. Szkolenie przewidziano dla zaawansowanych, to jest tych, które z pracą tą już się zetknęły bądź w oddziałach bądź na kursach poprzednich, czy też wcześniej w „cywilu". Materiał naukowy był duży, gdyż trzymano się słusznej zasady, że nie ilość, lecz jakość decydować powinny. Fachowi instruktorzy i wykładowcy uczyli obchodzenia się z nieznanym, spotykanym po raz pierwszy sprzętem angielskim, zapoznawali z zasadami urządzeń całej aparatury radiowej. Warunki zewnętrzne były doskonałe, o „głodzie i chłodzie" już dawno zapomniano. Była właśnie zima, więc nie dokuczał tropikalny upał. Kurs zakończono uroczyście w dniu 30 marca 1943 r. całkowitym sukcesem. Część absolwentek wcielono do Baonu Łączności z Korpusu, część przeszła do Etapowego Baonu Łączności, przemianowanego na Kompanię Łączności, składającą się przeważnie z ochotniczek. Tam, poza pracą codzienną na sieci radio, kontynuowało się pracę dalszego szkolenia i specjalizacji. W projekcie było otworzenie kursu dalekopisów; z kompanii przydzielało się również przeszkolone szyfrantki do Oddziałów.

Niemal natychmiast po przyjeździe wojska z Iraku na nowe m.p. do Palestyny, rozpoczął się we wrześniu 1943 r. w Kompanii Łączności w Rehowoth kurs radiotelegrafistek. Poza wiadomościami fachowymi, zastosowano cenzus naukowy, wysyłając na kurs ochotniczki z wykształceniem przynajmniej z zakresu 4 klas gimnazjum. Kurs obejmował przedmioty ściśle związane z radiem jak elektrotechnika, radiotechnika, aparatoznawstwo, odbiór i nadawanie znaków Morse'a i td. i td. Poza tym wprowadzono obowiązkowe lekcje języka angielskiego z uwagi na przyszłą współpracę z łącznością wojsk alianckich. Po sześciu tygodniach kursu, większość ochotniczek osiągnęła wysokie tempo odbioru, te zaś, które nie mogły podołać wymaganiom, zrezygnowały z dalszego szkolenia i wróciły do Kompanii jako telefonistki. W listopadzie rozpoczęto już pracę na sieciach ćwiczebnych, osiągając jak na owe czasy doskonałe wyniki, bo około 60 znaków na minutę. W pierwszych dniach stycznia 1944 r. z Kompanii Łączności wydzielono Pluton Specjalny, złożony z ochotniczek; z męskiej obsady, zostali jedynie d-ca plutonu, jego zastępca i mechanicy.

Pluton, przerzucony następnie na teren Egiptu, wszedł w skład 2 Korpusu Wojsk Polskich z przeznaczeniem do Włoch i nazwą Samodzielnego Plutonu Radio. Otrzymawszy nowy sprzęt, Pluton gorączkowo przystąpił do ćwiczeń i poznawania nowego, nieznanego dotychczas w Łączności 2 Korpusu, typu radiostacji. Po miesiącu Samodzielny Pluton wyjechał na teren Włoch, aby wziąć udział w akcji 2 Korpusu.

rys. L. i Z. Haarów

Radiostacja na wozie (fot Hryniewicz

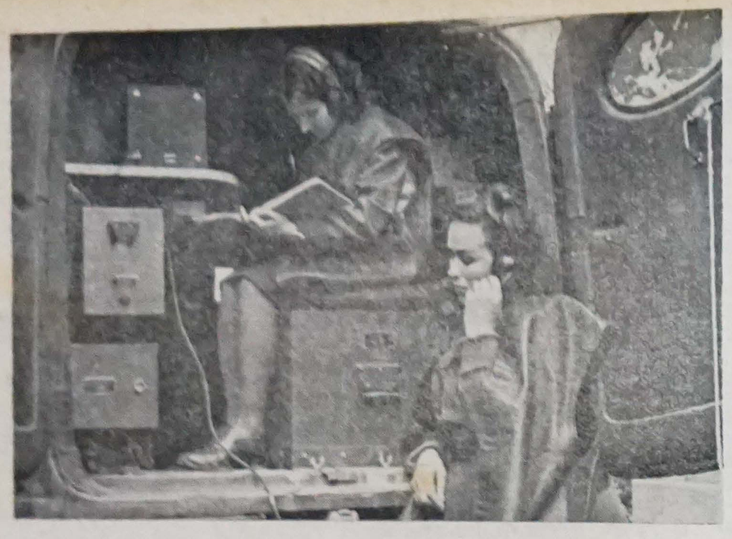

Uwaga i spokój to zalety łączniczek (fot. Hrynkiewicz)

Rozpoczął więc nowy etap swojej pracy — etap wojenny.

Od pierwszych dni pobytu w Mottoli, jedna obsługa obejmowała i radiostację (podległą), pracującą z oddziałami znajdującymi się już na froncie. Reszta ochotniczek przechodziła dalsze szkolenie, uczyła się usuwania uszkodzeń aparatu, przeprowadzała ćwiczenia w celu podniesienia tempa pracy. Część radiotelegrafistek uczęszczała na kurs szyfrantek, gdyż etat obsługi przewiduje samodzielne biuro szyfrów. Kierowczynie w okresie tym zapoznały się z budową i działaniem agregatu. Po miesięcznym pobycie w Mottoli, Samodzielny Pluton przeniesiono do Campobasso. Radiostację „Mottola" objęły radiotelegrafistki z Plutonu Łączności, przydzielonego do Bazy Korpusu.

Był początek maja 1944 r. i 2 Korpus Polski rozpoczął bitwę o Cassino. W związku z tym rozwinęła się praca radia. Wszystkie stacje Plutonu weszły do sieci, obsługując Lucerę, Campobasso, Veirano, Wenafro. Radiotelegrafistki poza swą pracą właściwą, prowadziły akcję oświatową, wydając codzienne komunikaty (przez radio) dla oddziałów najbliżej stojących; ponadto niemal wszystkie stanęły samorzutnie do pracy w szpitalach. W godzinach wolnych od swoich zajęć pomagały robić opatrunki i wyręczały siostry w czynnościach mniej fachowych. Niemal bez chwili wypoczynku powracały znów do aparatu, przesyłały rozkazy i zlecenia, meldunki o zmarłych, rannych, o transporcie chorych i żywności. Po zdobyciu Cassina, w czasie odpoczynku 2 Korpusu, Pluton odbył wielkie ćwiczenia radiowe, które były ostatecznym sprawdzianem nabytej nauki i doświadczenia. Wykazały one całkowitą sprawność radiotelegrafistek i ich przygotowanie do zupełnego zastąpienia mężczyzn w pracy na sieci. Dopiero teraz ochotniczki z łączności zbierały owoce swych trudów. Radiotelegrafistki złożyły egzamin i otrzymały świadectwa ukończenia podoficerskiego kursu łączności. Praca nie poszła na marne i nie zawiodła; osiągnęły taki stopień sprawności, jak ich koledzy po fachu.

Z chwilą przerzucenia Korpusu na odcinek adriatycki, wszystkie zespoły rozpoczęły pracę, obejmując jedną z najważniejszych sieci radiowych Korpusu Ortona - Gulianowa - San Giorgio. W tym czasie radio stało się najważniejszym, a często jedynym środkiem łączności, gdyż szybkość posuwania się walczących oddziałów nie pozwalała na zakładanie linii telefonicznych i fulerfonowych. Okres walk nad Adriatykiem wykazał znakomitą sprawność radia, a tym samym radjotelegrafistek, pracujących na punktach, które zaspakajały najistotniejsze potrzeby Korpusu. W okresie tym radjotelegrafistki pełniły służbę przez 24 godziny bez przerwy, załatwiając po kilka tysięcy grup. Wszystkie zapotrzebowania i meldunki musiały być na czas odesłane lub przyjęte, na czas odszyfrowane.

Po zdobyciu Rimini, 2 Korpus został wycofany na odpoczynek. Łączność znów przeszła w ręce telefonistek i fulerfonistek. Początkowo pracowały dwie, potem tylko jedna radiostacja, prowadząc korespondencję z Bazą Korpusu. Radiotelegrafistki z pozostałych zespołów, zażywając zasłużonego wypoczynku, nie próżnowały jednak i zorganizowały kurs dokształcający dla ochotniczek, nie posiadających pełnego średniego wykształcenia.

Z wejściem Korpusu do akcji, radjostacje ponownie objęły placówki. Odległości nie sprzyjające pracy na falach krótkich, tereny wysokogórskie i ciężkie warunki atmosferyczne powodujące częste zaniki fali, ogromnie utrudniały pracę. Niektóre radiostacje znajdowały się w bezpośrednim zasięgu ognia dział npla. W końcu listopada dowództwo przeniosło się na obecne mp. Kilka stacji wycofanych z sieci wróciło do Plutonu, gdzie ochotniczki kontynuowały naukę, rozpoczętą na ostatnim odpoczynku. Równocześnie bez przerwy prowadziło się doskonalące ćwiczenia z dziedziny fachowej.

Odpoczynek w Pesaro był okresem reorganizacji. Utworzono Kompanię Łączności. W tym czasie kilka ochotniczek wyjechało na kurs maturalny do Rzymu, kilkanaście odkomenderowano na pięciomiesięczny kurs maturalny w San Giorgio. Pozostałe radiotelegrafistki w początku marca br. zdały egzamin na II klasę radiotelegrafistów, osiągając wymagane tempo znaków Morse'a na minutę.

Kiedy 2 Korpus znowu wszedł w akcję, Oddział Łączności przeszedł swój chrzest bojowy. Pewnej nocy zbombardowano z powietrza jego siedzibę. Odłamki uszkodziły agregat i kilka wozów stanowiących własność Plutonu. Z żywej obsługi nikt szwanku nie poniósł.

Omówiłyśmy tu pracę ochotniczek z łączności w 2 Korpusie w czasie jego akcji we Włoszech. Jednak część z nich pozostała za morzem, na Środkowym Wschodzie. Nie było ani jednej, która nie pragnęłaby znaleźć się tutaj, przeżywać niedolę i dolę z tymi, którym na to zezwolił szczęśliwy los. Ale służba i praca wszędzie trwać musi, gdzie biją serca polskie. Pozostały z żalem, lecz w łączności duchowej, bo cel pracy jest wspólny dla wszystkich. Objęły placówki łączności w Palestynie i w Egipcie, pracują przy radiostacjach, przy telefonach i jako szyfrantki. Są instruktorkami przy szkoleniu Junaków.

Na zakończenie tego krótkiego szkicu o dziejach Łączności P.S.K., nie dokładnego ze zrozumiałych względów, nie można pominąć charakterystyki tej pracy. Wyczerpuje nerwowo, wymaga bezustannego napięcia myśli, męczy poczuciem wagi i odpowiedzialności za każdy błąd, o który przecież tak łatwo. O tych wysiłkach wie się nie wiele, gdyż praca telefonistki, czy radiotelegrafistki jest mało efektowna, nie rzuca się w oczy. Lecz tak być musi. Ochotniczki z łączności wiedzą, że szczegółów o ich pracy nie wolno podawać do wiadomości publicznej. Pracują w odosobnieniu, w małych zespołach. Wystarczy im jednak świadomość wagi i znaczenia ich pracy dla sprawy ogólnej.

Jadwiga Majewska

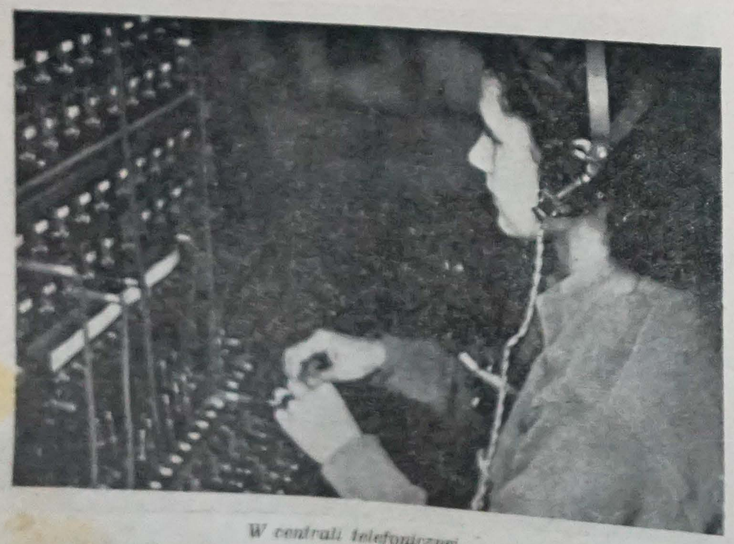

W centrali telefonicznej (fot. Romański)

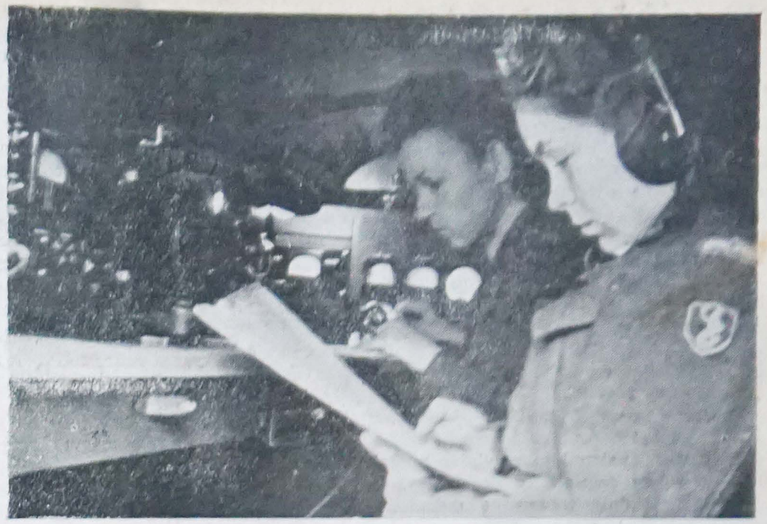

Praca na radiostacji w czasie akcji 2 Korpusu (fot. Hrynkiewicz)

W WALCE O ŻYCIE

Zaczęli wędrować. Z obozów, kopalń, więzień i „wolnych zsyłek" jechali do Armii z niegojącymi się ranami awitaminozy; dziesiątkowani przez pelagrę nieśli zarodki tyfusu. Trzeba im było dać wszystko od kawałka mydła do zielonego płaszcza, od wzmacniającego zastrzyku do zapewnienia, że wojsko zajmie się jego rodziną pozostałą na północy. Guzar, Kermine i Tock, były największymi siedliskami tyfusu plamistego. Nie było czasu do stracenia. Dla ratowania przyszłych żołnierzy, obok lekarzy stanęły kobiety. Prawie bez przygotowania, bowiem ogromna ich większość po raz pierwszy zetknęła się z pracą przy chorych — zrozumiały te pierwsze siostry, że na nich w dużej mierze spoczywa odpowiedzialność za życie ludzkie.

Szpitale urządzone w najprymitywniejszych warunkach umieszczały chorych w braku łóżek na kocach położonych na kamiennej podłodze. Brak było lekarstw i środków antyseptycznych. Wśród chorych krążyły siostry, niosąc pomoc i jakże często ważniejszy od lekarstwa uśmiech otuchy — by po kilku tygodniach wytężonej pracy znaleźć się w stanie chorych z rozpoznaniem: — tyfus. W okresie nasilenia epidemii chorowało 25% sióstr, wiele zmarło. Napływ chorych wzrastał. Przez jeden tylko szpital w Dżałał — Abad przesunęło się w tym okresie 25 tysięcy chorych.

Nie wystarczały jednak same chęci, dobra wola i wytężona praca — potrzebne były fachowe wiadomości. Natychmiast zabrano się więc do organizowania kursów sanitarnych, mobilizując wciąż napływające rzesze ochotniczek. Kursy odbywały się w mp. Sztabu (Buzułuk, Jangi-Jul), we Wrewsku i wszędzie w Dywizjach. Uzupełniano teorią rozległą już praktykę. Po człodziennej pracy w szpitalu, udawały się siostry na wykłady, brnąc nieraz w dziurawych butach przez głęboki śnieg, albo błoto i deszcz. Przygotowując się do służby sanitarnej w wojsku, pracując już w szpitalach wojskowych (zorganizowanych w tamtych warunkach mniej niż prymitywnie), siostry i sanitariuszki musiały także obsłużyć ludność cywilną, a zwłaszcza dzieci, których zdrowie szczególnie ucierpiało w ZSRR. W Buzułuku np. epidemia grypy i szkarlatyny wśród dzieci miała przebieg śmiertelny i z trudem zdołano ją opanować.

Rozkaz przerzucił wojsko na teren Iranu. Ostatnim pożegnaniem z dotychczasowymi warunkami był transport przez morze. Stłoczeni na małej powierzchni pokładu ciężko chorzy leżeli na noszach, lżej chorych umieściły siostry na własnych bagażach, rozdając wymierzoną ilość wody, karmiąc konserwami.

Iran zapoczątkował nowy rozdział w historii Służby Zdrowia. Duży, wyposażony w sprzęt, wodociągi i lekarstwa, Szpital P. C. K. przyjmował napływające transporty z Rosji. Warunki zewnętrzne przyniosły odprężenie, tak, że mimo dużej ilości chorych praca przybrała bardziej normalny charakter.

Gorzej było ze szpitalem cywilnym. Zorganizowano go z trudem, walcząc o wszystko, od miejsc pod namioty począwszy, aż do puszek z konserw na menażki dla chorych.

Do Iraku przybywały szpitale niemal równocześnie z oddziałami, co powodowało duże trudności organizacyjne. Nie bacząc na zmęczenie i 70-cio stopniowy upał, trzeba było oczyszczać z kamieni teren pod namioty, nosić łóżka i wodę, a chory leżący na noszach w ataku malarii, niejednokrotnie rzucał siostrze gorzkie słowo. Wtedy czasem rodziła się myśl, że za ten trud nie ma nawet odrobiny wdzięczności, ale myśl była krótka, nie zostawiała śladów, nie opadały ręce. Malaria panowała niepodzielnie, nękając również niemal cały personel szpitalny. Mimo trudnych warunków, bo upalny. Mimo trudnych warunków, bo organizmy, organizowano nowe kursy sanitarne. Ale szkolenie na większą skalę rozpoczęło się dopiero w Palestynie. Nowo przyjęte kandydatki przeszły kurs początkowy, te zaś, które już odbyły praktykę, uzupełniały wiadomości z zakresu chirurgii wojennej.

Znowu przyszła zmiana mp. Szpitale wyjeżdżały do Egiptu, który już zresztą wcześniej poznał pracę polskich kobiet. Bowiem w okresie walk o Tobruk i Gazallę w sekcjach angielskich szpitali pracowały ochotniczo polskie siostry. Mimo, że były wśród obcych i że nieznany im był ich los w najbliższym czasie, potrafiły pokonać nieufność angielskich lekarzy i zasłużyć na uśmiech wdzięczności we wspomnieniach żołnierzy Karpackiej Brygady.

Wyjazd na teren europejski łączył się z reorganizacją Służby Zdro-

Czy serce wytrzyma?

wia na wzór angielski. Najbliższą frontu jednostką, gdzie pracują kobiety są Polowe Szpitale Ewakuacyjne (C. C. S.).

Okres nasilenia walk we Włoszech stał się sprawdzianem wytrzymałości fizycznej i psychicznej sióstr i sanitariuszek, jak zresztą i całego personelu szpitalnego. W okresie walk o Monte Cassino nieustający napływ chorych, rosnący z godziny na godzinę zmuszał do wytężonego, zdawałoby się kiedy indziej ponad siły — wysiłku. Kobiety, które na skutek ataków malarii jeszcze dzień przedtem niezdolne były do pracy, w czasie akcji pracowały w szpitalach przyfrontowych i C. C. S. bez przerwy po 36 godzin.

Ponieważ rannych należało ewakuować jak najszybciej (w ciągu trzech dni od pierwszego opatrunku powinien znaleźć się w takim szpitalu, gdzie może leżeć spokojnie 12 dni), wydawano zarządzenia regulujące dopływ chorych — przez osiem godzin do jednego, przez osiem do drugiego C. C. S. W tym czasie musiało się wyekwipować i odesłać dawnych rannych, by przygotować miejsce dla nowych. Ostatnie szeregi wynoszonych spotykały się z nowo przybywającymi. Nosili wszyscy. Lekarze, siostry, personel administracyjny i gospodarczy. I chociaż często drobna postać siostry uginała się pod ciężarem noszy, chorego z rąk nie wypuściła. Powierzano niejednokrotnie siostrom samodzielne zadania. Często siostra transfuzyjna musiała pracować sama przy pomocy sanitariusza. Zwożono jej rannych, zaszokowanych, wzywano na salę operacyjną. Transfuzja ratowała życie. Gdy napływ chorych stał się tak silny, że nie mogli podołać lekarze i siostry operacyjne, zabierano siostry z innych sekcyj. Gdy im już też rąk zabrakło (bo i ręce sióstr stały się czarne od krwi), zjawiały się na salach operacyjnych ochotniczki P. S. K., które pomagały lekarzom, pisząc pod dyktandem przebieg operacji.

W ciągu jednej doby walk o Monte Cassino — przez przyfrontowy szpital i dwa C. C. S. przesunęło się 960 rannych. Siostry słaniały się na nogach, lecz trzeba było dać zastrzyk, lekarstwo, obmyć, ubrać, przenieść, przygotować do ewakuacji, i... uśmiechać się, chociażby pod tym uśmiechem kryła się wielka osobista troska, że za chwilę wniosą syna, męża, brata lub narzeczonego.

Tak pracowały kobiety w szpitalnych jednostkach przyfrontowych.

Zdolnego do transportu odsyłało się pociągiem sanitarnym, lub samolotem, do szpitali bazowych, daleko od strefy walk. Ranny dostawał się pod opiekę takich samych, choć nie tych samych sióstr P. C. K. W pozafrontowych szpitalach walka ze śmiercią przybierała na sile na drugi już dzień po rozpoczęciu walki na froncie i trwała długie tygodnie i miesiące. Wprawdzie chory był obmyty z kurzu i błota, ale minął pierwszy moment szczęścia, że czyste łóżko, opatrunek, że huku nie słychać, a za to po salach snuł się największy wróg szpitala - nuda. Siostrom przypadło — prócz pomocy fachowej — inne odpowiedzialne zadanie. Musiały opanować nastrój na salach kalek i ciężko rannych, a rozmowa z siostrą to dużo, to czasem wszystko.

Transfuzja i penicillina ratują życie, siostra je podtrzymuje, ale nie wolno nam zapomnieć w tym krótkim wspomnieniu, o tych kobietach w szpitalach, które nie nosząc czepka z czerwonym krzyżykiem, mają to samo serce i tak samo czują cierpienie i niedolę żołnierza. To sanitariuszki, które dźwigają łóżka, pościel, sprzątają, myją, krają chleb i noszą ciężkie wiadra, dzień po dniu — noc po nocy krążąc wśród łóżek poprawiają poduszki, podają wodę. I chociaż jest ich za mało, nie skarżą się na ciężką pracę, i dla nich największą nagrodą jest uśmiech, rozjaśniający twarz chorego.

Widok ciężko rannych, uświadomienie poczucia odpowiedzialności za każdy ruch, czyn i słowo, spowodowało u tych kobiet, które pracują w szpitalu jakąś wewnętrzną przemianę. Na twarzach przebija się spokój, w czynach gotowość do niesienia pomocy bez względu na siły i wytrzymałość. Nie liczą się ilości przepracowanych godzin, nieprzespanych nocy, niedojedzonych posiłków. Najważniejszym jest los żołnierza, bo na mękę ludzką nie obojętnieje się nigdy.

Siostra

Zastrzyk zrobiony (fot. inż. Ostrowski)

W SZPITALNEJ IZBIE PRZYJĘĆ

Irenka stawia cyfr kolumny
W rozliczne kartki grubej księgi,
Morze za oknem wiosną szumi,
W zmęczonych oczach czarne kręgi.

Cyfry — symbole walki, życia,
Ból spięty klamrą suchych znaków,
Na kartkach książki krwawą nicią
Cierpienie znaczy trasę szlaku.

Szara, codzienna, żmudna praca —
Atrament nie lśni glorią broni,
Smutniej oddychać wśród papierów
Niż ster motoru pieścić w dłoni.

Dostojne słowa: poświęcenie,
Odwaga, miłosierdzie, męstwo
Mijają dziewczę nad cyframi,
Choć i w tych cyfrach drży zwycięstwo.

I tylko kiedy wykres spada
Echem dalekich, pięknych czynów,
Na twarz dziewczyny uśmiech blady
Kładzie pachnący cień wawrzynu.

Seweryn Ehrlich

ATMOSFERA KOBIECEJ OPIEKI

Kto zna szpitale i ich życie wewnętrzne a przede wszystkim, kto miał możność obserwowania szpitali z personelem siostrzanym i szpitali pozbawionych tego personelu, zorientuje się w tym szybko i bez trudności, jaki wpływ na chorego ma kobiecy personel szpitalny. Ważne i niezastąpione są wyspecjalizowane ręce kobiece w pomocy lekarzowi, szczególnie chirurgowi, ale przede wszystkim nieoceniona i nie do zastąpienia przez mężczyznę jest atmosfera, jaką roztaczają siostry na sali szpitalnej. Atmosfera kobiecości, która wywołuje u jednego pacjenta wrażenie opieki rodzonej siostry, u innego matki, jeszcze u innego po prostu kobiety, z którą łączy go nić sympatii, a w każdym razie u wszystkich — wrażenie opieki kogoś bardzo bliskiego. Ważne są czułe i miękkie ręce, które głaszczą głowę rannego i słowa, które potrafią stworzyć tylko usta kobiece, a które częstokroć wywołuje większy skutek niż nie jedna apteczna mikstura.

Dla szybszego wyzdrowienia i ochoty u pacjenta do tego wyzdrowienia potrzebne jest to dobre samopoczucie, które daje chęć do życia i które potrafi stworzyć tylko dobra, czuła i fachowa opieka kobieca.

3 Polowy Szpital Ewakuacyjny, który organizował się w Iraku, otrzymał zespół sióstr, które przeszły Rosję Sowiecką i tam już od jesieni 41 r. pracowały w szpitalach wojskowych. Poza tą jedną kwalifikacją, że były kobietami, żadnych innych do tego zawodu nie posiadały. Żadna z nich nie trudniła się tym zajęciem w Polsce. W Rosji zgłosiły się do pracy tej na „ochotnika". O zawodach bardzo różnych i różnym wykształceniu (od nauczycielki, studentki medycyny, mgr chemii do pianistki z ukończonym konserwatorium) miały wspólne jedno: przeżycie Rosji z jej udręką i pozostałościami (50 % przeszło malarię), oraz wspólną chęć do tej pracy.

W Iraku i Palestynie, gdzie nie było akcji bojowej, 3 CCS pracował jako zwykły szpital z tym, że większość pacjentów rekrutowała się z malaryków. Pracując jako szpital, CCS szkolił jednocześnie personel.

Przeszkolenie to przechodziły również siostry. Z ośmiu przydzielonych do szpitala, cztery stale wówczas przebywały na kursach i stage'ach. Pozostałe cztery musiały wystarczyć na obsłużenie, w zakresie ich pracy, całego 200-tu łóżkowego szpitala w Iraku, jednym z najgorętszych miejsc na ziemi, gdzie nie wolno było się nawet szybko poruszać, a w godzinach południowych i popołudniowych obowiązywała tzw. przerwa tropikalna, jak „frygi" uwijały się w namiotach szpitalnych i między namiotami, białe postacie szczelnie owinięte w białe płócienne płaszcze. Pracowały wtedy w pocie nie czoła, lecz dosłownie całego ciała. Irak dowiódł, że do wyżej zanotowanych walorów pracy kobiecej można bez zastrzeżeń dołączyć jeszcze wytrwałość i niespotykaną u męskiej obsługi — wytrzymałość.

Na początku 1944 roku siostry 3 CCS'u przybywają razem z oddziałem do Włoch. Niezwłocznie po przybyciu dwie z nich odkomenderowano na stage do 4 Kanadyjskiego CCS'u, znajdującego się w akcji na adriatyckim odcinku frontu pod Pescarą, a stamtąd na dalszy stage do 7 Brytyjskiego CCS'u, pracującego na środkowym odcinku frontu. 2 Korpus nie znajdował się jeszcze w tym czasie w linii.

Są to polskie siostry, które pierwsze po kampanii wrześniowej, wzięły udział w akcji frontowej na europejskim teatrze wojny.

Gdy wkrótce potem 2 Korpus zajął stanowiska na środkowym odcinku frontu włoskiego, a CCS rozwinął duży szpital w znanym wszystkim Campobasso, cały zespół sióstr tej polowej jednostki Służby zdrowia uważać należy za pierwszy, znajdujący się w akcji w Europie (inne polskie szpitale ewakuacyjne i wojenne znajdowały się jeszcze na dalekich tyłach i nie były rozwinięte). W tymże Campobasso zespół sióstr CCS'u zetknął się pierwszy raz z rannym żołnierzem. Te pierwsze kontakty z rannym cechuje pewne onieśmielenie w pracy i w podejściu do pacjenta. Mija to jednak bardzo szybko, siostry oswajają się z nową lecz właściwą pracą i wszystkie znane im wiadomości z teorii

Na sali operacyjnej w C.C.S. (fot. inż. Ostrowski)

(fot. inż. Ostrowski)
W aptece szpitala wojennego

z doskonałymi wynikami stosują w praktyce. Wkrótce praca ich przy rannym nie odbiega od osiągniętego poziomu w pracy przy chorym żołnierzu.

Nadchodzi szczytowy punkt wysiłku żołnierza 2 Korpusu — Monte Cassino. W akcji tej bierze udział 3 CCS jako szpital przyfrontowy, rozwinięty najbliżej frontu. Razem z CCS'em biorą udział w akcji siostry. M.p. jest Venafro. Poszczególne komórki szpitala, zarządzeniem komendanta, tak były obsadzone personelem siostrzanym, że ranny już przy przyjęciu wchodził z miejsca pod opiekę siostry (izba przyjęć), potem przechodził przez cały szereg komórek pracy szpitalnej, gdzie wszędzie oczekiwała go dalsza pomoc i opieka kobieca, a przy opuszczaniu szpitala (ewakuacja) był wyprawiamy w drogę znów przez siostrę. Akcja szpitala pod Monte Cassino przedstawiała dużo trudności związanych z wielką ilością rannych i brakiem miejsca (były dnie, w których przyjmowano ponad 300 rannych i 90 % z tego ewakuowano). Związany z tym nawał pracy i trosk obciążył w ogromnej mierze siostry i ich pracowite ręce.

Linia bojowa — nie jest równa linii bojowej. Walka o Monte Cassino to było piekło. Żołnierz, który opuszczał pole tej bitwy, ciężej czy lżej ranny, opuszczał piekło, co niewątpliwie musiało mieć wpływ na jego psychikę. Nie mogło więc być bardziej szczęśliwego zarządzenia, jak obsadzenie już izby przyjęć siostrą i to właśnie siostrą Izabelą D. Ranni patrzyli na nią z niedowierzaniem, że jeszcze coś takiego jest na świecie. Że nie ma piekła, że jest życie. W wielu wypadkach mogło to być bardzo ważne. Nazywali ją „białą siostrą". Rozmawiali z nią: dotyk jej dłoni rozjaśniał ich oczy. Usuwanie zeskorupiałych bandaży z ran jej rękoma nie było bolesne. Wszystkie te ważne walory pracy kobiecej zostały w tej komórce szpitala całkowicie wyzyskane.

Po przejściu przez pracownię rentgenologiczną, ranny wędrował na noszach na salę operacyjną. Chirurg w tak natężonej akcji, jak pod Monte Cassino, był przemęczony do ostatka, zresztą spieszył się i nie było czasu na tzw. „cackanie" z rannym. Ale były tam dwie niespożyte siostry: Antonina A. i Stefania K. Dwie wyspecjalizowane już — siostry operacyjne. One miały obok swoich zadań specjalnych czas na owe „cackanie". Gdy igła szprycy z „Novutoxem" boleśnie wbijała się w ranę, nad skrecającym się z bólu żołnierzem, pochylała się głowa Toli, a usta jej zapewniały, że to na pewno zaraz przestanie boleć. Chirurg przychodzi do gotowego. Przygotowanie do operacji to sprawa siostry. Wszystko musi być na miejscu, niczego nie może braknąć. Ona musi skontrolować każdy kąt sali operacyjnej, ona musi podawać potrzebne instrumenty, zetrzeć gazikiem pot z czoła chirurga, pamiętać o wodzie z cytryną, lub czarnej kawie dla lekarzy i... ona również, bez słowa, musi wysłuchać ostrego, prawie zawsze niezasłużonego burknięcia śpieszącego się lekarza-operatora.

Wyspecjalizowane ręce kobiece pracują, atmosfera opieki kogoś bliskiego działa i z tym uczuciem ranny odchodzi na salę pooperacyjną.

Na sali pooperacyjnej „rządziła się" siostra Lucyna. Tu zaczynało się prawdziwe „cackanie". Siostra Lucyna miała trzy zadania; dawać odpowiednie, przepisane przez lekarza mikstury, kłopotać się nad wszystkimi „wymysłami" rannego, co by właśnie w tej chwili zjadł i... „musztrować" leżących nieboraków. „Musztrowanie" to było... groźne, ale „umrzyki" na łóżkach zamiast drżeć ze strachu śmieli się i śmieli by się do rozpuku, gdyby nie bolesne rany. Kochali ją naprawdę. Pisywali do takiej potem listy ze Środkowego Wschodu czy ze Szkocji, gdzie przebywali na dalszym leczeniu.

Wielu rannych przed operacją czy nawet w czasie operacji musiało otrzymywać krew. Oddział transfuzyjny również miał swoją siostrę Janinę K. Przez transfuzję przechodzili ranni, którzy prawie nie reagowali na życie zewnętrzne. Tych nic nie obchodziło. Tu, poza umiejętnościami specjalnymi, trzeba było mieć jeszcze zdolność chodzenia koło człowieka.

Zanim ranny opuszczał CCS (ewakuacja), dostawał się przedtem w ręce „matki". „Matka" to jest wielkie słowo, ale nie ma żadnej przesady stosując je w tym wypadku do siostry Felicji W. Zna ją cały 2 Korpus. Nie było szczegółów, o które by się nie troszczyła. Własnoręcznie prała brudne, żołnierskie skarpetki i chustki do nosa (wcale to do niej nie należało).

W ten sposób aż do końca swojego pobytu w CCS'ie ranny nie wychodził z tej specjalnej i ważnej atmosfery, która obok pomocy lekarskiej leczyła dusze żołnierskie.

Nie o wszystkich odcinkach frontu, gdzie znajdowały się w akcji siostry CCS'u tu wspomniano, nie wszystkie też siostry wymienione zostały tu imiennie (a zaspół ich zwiększył się do 10-ciu), ale wszędzie gdziekolwiek pracowały później, czy pod Ankoną, czy w akcji na linii Gotów, czy w Apeninach, czy w bombardowanym przez samoloty i artylerię Forli, gdzie zdały na pięć z plusem egzamin sprawności bojowej, wszędzie i każda z nich bez wyjątku dała z siebie wszystko: wyspecjalizowane, pracowite ręce i prawdziwie kobiece, gorące serce.

Dwie siostry CCS'u odznaczone zostały Krzyżami Walecznych, prawie wszystkie Srebrnymi Krzyżami Zasługi z mieczami.

(fot. inż. Ostrowski)
Sanitariuszki pobierają obiad dla chorych

Chciałbym skromnie, na samym końcu zanotować jeszcze jedno nazwisko, tak skromnie jak skromna jest jego właścicielka. Siostra Emma B. — starsza siostra, przełożona zespołu. Największym jej zmartwieniem było to, że zamianowana została na to stanowisko. Ciągle twierdzi, że przełożona w ogóle jest nie potrzebna. Troszcząc się razem z zespołem o rannych, pomagając siostrom i wyręczając je w pracy, troszczy się jednocześnie o „dziewczynki", o ich wygodę i wypoczynek.

Myślę, że to czym się różnią szpitale z personelem siostrzanym od szpitali pozbawionych tego personelu, zostało w tym krótkim artykule dostatecznie wyjaśnione, a ważność tych różnic umotywowana.

Henryk Domaniewski

Koleżeńska pomoc (fot. Malinin)

CZARNE BERETY

W jednym z angielskich czasopism wojskowych ukazała się notatka: „wzdłuż wybrzeży Adriatyku sunie trzytonówka. Przy kierownicy dziewczyna, spokojna, pewna siebie. Ma prawo być taką ta polska kierowczyni P.S.K., która tak świetnie i niezmordowanie pracuje w drugim Korpusie."

Takie jest dziś zdanie o kierowczyni z Kompanii Transportowej P.S.K., ale ile gorzkich słów musiała wysłuchać, zanim rzetelną pracą i opanowaniem fachowych wiadomości zasłużyła na obiektywną ocenę swej pracy.

W Teheranie, gen. Anders na odprawie w październiku 1942 r. zapowiedział utworzenie kompanii transportowych złożonych z ochotniczek i nakazał przystąpić do systematycznego szkolenia w tej nowej dziedzinie służby kobiet. W tym czasie zakończono już w Teheranie 3 października 1943 r. trzymiesięczny kurs kierowców dla ochotniczek, organizowany przy Kolumnie Samochodowej Oficera do Zleceń Dowódcy Armii. Kurs ukończyły wszystkie w liczbie trzydziestu z wynikiem pomyślnym. Kurs ten obejmował 6-cio tygodniowe przygotowanie teoretyczne i 6-cio tygodniową naukę jazdy, połączoną z pracą w warsztatach. Przeszkolone kierowczynie stanowiły kadrę instruktorską drugiego kursu, trzykrotnie liczniejszego.

Wkrótce po odprawie teherańskiej, w jednym z obozów palestyńskich zaczęły się szkolić instruktorki z ochotniczek przybyłych z drugą ewakuacją z Rosji. Równolegle miało miejsce organizowanie dwu kompanii na terenie Iraku, gdzie doszkalała się również w terenowej jeździe Samodzielna Kompania, złożona z ochotniczek przeszkolonych na dwu kursach teherańskich. Na początku stycznia zorganizowane już kompanie, jako 102 i 103 wyjechały do Palestyny na szkolenie. Samodzielna Kompania, zmieniwszy już nazwę, pozostała dla obsługi Bazy i Etapów. Część ochotniczek dokształcała się w jednej z kompanii warsztatowych w dziedzinie znajomości technicznej wozów. Trudno było prowadzić maszynę po śliskiej od ropy szosie irackiej, gdy deszcz zalewał świece poprzez nieszczelną maskę „starego grata" i gdy często samej trzeba było naprawiać uszkodzenia.

Tymczasem w Palestynie okres szkolenia dobiegał końca. Po 8-mio tygodniowym kursie uzupełnionym praktyką warsztatową, pierwsza grupa otrzymała 14 marca 1943 r. prawa jazdy. Zwiększyła się liczba czarnych beretów. Niepisanym bowiem prawem, regulowanym przez kompanie, zaszczyt ten przypadał dopiero po uzyskaniu prawa jazdy. Potrzebne już były wozy „pracy", po które ochotniczki jeździły do jednej z baz w Egipcie. Były to jednak samochody aż... piątej kategorii. Nowy sprzęt przyprowadziły wprawdzie, ale dla swych kolegów, pokonywując trasę 2000 km. Zadanie to zlecone kierowczyniom miało być sprawdzianem wytrzymałości fizycznej i umiejętności prowadzenia wozów. Rzucone w dniu wyjazdu hasło: — „ani jednego rozbitego samochodu" — zawiodło wskutek nieostrożności jadącego naprzeciw Hindusa. Jeden z 50 samochodów został uszkodzony. Z żalem musiały ochotniczki oddawać te „ich" już maszyny, ale wiedziały, że podołają w pracy także na „starych gratach".

Rozkaz Szefa Służby Zaop. i Transp. nakazywał przeszkolenie fachowe komendantek i ochotniczek na kursach Zaop. i Transp. To też już w marcu 1943 r. wyjechały z Palestyny do Iraku na kurs do C.W.A. 22 ochotniczki i 4 komendantki. Po 6-cio tygodniowym kursie, który ukończyły wszystkie, a kilka uzyskało wysokie lokaty, zajmując miejsca przed mężczyznami — wszystkie wyjechały na praktykę do jednej z męskich kompanii transportowych. Był to stage jedyny w swoim rodzaju. Po tygodniowych ćwiczeniach odbytych łącznie z żołnierzami, kobiety objęły funkcje sekcyjnych, podoficerów gospodarczych, dowódców plutonów i kompanii i dowodziły kompanią przez dziesięć dni. Wprawdzie zdarzały się wypadki, że motocykle figurowały w rozkazach jako wozy trzytonowe i komenda nie zawsze odpowiadała zamierzonej, jednak okres ten nauczył nas wiele. Poznały ochotniczki własne błędy, przełamały lody niechęci kierowców mężczyzn w stosunku do kierowczyń. Po powrocie do oddziałów zaprowadziły „stażystki" wzorowe kancelarie, wykorzystały nabyte wiadomości, pracując dalej nad praktycznym wprowadzeniem ich w życie.

Nowy okres w pracy kompanii transportowych P.S.K. zaczął się z dniem 1 sierpnia 1943 r., kiedy kompanie otrzymały już swe ramy organizacyjne na wzór angielskich kompanii R.A.S.C.-u, z tym jednak, że dublowano stanowiska dowódców kompanii i plutonów: oficer i komendantka. Kompanie rozpoczęły właściwą pracę. Obok wykonywania dyspozycji, prowadziły dalsze sześciotygodniowe szkolenie kierowczyń dla uzupełnienia braków etatu. Grupa 19 kierowczyń jednej z

(fot. Paduch)
W trzytonówce

Aniela Pawlikowska: Portret kierowczyni B.

kompanii uczyła się w warsztacie kompanijnym na pomocników mechaników. Po kursie trwającym siedem tygodni, odbył się 14 października egzamin, który zdały wszystkie z wynikiem pomyślnym. Widząc dodatnie wyniki tego eksperymentu, dowództwo drugiej kompanii zorganizowało taki sam kurs. Równocześnie kompanie zajęły się szkoleniem ochotniczek w zakresie ogólno wojskowym, wyszkolenia bojowego i strzelania. Od 21 do 29 października dwa plutony jednej z kompanii P.S.K. wzięły udział w ćwiczeniach 2 Korpusu, dowożąc żywność, amunicję i benzynę. Za sprawne wykonanie zadań uzyskały ochotniczki pochwałę Naczelnego Dowództwa.

Kompanie zmieniały nazwy, przechodziły na inne mp., zmieniała się trasa wykonywanych dyspozycji. El-Mughar, Rafah, Gaza, Jerozolima, Nazaret, Qassasin, Kair, Tel-El-Khebir, Port-Said — różne w brzmieniu stanowią ten sam wysiłek: wytrzymałość nerwową i fizyczną, coraz pewniejsze opanowanie kierownicy, naprawianie uszkodzeń. Prócz tego służba oddziałowa, warta nocna, konserwacja. Może najlepiej zobrazują pracę ochotniczek w kompaniach transportowych suche cyfry zestawienia: jedna z kompanii w okresie od 1 lipca 1943 r., to jest od daty zorganizowania otrzymała 145 wozów, które pracowały w Palestynie i Egipcie do kwietnia 1944 r. W chwili oddawania sprzętu przed wyjazdem do Włoch, wozów było 145. Zmieniła się tylko ich kategoria. Dzięki pieczołowitej „pielęgnacji" i pracy ochotniczek już w kilka miesięcy po otrzymaniu tych wozów przez ochotniczki, komisja zakwalifikowała je do drugiej i pierwszej kategorii. Od sierpnia 1943 r. do sierpnia 1944 r. wozy przebyły trasę 1 milion, 768 tysięcy, 978 mil, przy zużyciu 164 tysięcy, 583 galonów benzyny. Ilość dyspozycji tej jednej kompanii od sierpnia 1943 r. do lipca 1944 r. zamyka się liczbą 20 tysięcy 131. Przewożono sprzęt, ludzi, materiały pędne. Za okres rocznego sprawordania miały miejsce 34 wypadki, z których osiem zakwalifikowano jako ciężkie, w większości spowodowane nie z winy kierowczyń.

Mimo wytężonej pracy, ochotniczki nie zamknęły się w ciasnym kole zagadnień związanych tylko z ich zajęciami służbowymi. Świetliczarkom powierzono prowadzenie działu kulturalno - oświatowego. Organizowano ogniska i przedstawienia na większą skalę, które niejednokrotnie były wystawiane i poza oddziałem, jak „Baśń o szopce" w Rehowoth, „Z polską pieśnią i tańcem" w jednym ze szpitali w Egipcie.

Rozkaz z dnia 25 stycznia 1944 r. stał się chwilą przełomową w życiu jednej z kompanii. Ustanawiał komendantki dowódcami plutonów, uznając kompanię za zdolną do samodzielnego wykonywania zadań bez współudziału mężczyzn. Jedynie stanowisko dowódcy kompanii i plutonu warsztatowego pozostało bez zmian. Zreorganizowana w ten sposób Kompania wyjechała 4 maja 1944 r. do Włoch, otrzymując tam nowy sprzęt. Krótki (pięciotygodniowy) pobyt na południu dał ochotniczkom, przyzwyczajonym do przestrzeni i pustyni, nowe przygotowanie do czekających je jeszcze zadań. Trasę San-Domenico - Campobasso odbywały z „żywym ładunkiem" przez rozbite czołgami drogi, trudnymi objazdami obok zerwanych mostów, przez ostre górskie serpentyny. Te, które pracowały na terenie samej Bazy, krążyły między portem a oddziałami, przewożąc sprzęt i zaopatrzenie, niejednokrotnie same ładując na wóz ciężkie skrzynie. Tam też przeszły swój pierwszy „chrzest bojowy" w czasie nalotu na port. Pracując dla żołnierza nie brały jednak bezpośrednio udziału w akcji; te, które spotykano w bezpośredniej bliskości frontu, były kierowczyniami z Kompanii Kantyn.

Rozkazem z 24 czerwca 1944 r. Kompania została odkomenderowana do 2 Korpusu. Wiadomość tę przyjęły ochotniczki z entuzjazmem, widząc w tym uznanie ich za pełnoprawnych żołnierzy. Szły na front. Jeden z plutonów pozostawał dla obsługi Bazy, aż do przyjazdu bratniej kompanii z Egiptu. Wprawdzie organizacyjnie kompanie P.S.K. przewidziane są do obsługi trzeciej linii, jednak życie i wojna mają swoje prawa. Niektóre mp. Kompanii znajdowały się 8-10 kilometrów od frontu; amunicję, benzynę i żywność trzeba było niejednokrotnie dostawiać do pierwszej linii. Podczas jednego z nalotów na przyfrontowe miasteczko zostały ostrzelane kierowczynie; zdarzyło się też, że wskutek zmylenia trudnego objazdu kilkanaście wozów dostało się pod bezpośredni zasięg ognia nprzy

Wiosenna toaleta wozów (fot. Haarowie)

i musiały zawracać na wąskiej drodze. Paniki nie było - czy dlatego, że nie zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa, czy umiały opanować nerwy, niech ocenią ci, którzy obserwowali kierowczynie na różnych odcinkach ich pracy.

I znów zmieniały się nazwy - Taranto, Campobasso, Neapol, Arezzo i wiele, wiele innych, lecz wysiłek pozostał ten sam. Oczyszczanie i konserwacja maszyny, pokonywanie ostrych wyniosłości, serpentyn i objazdów, wyciąganie niekiedy wołami samochodu z błotnistego garażu, warty i służby zlewały się w jedno z pragnieniem pokonania zmęczenia, deszczu, kurzu i ciemnych black out'owych nocy. Kierowczyni wie, że jej trud jest cząstką wysiłku zbiorowego, który prowadzi do jednego celu. Wdzięczna losowi, że pozwolił jej dać z siebie najlepsze wartości, umie podołać wysiłkowi fizycznemu i utrzymać się w formie. Z uśmiechem patrzy w przyszłość — i w zamian oczekuje tylko uśmiechu zachęty, nie lekceważenia.

Kompania „włoska" usamodzielniła się ostatecznie 8 sierpnia 1944 r., gdy dowodzenie Kompanią przekazano w całości kobietom, bowiem i dowódcą Kompanii została komendantka. Jedynie Pluton Warsztatowy składa się z mężczyzn.

Pozostałe na terenie Egiptu dwie kompanie nie próżnowały w tym czasie. Wykonywały dyspozycje, uzupełniały etaty nowo szkolonymi kierowczyniami, w trudnych warunkach pustynnych prowadziły doszkolenie w dziedzinie ogólno wojskowej. Jedna z kompanii przygotowywała się już do wyjazdu na teren europejski. I jak poprzednia, otrzymała nowy sprzęt i zaraz po przyjeździe, z końcem listopada stanęła do pracy. Niebieska syrena wzbogaciła się o nowy oddział. Wytworzoną oryginalną sytuację istnienia dwu bazowych kompanii, z których jedna od pół roku pracowała dla Korpusu, rozwiązał rozkaz ze stycznia br. wcielający te kompanie do 2 Korpusu z prawem noszenia czerwonej syreny. Niedługo potem, bo 16 marca br. usamodzielniono bazową kompanię, przekazując dowodzenie ostatecznie komendantkom. Ta Kompania również, w ciągu zaledwie trzymiesięcznego pobytu na włoskim terenie, wykazała się dużym dorobkiem 9 tysięcy 708 wykonanych dyspozycji, przy milażu 877 tysięcy 110 mil.

Lecz, czy herb Warszawy czy Krakowa noszące na ramieniu, wszystkie kierowczynie pracują jednakowo. Ich hasłem stały się słowa: „my dla maszyny, maszyna dla żołnierza, żołnierz dla..." Dla kogo jest żołnierz, wie on sam i wiedział w dniach walk o Monte Cassino i Anconę, w czasie których kierowczynie mogły z nim być tylko myślą i sercem. Dziś już są razem. Zespoleni wspólnym wysiłkiem walczą żołnierz i kierowczyni.

J. M.

(fot. Romański)

Wóz musi być w porządku...

PRACA SPOŁECZNA P. S. K.

Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy rządami Rzeczypospolitej Polskiej i ZSRR i po ogłoszeniu tzw. „amnestii", obok mężczyzn zgłaszających się do wojska polskiego, płynęły nieprzerwaną falą kobiety do siedziby D-twa Polskich Sił Zbrojnych.

Przybywały one z więzień, obozów pracy, rozległych stepów kazachstańskich, dalekiej mroźnej północy i tajg syberyjskich. Wyczerpane głodem i ciężką pracą, w łachmanach, z oczyma błyszczącymi gorączką, ciałem pokrytym wrzodami. Po przybyciu zgłaszały się ochotniczo do Pomocniczej Służby Kobiet — od pierwszej chwili gotowe do pracy. A pracy nie brakowało.

Buzułuk stał się ośrodkiem, przez który, poza zgłaszającymi się do wojska, przeciągały całe rzesze ludności cywilnej, by znaleźć tam potrzebną opiekę. Ludzie ci byli u kresu sił, podobni do widm i szkieletów. Ilu z nich, przebywszy ostatnim wysiłkiem woli setki i tysiące kilometrów, gasło właśnie wtedy, gdy znaleźli się wśród swoich, gdy wydawało się im, że nadszedł kres cierpień nieludzkich, upokorzeń, głodu i niewoli. Ile matek patrzyło na umierające dzieci, których nic już nie zdołało wyrwać bezlitosnej śmierci. Wiele z tych dzieci znało chłód i wilgoć celi więziennej. Wszystkie — tułaczkę i poniewierkę na obcej ziemi.

Niewielkie miasto sowieckie — Buzułuk — stało się jak gdyby symbolem Polski wiecznie żywej, której żadne pakty i akty polityczne nie potrafią wymazać z karty Europy.

Jakże szerokie pole i perspektywy dla pracy społecznej tych kobiet, które znalazły się w szeregach P.S.K.! Wiele z nich znało tę pracę już przedtem, działając bez rozgłosu, racjonalnie i z pożytkiem w Polsce. Wiemy wszyscy, że praca społeczna w ostatnich latach przed wojną zataczała coraz szersze kręgi, zarówno w miastach, jak i po wsiach. Kobiety sprawowały 75% tej pracy. Były więc do niej przygotowane fachowo i psychicznie.

Na stacji w Buzułuku rozpoczęła się akcja społeczna P.S.K. od obsługiwania przejeżdżających pociągów z ludnością cywilną na Południe Rosji. Nocą i dniem przybywały transporty. Odchodził jeden pociąg, przychodził drugi, trzeci... dziesiąty. Tysiące ludzi otrzymywało gorącą strawę, wielu z nich pomoc lekarską i sanitarną.

Minął wrzesień, październik, listopad. Nadszedł grudzień 1941 roku — wigilia Bożego Narodzenia. Przeszło 700 osób spożyło kolację na stacji Buzułuk, łamiąc się białym opłatkiem. Wynędzniali i wyczerpani, odziani w łachmany ludzie ci nie byli jednak nędzarzami. Poprzez oczy zaszklone łzami wyzierało serce gorące, pełne wiary w sprawiedliwość świata. Z tą wiarą w sercu pojechali dalej w mroźną noc wigilijną — ochotniczki pozostały, czekając przybycia nowych transportów.

W okresie świąt Bożego Narodzenia przebywało w Buzułuku kilkaset dzieci. Nie zapomniały i o najmłodszych ochotniczki, przygotowując dla nich gwiazdkę w sali Sztabu Polskich Sił Zbrojnych. Płynęła choinka, rozbrzmiewały kolędy. Patrząc na uśmiechnięte, wymizerowane jeszcze wczorajszymi cierpieniami twarzyczki dzieci, doznawało się uczucia radości, goryczy i żalu. Radości, że są, że żyją, że to właśnie dla nich przyozdobiono choinkę, i że dla nich przygotowano paczki ze słodyczami. Żal i gorycz, że setki pozostało, że jeszcze nie wszystkie wróciły, że są takie, które nigdy nie ujrzą choinki w ten wieczór tak bardzo uroczysty i radosny.

Nie tylko w Buzułuku pracowały społecznie kobiety z Pomocniczej Służby. Tysiące ludności cywilnej znajdowało się również tam, gdzie były oddziały wojska. Opiekę nad tą ludnością powierzano przeważnie ochotniczkom P.S.K. z kompanii i plutonów w dywizjach.

Ochotniczki-nauczycielki wykładały w szkołach powszechnych zarówno w Błahowieszczence jak i Dżałał-Abad — 5 K.D.P. Prowadziły także szkołę i sierociniec w Jangi-Jul, gdzie mieścił się Sztab D-twa Polskich Sił Zbrojnych. Pracowały z poświęceniem w sierocińcu dywizyjnym w Kermine, jak również opiekowały się ludnością cywilną zgromadzoną na stacji Kermine.

Praca z dziećmi w szkołach w tych warunkach nie była łatwa. Okrutny los wojny zniszczył ich domy rodzinne, wyrwał ze szkół, pozbawił możności uczenia się w języku ojczystym, odebrał książkę polską, rzucił przemocą na obcą ziemię, w obce środowisko. Trzeba było włożyć wiele trudu i wysiłku w tę pracę, zwłaszcza, że nie było podręczników, ani też pomocy naukowych. Nieliczne książki, które udało się zebrać wśród ludności cywilnej, młodzieży i wojska, były kroplą w morzu wobec obecnych potrzeb i zadań.

Należałoby w tym miejscu podkreślić wysiłek i pracę dr Janiny Pilatowej, której w posiołkach w ZSRR leżało na sercu nauczanie dzieci polskich. Opracowywała podręczniki dla dziatwy w zakresie szkoły powszechnej, pisząc je ręcznie, a niejednokrotnie nawet ilustrując. Dziś do

Nasze dzieci w ZSRR

rąk każdego żołnierza trafiły trzy książki w jej opracowaniu pt. „Polskim szlakiem".

W sierocińcu dywizyjnym 7 D. P. dzieci stale pozostawały pod opieką ochotniczek i śp. st. kapelana J. Króla. Ponad tysiąc sierot z tego sierocińca wyjechało podczas pierwszej ewakuacji w marcu 1942 r. Pozostałe przebywały tam aż do chwili ewakuacji sierpniowej. Przez cały ten okres sierociniec w dalszym ciągu prowadziły ochotniczki. Podobnie i w Jangi-Jul zarówno dzieci będące w sierocińcu, jak też i te, które były z rodzicami w obozach cywilnych przy Sztabie objęte były opieką ochotniczek. Sierocińcem opiekowały się całkowicie ochotniczki, one też zajęły się rozdawnictwem preparatów odżywczych i produktów w postaci cukru, kaszki, czekolady i daktyli. Ewakuacja sierpniowa sierocińców i szkoły powierzona była ochotniczce. W sumie wyjechało ponad dwa tysiące dzieci.

Najwięcej ludności cywilnej było w ośrodku zapasowym Guzar i Centrum Wyszkolenia Armii Wrewsko. Wrewsko posiadało szereg ochronek i obozów junackich. W ośrodkach tych ochotniczki ofiarnie spełniały swoje obowiązki, by nieść pomoc ludności cywilnej i dzieciom.

W okresie pobytu Armii Polskiej w ZSRR widzimy ochotniczki nie tylko niosące pomoc ludności cywilnej — dorosłym i dzieciom. Coraz częściej zaczęły się zdarzać wypadki tyfusu i dyzenterii. Wkrótce epidemia przybrała zastraszające rozmiary. W szpitalach dywizyjnych brakło miejsca dla chorych — choroby zabierały codziennie, co godzinę nowe ofiary.

Obok tych, które znały pracę szpitalną, stanęły do pracy masowo także inne — były to świetliczarki, nauczycielki, młode dziewczęta bez zawodu — stanęły wszystkie do walki z tą klęską, dziesiątkującą ludność uratowaną już z niewoli.

Noc, dzień i znowu noc — czas przestał istnieć. Chorzy majaczyli w gorączce, leżeli nieprzytomni, powieki ich ciężko opadały, ciało leżało bezwładne. W oczach tych, które na chwilę otwierały się, tyle było błagania o pomoc, o ratunek, o życie. Ani zmęczenie, ani trud nie potrafiły zmóc te kobiety, które przecież same były wycieńczone i schorowane.

Dobrze znane jest nazwisko dr Duczymińskiej. Praca, poświęcenie, wyrzeczenie się siebie tej kobiety-lekarza, ochotniczki P.S.K., przewija się jak jasną wstęgą, poprzez wszystkie drogi naszego tułaczego życia. Znają ją dzieci, które obecnie są w Indiach lub Afryce, zna ludność cywilna, zna niemal każda ochotniczka i każdy żołnierz. Niosła pomoc lekarską Polakom i ludności miejscowej na wygnaniu i w okresie tworzenia się Armii Polskiej w ZSRR, w malowniczej Persji, na pustyni irackiej, w zielonej Palestynie, na piaskach Egiptu. Dzisiaj jest ona z walczącym żołnierzem na ziemi włoskiej.

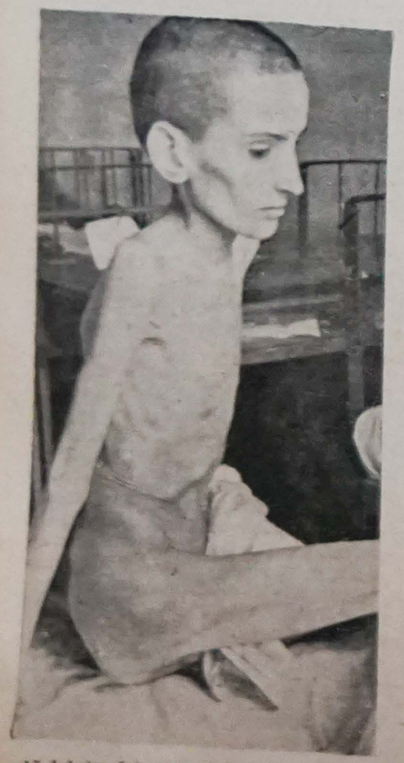

15 letnia dziewczynka w szpitalu we Wrewsku, r. 1942

Marzec 1942 roku — pierwsza ewakuacja wojska polskiego i ludności cywilnej z ZSRR do Iranu. Sztab D-twa Polskich Sił Zbrojnych mieścił się wówczas w Jangi-Jul, a w promieniu kilkudziesięciu i kilkuset kilometrów znajdowały się — oddziały wojska polskiego, wokół których gromadziła się ludność cywilna.

Dnie marcowe pełne były ciepłych powiewów wiosennych i słońca, a w umysłach naszych budziła się z tą wiosną myśl o dalekiej wolnej drodze, o Morzu Kaspijskim, o nieznanych górach Persji. Prace związane z ewakuacją odbywały się w gorączkowym pośpiechu. Czas naglił. Gen. Anders dokładał wszelkich starań, by z wojskiem wyjechała jak największa ilość ludności cywilnej i dzieci. Chciał uratować ich przed zgubą, chciał wyrwać z rąk czyhającej śmierci, z bezkresnych pustych obszarów nędzy i głodu. Trzeba było poza rodzinami, które były zgromadzone w oddziałach lub w ich pobliżu, sprowadzić te, o których wiedziano gdzie są i te, które należało odszukać. Trzeba było jeździć i szukać, by natrafić na jakiś ślad. Odnalezionym podać rękę, okazać pomoc materialną, przyspieszyć decyzję wyjazdu. Referentka objazdowa Biura Opieki nad Rodzinami Wojskowymi — ochotniczka P.S.K. została delegowana na inspekcję wzdłuż linii kolejowej Jangi-Jul — Kermine. Spotykała na tej trasie rodziny, które nic nie wiedziały o ewakuacji marcowej. Pracowały ciężko przy zbieraniu bawełny. Tym wszystkim zorganizowano pomoc i wywieziono podczas ewakuacji sierpniowej.

Wiele pracy i zapału włożył w akcję sprowadzania rodzin, poszczególnych osób — kobiet i dzieci, Inspektorat Główny P.S.K. z Inspektorką Bronisławą Wysłouchową na czele, uzyskując na ten cel specjalne fundusze, wysyłając telegramy, wezwania, a nawet specjalnych ludzi, którzy mieli osobiście konwojować na miejsce rodziny, zostające w głębi ZSRR.

* * *

Wzdłuż piaszczystego brzegu Morza Kaspijskiego, na ziemi perskiej, wyrosło nowe miasto, którego wczoraj jeszcze nie było. Dziś miasto to zaludniło się tysiącznymi rzeszami wojska i ludności cywilnej.

Ludnością cywilną, pomieszczoną oddzielnie od wojska, w dużej mierze opiekowały się ochotniczki, przydzielane do tej pracy przez Inspektorat Główny. Cały obóz był wstrząsającym dokumentem historii dwóch lat tułaczki na ziemi sowieckiej. Ludzie marli z wycieńczenia, dziesiątkowały ich choroby. Leżeli pokotem jeden obok drugiego, nie mając sił, by wrócić do życia.

W okresie tym najwięcej miały pracy siostry i sanitariuszki. Obóz angielski, który przyjął ponad pięćset dzieci polskich, także zapotrzebował do pomocy ochotniczki.

Ci, którzy zdolni byli do dalszego transportu, po kilku lub kilkunastu dniach, wyjeżdżali do obozów ludności cywilnej w Teheranie. Obsadę tych obozów w większości stanowiły ochotniczki. I tu znów podobnie jak w ZSRR, ochotniczki - nauczycielki wykładały w szkołach, siostry i sanitariuszki pracowały w szpitalach, wychowawczynie — w sierocińcach, ochotniczka — harcerka organizowała harcerstwo wśród młodzieży. Dorośli i dzieci powoli wracali do życia, dzięki pracy i opiece, jaką nad nimi roztoczono. Wkrótce po przybyciu ludności cywilnej do Teheranu, zaczęto organizować szkoły powszechne i przedszkola w Ispahanie, gdzie kierowniczkami i nauczycielkami były ochotniczki. Częściowo dzieci zostały wysłane do Indii.

Bezpośrednio po przybyciu z ZSRR kilkadziesiąt ochotniczek wyjechało na punkty ewakuacyjne, które były rozrzucone na terenie Iranu i Iraku. Pracowały one w świetlicach, kantynach, gospodach, szpitalach i ambulatoriach.

Szlak żołnierza polskiego szedł poprzez góry perskie i pustynię iracką. W Iraku nie było ludności cywilnej, ale byli żołnierze. Polska YMCA zakładała dla nich kantyny, w których pracowały odkomenderowane z wojska ochotniczki. Przez pewien okres czasu organizacja tych kantyn powierzona została ochotniczce.

W „Gospodzie Polskiej" w Bagdadzie, finansowanej przez Polski Czerwony Krzyż, poza kierowniczką — ochotniczką, pracowało dwanaście kobiet z P.S.K. W upalne dnie od rana do wieczora krzątały się w Gospodzie, obsługując dziennie ponad tysiąc żołnierzy polskich i alianckich. „Gospodę Polską" w Bagdadzie znała cała „polska pustynia iracka".

Pobyt w Palestynie — to okres intensywnego szkolenia ochotniczek. Mimo to, wiele z nich zostaje odkomenderowanych do prac ściśle społecznych.

Świetlica Domu Żołnierza Polskiego w Jerozolimie, dzięki wysiłkowi i pracy ochotniczek nabiera miłego przytulnego wyglądu i tętni życiem. Szkoły junackie i szkoły młodszych ochotniczek otrzymują obsadę administracyjną i personel nauczycielski z P. S. K.

Kiedy w Tel-Avivie wybuchła epidemia tyfusu, Delegatura P. C. K. zwróciła się z prośbą o siostry i sanitariuszki. Inspektorat Główny nie odmówił. Poszły ochotnie bez szemrania, nie bacząc na to, że znajdowały się wówczas w Palestynie kobiety cywilne, pobierające zasiłki i nigdzie nie pracujące. Na szczęście epidemię zduszono w zarodku — ochotniczki mogły wrócić do pracy w wojsku.

Złociste gaje pomarańczowe i zielone ogrody pozostały za nami. Nowy kraj, nowe domy — namioty na piaskach Egiptu. — W Delegaturze P. C. K. w Kairze ochotniczki szybko i sprawnie przygotowują paczki dla jeńców w niewoli niemieckiej. Każdego tygodnia stos kilkuset paczek piętrzy się gotowy do wysyłki. Pierwszy etap — Genewa, a stamtąd wędrują już prosto do rąk tych, którzy od kilku lat odgrodzeni od świata drutem kolczastym — trwają. Właśnie te paczki bezimienne dodają im nie tylko sił fizycznych do przetrwania, ale i ducha.

Jedyną placówką polską w Kairze był dom P. C. K., tzw. „Dom Żołnierza Polskiego", całkowicie zorganizowany przez ochotniczkę. Żołnierze, przyjeżdżający z pustyni egipskiej na wycieczki, znajdowali w tym domu chwilę wytchnienia i odpoczynku. Setki żołnierzy spożywało tam obiady i kolacje. Liczba 4.643 osób, które korzystały z noclegów w okresie roku od grudnia 1943 r., jest dowodem, że dom ten był potrzebny, że spełnił swoje zadanie. Wycieczki harcerek i junaków znajdowały w Domu Żołnierza Polskiego ciepło domowego ogniska. Często wśród odwiedzających gości widać było Amerykanów polskiego pochodzenia, Anglików i Jugosłowian.

* * *

Ziemia włoska powitała nas wiosennym słońcem. Po trudach walk i zmagań nadludzkich — przyszły zwycięstwa. Monte Cassino to nie był cud — to był niezrównany czyn żołnierza polskiego.

W czasie walk o Monte Cassino, w okresie od 12 maja do 20 czerwca, kursowały cztery pociągi sanitarne. Miały one za zadanie wyewakuować ciężko rannych z głównych punktów opatrunkowych do szpitali. W pociągach tych obok angielskich lekarzy i sanitariuszy były ochotniczki P. S. K. Ochotniczki - tłumacze przybywały do szpitali z jednym transportem rannych, aby bez odpoczynku wracać po następny.

Nie sposób jest w ramach krótkiego artykułu odzwierciedlić całość pracy społecznej P. S. K. Bo przecież praca każdej z nas jest pracą społeczną. Cel tych wszystkich prac jest jeden — służenie walczącemu żołnierzowi.

A. Łagowska

Dzieci, które przyjechały z Buchary do Jangi-Jul

Jadwiga Czechowiczówna

DZIĘKI *)

Dzięki Ci, Boże, za wygnanie,
Za mój opustoszały Dom,
— Za ból, za rozpacz, za czekanie —
Niech tylko z męki mej powstanie
Sen — niepodobny wszystkim snom!

Dzięki Ci, Boże, za te krzyże,
Które mi sam pomagasz nieść,
Daj mi się ugiąć jeszcze niżej,
Niech tylko przez to się przybliży
Najradośniejsza, cudna Wieść!!

*) *Wiersz pisany w r. 1941 na wygnaniu w ZSRR*

Junaczki w Pahlevi po wyjeździe z ZSRR

W DNIACH BITWY O MONTE CASSINO

(OBJAZDEM PO PLACÓWKACH P. S. K.)

Już od rana 11 maja 1944 r. na terenie D-twa Kantyn szeptano sobie w ścisłej tajemnicy, że to już dziś w nocy rozpocznie się ofensywa. W południe tegoż dnia wiedziałyśmy wszystkie, że ofensywa rozpocznie się o godz. 23-ej ogniem całej artylerii, w sile 11.000, albo... 1.100 dział. Potem ma iść natarcie, a nad ranem należy spodziewać się, że Monte Cassino „na mur" będzie nasze.

Objaśniano nas poglądowo o rozmieszczeniu i położeniu naszych oddziałów, a jako punkty orientacyjne podano nam pasmo wzgórz, które oddzielało nas w niewielkiej stosunkowo odległości od linii frontu.

Około godz. 18-ej tajemnica poranna stała się powszechnie znana. Dowódca 8 Armii gen. Leese i dowódca 2 Korpusu gen. dyw. Władysław Anders wydali oficjalne rozkazy w związku z mającą rozpocząć się ofensywą. Rozkazy te zostały odczytane przed frontem wszystkich oddziałów.

Tego dnia praca szła jakoś opornie, gdyż cały wysiłek woli i umysłu skierowany był ku temu, co miało rozpocząć się w najbliższych godzinach. Był w nas i niepokój i równocześnie jakby świąteczny nastrój. Zniknęły troski i bóle osobiste tak małe i nieważne w obliczu nadchodzącej chwili walk i zwycięstwa. Wszyscy wiedzieli, gdyż tak czuli, że to nie będzie tylko zwycięstwo żelaza i siły fizycznej, lecz ducha żyjącej w nas Polski.

W miarę jak mijały godziny, wzrastał nasz niepokój. Czy nie stanie coś na przeszkodzie, czy Niemcy nie zorientują się przedwcześnie, co mogłoby spowodować większe straty i ofiary po naszej stronie.

Już o godz. 22-ej żadna z nas nie mogła spokojnie usiedzieć w namiocie. Pod drzewami słychać było przyciszone rozmowy i szepty. W przyrodzie panowała niezmącona cisza, której dzisiejszego wieczoru nie przerywał nawet natrętny codzienny warkot nieprzyjacielskich samolotów. W końcu ucichły i szepty. Zwrócone twarzami ku pasmu wyraźnie zarysowujących się na horyzoncie wzgórz, zastygłyśmy w oczekiwaniu.

Nagle na naszym terenie dały się słyszeć krzyki i tupot nóg. Hania poderwała się pierwsza; pobiegłam za nią w kierunku niepokojących hałasów. I cóż się okazało. Jakiś spóźniony przechodzień — żołnierz zaplątał się w sznury namiotu, nie dostrzegając ich w ciemności. Namiot runął, a z pod płacht wygrzebał się przestraszony właściciel. Za chwilę znów zapanował spokój i cisza, a my wróciłyśmy na swoje miejsce.

Czas płynął powoli. Za dziesięć minut 23-cia. Jeszcze pięć minut, trzy, jedna. Na odcinku 5. K.D.P. wystrzeliła rakieta. Jedna za drugą wzbijały się wzdłuż całej linii w kierunku Karpackiej.

Huraganowy ogień artylerii. Niebo stało się białe — było zupełnie widno. Niesamowity huk, łoskot, dudnienie. Wśród ogłuszającego huku dział, słychać było jednostajne huczenie niemieckich samolotów. Tuż nad naszymi głowami było ich kilka. Wsunęłyśmy się do dołów przeciwodłamkowych, które od tygodni były naszym stałym pomieszczeniem nocnym. Dzisiejszej nocy było nas sześć. Pomimo ciepłej włoskiej nocy było nam zimno. Minęła północ. Działa nie milkły. Samoloty nieprzyjacielskie krążyły bez przerwy. Już po pierwszej. Jutro czeka nas praca. Pełne trosk i niepokojów wróciłyśmy więc do namiotów. Artyleria grała ciągle z niesłabnącą siłą. Trzecia. Za kilka godzin na pewno będą jakieś wiadomości.

Wtem usłyszałyśmy warkot motocykla, a za chwilę odgłos zbliżających się do namiotu kroków.

— Goniec do pani komendantki.

— Co tam?

— Pilne pismo.

W nikłym świetle zapałki zobaczyłam bladą twarz Heni i drżącą w jej rękach kartkę. Ale twarz rozjaśniła się — więc nic złego, nic złego... Henia powiedziała:— To znany nam już rozkaz gen. Andersa.

Z nastaniem dnia, ogień artylerii jak gdyby zmalał. Za to na naszym terenie zaczął się ruch. Wozy kantyniarskie naładowane po brzegi przygotowywały się do wyjazdu w teren — do C.C.S., a następnie do szpitala polowego.

Kiedy przyjechałyśmy na miejsce, sale i namioty były już przepełnione rannymi, o bladych papierowych twarzach, na których pomimo cierpienia malował się spokój i pogoda. Urywanymi zdaniami, ledwo dosłyszalnym głosem opowiadali, mówili. Wśród nich krzątały się siostry, które choć ledwie trzymały się na nogach, nie przerywały pracy.

„Siostro! Aleśmy im dali, Monte Cassino będzie nasze!"

„Ale ja prędko wstanę, ja muszę wrócić do mojego oddziału."

Byli i tacy, którzy po zrobieniu opatrunku, a nawet tuż po operacji żądali natychmiastowego wypisania ich ze szpitala.

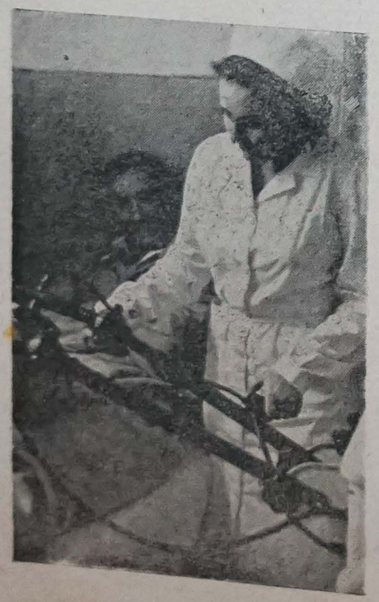

(fot. inż. Ostrowski)
Elektroterapia

„Musieli" przecież wracać. Tych trzeba było pilnować dniem i nocą.

Na sali chirurgicznej zobaczyłam siostrę U., o której mi powiedziano, że jest bez lęku, czy też bez nerwów. Nie bała się wcale nalotów i ciągle tu była w tym namiocie. Tylko rozkaz zmuszał ją do krycia się w rowie przeciwodłamkowym, ale nigdy w nim nie przebywała dłużej nad kilka minut. To samo mówiono mi o siostrze A. i o innych. Przepadła gdzieś ta „wrodzona" bojaźliwość kobiet — pomyślałam — nie bez satysfakcji i... wzruszenia.

Na terenie C. C. S. znajdowała się radiostacja z kobiecą obsługą. Trochę zmięte ze zmęczenia, ale skupione twarze ze słuchawkami na uszach. Po kartkach papieru szybko posuwał się ołówek. Obok w namiocie pochylone głowy szyfrantek. Goniec motocyklowy już czekał. Wszystko w tym dniu było bardzo pilne. W drugiej radiostacji, znajdującej się przy Stacji Zaopatrywania — to samo skupienie i ten sam pośpiech.

Następnego dnia pojechałam z Henią do Aquafondata, gdzie na wysuniętych placówkach były dwie nasze kantyny. Wąska serpentyna, którą wspinamy się w górę, zawsze nocą była ostrzeliwana przez Niemców. Spojrzałam w dół. Na zakręcie ukazał się ambulans z francuską flagą. Dopędził nas i minął. Spieszył się, bo wiózł rannych. Przy kierownicy — młoda dziewczyna. Doznałam głębokiej radości na widok tej Francuzki, że nie tylko my ale i one są tak samo w tej wojennej pracy.

Wydostałyśmy się na rozległą dolinę, okoloną zielonymi wzgórzami. Obok nowo powstałego cmentarza wojskowego — stanowiska dział naszej artylerii. Więc i polegli nie mogli zaznać spokoju w tamtych dniach. Kiedy w kilka tygodni potem, byłam znowu w tych stronach, na cmentarzu był spokój, świegot ptasi i gorące słońce południowej godziny. Wojna odeszła z tych stron dalej na północ, a umarli śnili swój sen o zwycięstwie.

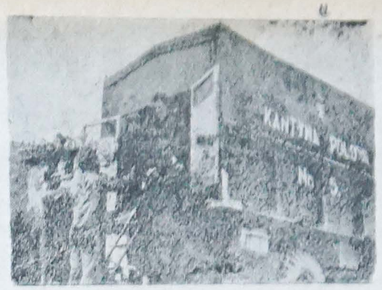

Kantyna w pobliżu frontu

Teraz jednak szło jeszcze wszystko trybem wojennym. To też w jednej z naszych kantyn podczas dwóch ostatnich dni frekwencja była tak duża, że wyczerpały się wszystkie zapasy i kantyna była chwilowo nieczynna. Kantyniarki martwiły się tym, ale te dwa dni — ten ruch — to zadowolenie żołnierzy. Właśnie wróciły dziewczęta z przedstawienia czołówki teatralnej, która aż tu dotarła.

Wóz musi być w porządku..

W drugiej kantynie, która obsługiwała wysunięty rzut opatrukowy — praca inna. Kilka namiotów. Wnoszono i wynoszono rannych. Po nałożeniu lub poprawieniu opatrunków, zrobieniu zastrzyków, należytym zaopatrzeniu, rannych ewakuowano na tyły. Nie było tu kobiecej obsługi sanitarnej ze względu na warunki niebezpieczeństwa i na... brak etatów. Tym szerszy zakres pracy miały kantyniarki. Były jednocześnie siostrami i sanitariuszkami. Było ich cztery, pracowały po dwie na zmianę... bez względu na warunki niebezpieczeństwa.

Następnego dnia, w drodze do odległej Bazy Korpusu wstąpiłyśmy do naszego wojennego szpitala ewakuacyjnego. Zagubiłyśmy się, zatraciły w tym gorączkowym tempie. Ani słowa przemówić do kogo. Wstąpiłam do mieszkań sióstr. Wprawdzie zastałam kilka odpoczywających po dyżurze nocnym, ale o czymże tu mówić z nimi? Myślały tylko o jednym i tym samym — o rannych. Było coś zdumiewającego w tych kobietach, jakaś zaciętość obowiązku czy — serca.

Udałyśmy się następnie do Bazy. Pracy i tu wiele, wprawdzie spokojniejszej, ale niemniej wytężonej. Kobiety pracowały w szpitalach, herbaciarniach, świetlicach, biurach.

Wreszcie przybyłyśmy na teren kompanii transportowej P. S. K., która nie dawno opuściła Srodkowy Wschód. Na razie przydzielona do Bazy, była tu największą jednostką transportową. Drajwerki w tym okresie pracowały tu dosłownie w pocie czoła. Tak samo we wszystkich ośrodkach łączności pracowały kobiety.

Inspekcja potwierdziła we mnie to, co zawsze wiedziałam o moich koleżankach — że gdy przyjdzie ważna chwila spełnią swój obowiązek jak najpiękniej.

Maria Trojanowska

...i woda w chłodnicy

Szyfrantki (rys. L. i Z. Haarów)

KONCERT

Szeleści miękki jedwab, i w dekoltach damy
Rzucają po salonie blaski brylantowe.
Jarzą się gęsto świece. Pozłacane ramy
Ozłacają rycerzy podgolone głowy.

Słychać stłumione szepty i ciche westchnienia.
Nagle szepty umilkły, i we drzwiach od tyłu
On stanął. Przyszedł blady, płonący natchnieniem,
By zagrać na wieczorze w domu Radziwiłłów.

To było dawno.
Ale dziwne skojarzenie
W mózg się wplata i nie wiesz, gdzie jesteś dokładnie
Jest salon ale inny. Tamto — zwid, marzenie
Na duszę ci się smutnym przypomnieniem kładnie.

. . . . . .

Wszedł blady i przy czarnym usiadł fortepianie.
Już klawisze w tragicznym nokturnie mrą z żalu,
W srebrnych lichtarzach świece widmowo się palą
I wiszą w ramach złotych portrety na ścianie.

Żali się, żali nokturn. Tęsknota, tęsknota
Oplata serce. Cicho za oknem śnieg prószy.
Smutek opadł na salon jak lekka pieszczota.
Płacze tęsknie muzyka i coś płacze w duszy.

Poruszyła się Księżna i fortepian jęknął.
A w tej chwili na Rossie serce, serce pękło...

— Gdy się budzisz, w salonie, w odległym salonie
Patrzy ze ścian Jan Kazimierz i Król Jan Sobieski,
Ogień w kominku tańczy, i trzaskając płonie
Na ciemnym tle rysując dziwne arabeski.

Po białej klawiaturze mkną wysmukłe palce
I rozmarza, osmutnia mistrz leciuchnym walcem.
Romantycznie i rzewnie brzmi czarowna nuta
To miłość do Maryli wierna i szalona,
To gorzki chleb wygnania tęsknotą zatruty.
Patrz, Szopen wstaje z grobu, by drugi raz skonać.

Czas płynie. Już mazurek, zbudziwszy klawisze,
Przerywa rozmarzoną, romantyczną ciszę,
Dzwoni melodia dawnym, staropolskim echem
I panie w takt mazurka chylą się z uśmiechem.

Przestrzeń serca nie zmieni. Serce będzie wierne
I zawsze się poderwie w takt znanej piosenki.
Miłe tony mazurka, to jak miłosierne
Dotknięcie bardzo dobrej, bardzo bliskiej ręki.

„Polonezu czas zacząć".
Polonez... Mickiewicz...
I cała z „Tadeusza" wybrana kapela.
A ponad wszystko słyszysz i dokładnie nie wiesz,
Czy ci się śni, czy marzy ów koncert Jankiela.

Przelatujesz myślami wszystkie wiersza zwroty
I dochodzisz do miejsca, gdzie się tony plotą.

Posłuchaj. Gdy ci duszę świat tonów zachwyca,
Gdy do mózgu się wlewa poemat akordów,
Tam teraz też jest zdrada, tam też Targowica
I tam dzisiaj na Matce dokonują mordu!

Już milkną ostatnie poloneza tony
I toczy się przez salon wspaniała etiuda.
Daj rękę. Szum mam w mózgu i wzrok rozogniony.
Czy czujesz, ach, czy czujesz oddech wielkoluda?

Tam, pod ziemią, o Carze, kują broń na ciebie.
Nie umkniesz tej straszliwej, natrętnej pogoni.
Choć ty, Carze, na ziemi — Pan Bóg jest na niebie.
To ciebie, Carze, gonią w sto tysięcy koni.
Carze mocny i groźny, o Carze Czerwony!
Biegną, grożą i tłoczą się prorocze tony,
O serce, nie tak mocno bij, o głupie serce!
Białe róże zakwitły pod lasem, na polu,
Z róż białych i czerwonych róż — całe kobierce...
To sztandar, sztandar w słońcu lśni na Akropolu!
Zbudź się.
Fortepian umilkł. Ale w głuchej ciszy
Głos jakiś się podnosi, jak głos Archanioła,
I rośnie głos ten, rośnie, czy słyszysz, czy słyszysz?
To Szopen powstał z grobu i o zemstę woła!

. . . . . .

Poszarpana chorągiew.
Na Monte Cassino
Płoną maki, lśnią maki, jak krew purpurowe.
Za sztandar z Białym Orłem młodzi chłopcy giną,
A w Lublinie Ojczyznę krają na połowę.

Twój sztandar jest płonący, bo we krwi zbroczony,
Odżyłeś dawny Carze i twoje morderce.
Carze straszny i mściwy, o Carze Czerwony.
Przez ciebie dziś na Rossie pękło biedne serce,
Przez ciebie Szopen dzisiaj na klawiszach skonał
I dusza rwie się w głuchej, rozpaczliwej męce.
Drżyj Carze!
Na klawiszach rozszalałe ręce
Rzucają w świat pieśń straszną, z tragedii zrodzoną,
Pieśń dzwoniącą triumfem, nadzieją upartą,
Co losy przezwycięży i do gwiazd dopłynie.
Proroczą pieśń, że „Wisłę przejdziemy i Wartę",
Że „Jeszcze nie zginęła".
— I nigdy nie zginie!

Wanda Bojcza-Babińska

(„Tygodnik Polski" 11 marca 1945)

Ostatnia defilada przed trumną Wielkiego Marszałka

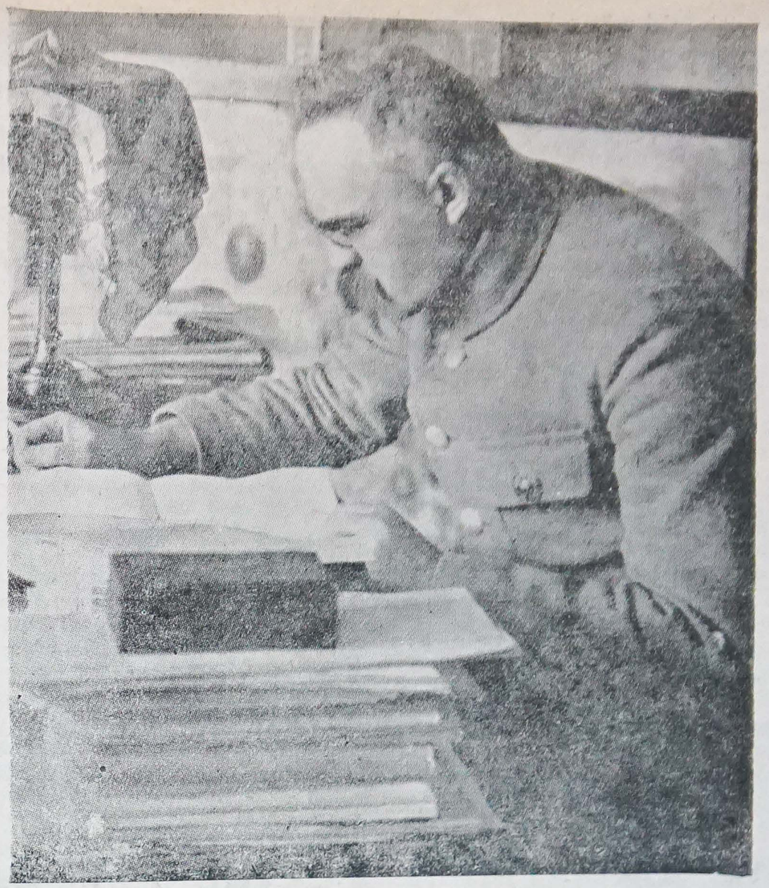

Marszałek Piłsudski w Sulejówku (1925 r.)

azimierz Wierzyński

NOCNY POCHÓD

**Nasamprzód szła piechota, bił werbel kościsty
Do ust podnieśli trąby, lecz fanfar nie było.
Księżyc stanął i patrzył — w pochodniach asysty
Pogrzeb przykrył się nocą, jak bratnią mogiłą.**

**Potem szło konne wojsko, dzwoniły kopyta,
I drugi werbel podniósł się z ziemi odgłosem,
Dudnił grób i szumiała mogiła zakryta:
To naród stąpał ciężko, szedł za swoim losem.**

**I tylko tyle pochód milczący ten gadał
O Tym, co włożył pałki do ręki doboszom,
Co konie wyprowadził i wojsko układał
I dziś je wiódł śmiertelnym powierzony noszom.**

**Bębniła śmierć koścista, werbel jeszcze warczy
Na armacie ostatnie usłano mu łoże.
— Czy Ty w trumnie odjeżdżasz, czy ległeś na tarczy?
...I płakali żołnierze. I szeptali: Boże!**

PRZYPOMNIENIE

„Nienawidziłem zawsze słabości, która epiększać się chce dzwiękami słow bez treści". — J. Piłsudski

Wielkość ludzka, gdy jest prawdziwa, nie mija wraz ze śmiercią. Nie przestaje wpływać dalej na bieg życia, wycisnęła bowiem ślad w duszach ludzkich.

Wspomnienie wielkości każe nam doznawać raz jeszcze siły działania wybitnych jednostek. Przybliżamy się wtedy do źródła tej niepokojącej i tajemniczej mocy człowieka, która o wielkości stanowi.

Jakże są różne wspomnienia i jak różnych doznajemy stąd natchnień —

W rocznicę śmierci Piłsudskiego nasza społeczność walcząca szuka wspomnieniem tego, co by krzepiło ją d z i ś — w coraz ciaśniejszym kręgu walki. Odsuwa od siebie niedbale wszystko, co choćby w najpiękniejszej formie jest tylko kultem słowa, lub tylko falą wspomnień osobistych, sentymentalnym powtórzeniem dawnych przeżyć. Odtrąca wszelką „lirykę bezradną".

Zdolność odczuwania zajęta jest w pełni bieżącym nieszczęściem. Cierpliwość zdarzeń zdaje się być do dna niemal wyczerpana i nie ogląda się już za słowami pociechy, czy współczucia — te tylko dławią — a pragnie doznać ostrego bodźca podniety. Chce potwierdzenia swojej drogi ofiar. Chce z całą bezwzględnością słyszeć, że jakkolwiek straszna i pełna samotnego ryzyka okazuje się wybrana droga walki — to jednak jest ona drogą jedyną. Poza nią tylko ułuda słów i obietnic — tylko „upiększanie słabości dźwiękami słów bez treści".

W dziesiątą rocznicę, bardziej niż kiedykolwiek mamy nastawiony słuch na płynące z za grobu wezwania Wielkiego Bojownika. Narzuca On nam nieodparcie odwagę c a ł e j prawdy. Walczący m u s z ą w ostrym świetle dnia, z pogardą do wszelkiego półmroku, rozeznawać siebie i wszystko co ich otacza. I im ciężej walczą — tym bardziej muszą...

Koniecznością jest wówczas świadoma wola wszystkich w szeregach. Każde kłamstwo nieszczerej pociechy wydać się musi nużącym i bezpłodnym, a nienaw-

wistnym wprost się staje słabowite i bezwolne powierzanie się cudzej opiece, czy łasce losu.

Czujemy, że idzie najtrudniejszy czas. Skończy się wkrótce wojna z naszym pierwszym napastnikiem i zapanuje w świecie gorliwe usiłowanie by utrzymać w pełni ciszę cmentarza rozpostartego na naszej ziemi.

A my, im jaśniej widzimy ów cmentarny system, im lepiej pojmujemy, że prawdziwy udział Kraju w tworzeniu swojej przyszłości został wdeptany w ziemię — tym bardziej rozumiemy, że uległy wielkiej zmianie zadania wojska na emigracji. Poczyna ono nieść nie tylko ciężar walki zbrojnej, ale także ciężar całego losu wojny dla narodu. Daje ono naszemu przedstawicielstwu — Rządowi — o wiele więcej niż jakąś posłuszną siłę, bo daje mu realne oparcie o świadomość i wolę narodową, wolę wyrażaną w sposób nie kłamany, bo przez walczących. To też na nim — na wojsku, przede wszystkim na nim jako na głównej części polskiej emigracji, ciążyć będzie także odpowiedzialność za charakter naszego udziału w dalszym, nowym etapie wojny, jaki mamy przed sobą.

W kręgu ostrych konfliktów, które toczyć się będą poprzez kraje, gdzie nam przebywać wypadło, w burzliwej fali ideologicznej walki o nowe hasła przeciw wschodniemu kłamstwu i przeciw wczorajszej obłudzie — okazać się ma jeszcze raz twórcza, młoda siła naszego narodu. Winna ona stać się ogniskiem odradzającej się wiary i siły w Europie.

Na ten etap nie starczy zwycięsko złożony, wspaniały nawet dowód dzielności i ofiarności w walce. Inne jeszcze wartości ducha — ducha zdolnego budować lepsze życie — muszą być z nas wydobyte, by zabłysły jako oręż ideologiczny, by pozyskały Polsce nie tylko zrozumienie i bezradną sympatię, ale przysporzyły jej towarzyszy walki spośród innych zagrożonych, lub już pozbawionych wolności narodów.

Słabi, zmęczeni wołać będą: "Spełniliśmy swoje, niech sprawiedliwość dziejowa dochodzi teraz do głosu, niech możni tego świata w ocenie naszych zasług — otoczą nas opieką. Zaufajmy naszym prawom i losowi. W szlachetności sprzymierzonych odnajdziemy podstawy do spełnienia nadziei. Zdobyliśmy już prawo spokojnego oczekiwania".

Kto wspomni n a k a z y P i ł s u d s k i e g o — uderzy myślą w truchło tych tanich i łatwych nadziei, odegna od siebie „słowa bez treści upiększające słabość", pójdzie dalej swą drogą — drogą Jedyną.

Juliusz Poniatowski

* * *

Serca swojego zatrzymać nie zdołał
I swej miłości... Stanął—podniósł czoła
I w puszczy głośno swojej matki wołał,
I ciągle wołał—a głos miał anioła.
—„Matko, gdzie jesteś?—mówi—jam podołał
Wrogom ojczyzny... jam święty kościoła!
A tu jęk słyszę, widzę tę pożogę,
Tę skałę w ogniach—a pomóc nie mogę"...

Juliusz Słowacki („Król Duch")

PRAWDY MONTE CASSINO I BOLONII

Gdy 2 Korpus lądował na ziemi włoskiej, jedno pytanie urastało do problemu: czy udział Korpusu w walkach na włoskim froncie będzie tylko zaznaczeniem polskiego udziału w tej kampanii i, jak to już leży w polskim stylu, obfitował we wspaniałe epizody, czy też zdoła Korpus na kampanii włoskiej wycisnąć piętno tak wyraźne, by można jej etapy nazwać p o l s k ą, o P o l s k ę n a z i e m i w ł o s k i e j k a m p a n i ę.

Nasuwało się też drugie pytanie: czy udział 2 Korpusu w walkach na froncie włoskim będzie proporcjonalny do siły liczebnej Korpusu, czy też znacznie procentowo wyższy w stosunku do wojsk alianckich.

Arytmetyka była przeciwko sprawie polskiej nie dopiero od momentu lądowania we Włoszech. Rozsądni politycy wiedzieli, że we wrześniu 1939 roku stosunek sił niemieckich i polskich skłaniał do nie przeciwstawiania się Niemcom. Do dziś nie rzadko gorycz doznanych rozczarowań dyktuje pytanie, czy nie lepiej było nie wykrwawiać całej Polski w 1939 roku i chociażby systemem czesko-beneszowsko-hachskim p r z e c z e k a ć.

Polityk, liczący rozsądnie z ołówkiem w ręku zyski i straty po każdym akcie politycznym, więc i po każdej wojnie i każdej bitwie — które przecież nie są niczym innym niż aktami politycznymi i tylko o tyle mają w historii narodu znaczenie i walor, o ile narodowi dają realne polityczne korzyści — miałby nie mało trudności w szukaniu odpowiedzi na te pytania. Znacznie mniej wątpliwości miał żołnierz 2 Korpusu i jego Dowódca, wychowany w tej samej szkole sowieckiego i niemieckiego cierpnienia, w szkole, w której prawdy Piłsudskiego — „ani z Niemcami, ani z Rosją" — uczyli nie „faszystowski" minister Beck, ale rutynowani wykładowcy: Gestapo i N.K.W.D.

Żołnierz 2 Korpusu nie wiedział jeszcze w lutym 1944 r., że kwiecień 1945 przyniesie mu dowód na to, jak czesko-beneszowska metoda prowadzenia wojny i polityki zakończy się nie tylko klęską interesów narodowych w obliczu przemocy obcej, ale i kompromitacją, bo sprowadzeniem rządu uprawiającego taką politykę do roli agenta obcego mocarstwa.

Wiedział natomiast żołnierz 2 Korpusu, że droga do Polski jest tylko jedna — d r o g a w i e l k o ś c i, i tę bezkompromisową drogę wybrał również w kampanii włoskiej. Poprowadziła go ona przez wielkie czyny i w wielkich bitwach wykuła się sława żołnierska 2 Korpusu, oraz dalsze elementy wielkości w tej wojnie.

Z bitew 2 Korpusu na ziemi włoskiej dwa wielkie zwycięstwa: M o n t e C a s s i n o i B o l o n i a ujmują w dwie klamry najwspanialszych czynów polskiej kampanię we Włoszech. Jakże do siebie podobne, jak pełne tych samych elementów, tych samych polskich prawd!

Monte Cassino to zwycięstwo, otwierające drogę armiom alianckim na Rzym, Bolonia otworzyła drogę alianckim armiom w dolinę Padu i — do ostatecznego zwycięstwa. Pod Monte Cassino, po bezskutecznych próbach wzięcia górskiej fortecy w trzech kolejnych alianckich ofensywach z polskim natarciem na najcięższym odcinku u samej nasady górskiej klasztornej kości, przez 593, Widmo, St. Angelo, przez linie Gustawa i Hitlera. Pod Bolonią, po czteromiesięcznym zastoju, przez kanały-fortece Senio, Silaro, Santerno i Gaiano, przez linie Irmgard, Laura, Paula i Dżingishana. Tu i tam, przy pełnym wykorzystaniu wszystkich środków technicznych nowoczesnej bitwy, nie wystarczyła ani artyleryjska nawała, ani czołgi, ale musiał przyjść piechur polski i schwycić za gardło przeciwnika. Przeciwnik tu i tam — nieomal ten sam. Najlepsze jednostki armii niemieckiej we Włoszech: spadochroniarze pierwszej lub 4 dywizji spadochronowej pod Bolonią, a szarotki z 5 dywizji górskiej spod Monte Cassino. Tu i tam w najszlachetniejszym wyścigu, bo wyścigu odwagi, flaga polska załopotała pierwsza spośród alianckich — jak gdyby symbol powtórzonego września. Tu i tam zwycięstwo, nie wyrażone w kilometrach łatwego pościgu, ani w kapitulacji niemieckiej załogi, ale w rozbiciu najlepszych niemieckich jednostek.

Lecz nie w wielkości i w znaczeniu operacyjnym zwycięstw leży najgłębsza jedność obu tych szczytowych wyrazów żołnierskiego czynu na włoskiej ziemi.

Ich jedność i najwyższe znaczenie leży w p o l i t y c z n e j w y m o w i e i w a r t o ś c i obu zwycięstw polskiego oręża. Oba były wyrazem najpełniejszej czynnej postawy polskiej w tej wojnie oraz zrozumienia tej prawdy zasadniczej, że t y l k o c z y n y i f a k t y d o k o n a n e p r z e z s a m y c h P o l a k ó w m o g ą z g o d n i e z p o l s k ą r a c j ą s t a n u k s z t a ł t o w a ć n a s z ą p r z y s z ł o ś ć. Oba zwycięstwa były najpełniejszym wyrazem polskiej woli walki. Oba były wyrazem suwerennej woli państwa i narodu polskiego. Oręż był obcy. Ale to pewne, że jak pod Monte Cassino i pod Bolonią, oręż ten raz wzięty do polskiej ręki, staje się polski, służy polskiej suwerennej woli i stwarza w tej służbie polskie fakty dokonane.

Oba zwycięstwa miały miejsce pozornie wbrew sytuacji politycznej, bo na przekór próbom dyktatu w sprawie polskiej równoznacznym z zamiarem likwidacji państwowości polskiej. Oba były protestem przeciwko zapomnieniu sprawy polskiej i praw polskich. Oba stwarzały najlepszą propagandę sprawy polskiej i były najpłomienniejszym zaprzeczeniem oskarżeń obcej propagandy zarówno niemieckiej, jak sowieckiej, jednakowo zmierzających do poderwania woli polskiej do suwerennej walki.

Lecz Monte Cassino i Bolonia to nie tylko czyny polityczne na użytek zewnętrzny. To a k t y p o l i t y c z n e o n a j w y ż s z y m z n a c z e n i u d l a u k ł a d ó w s t o s u n k ó w w e w n ą t r z n a r o d u p o l s k i e g o. Po Monte Cassino opinia Kraju orzekła prostymi słowy: „To zwycięstwo podniosło Kraj na duchu". Gdy pod Bolonią już u bram miasta wywiązała się ostatnia walka, która mogła opóźnić wkroczenie do miasta polskich oddziałów, do jednego z pułkowników podbiegł szeregowiec: „Panie pułkowniku, tu trzeba zostawić pluton, niech się biją, a my musimy iść tam!" — „Czemuż ty tak spieszysz" — zapytał z uśmiechem pułkownik. W oczach rozpalonego bitwą szeregowca jaśniały błyski: „P r z e c i e ż i c h t a m w K r a j u t r z e b a j a k o ś p o c i e s z y ć". Taka była odpowiedź żołnierza 2. Korpusu.

Nie dochodzą do nas teraz wieści z Kraju. Kraj pokryło zorganizowane milczenie przemocy. Ale każdy żołnierz w Korpusie wie czym była dla ściganych, poniewieranych wczorajszych żołnierzy Armii Krajowej wiadomość o wzięciu Bolonii przez Polaków, i czym była dla tych, którzy pod obcą komendą szli na Berlin. Ci z naszych szeregów, którzy pamiętają kpiące pytania sędziów śledczych w latach 39 do 41, jakiż to rząd uznają, kim to dowodzi gaspadin Sikorski? — mogą słyszeć teraz wyraźną odpowiedź więzionych dziś Jankowskiego, czy generała Okulickiego: „Jesteśmy rządu tego ministrami, którego wojska wzięły Bolonię".

I tu dochodzimy do prawdy Monte Cassino i Bolonii najtwardszej, ale zarazem jednej z najbardziej ważkich. Pod Monte Cassino musiał żołnierz 2 Korpusu mierzyć z karabinu do niemieckiego munduru, nie wiedząc, czy pod nim nie bije polskie serce. Nie śmiała mu zadrżeć ręka, choć mierzył w brata. Pod Bolonią ten sam brat, jeszcze wczoraj noszący mundur niemiecki, szedł już ramię przy ramieniu z weteranami 2 Korpusu po wspólne zwycięstwo. Więcej, przez wkroczenie do Bolonii nowo sformowanych polskich oddziałów jako pierwszych — onegdajsi żołnierze niemieccy stali się pocztem sztandarowym polskiego zwycięstwa.

Powtórzyła się i zakończyła zwycięstwem jeszcze raz stara prawda zbrojnej walki o Polskę. W legionach Piłsudskiego musiał legun mierzyć w mundur rosyjski, choć kryć się pod nim mogła polska pierś. Po co mierzył? Po to samo, co żołnierz pod Monte Cassino: by swego brata z munduru obcego wyzwolić, by na następnym etapie z nim razem dalej walczyć o Rzeczpospolitą.

Odwieczna to metoda wrogów polskich stroić się w polskie barwy i hasła, a Polaków przeciw Polakow rzucać. Metoda ta trwa. Nie wiemy, do jakiej

Zygmunt Turkiewicz: Po zajęciu Bolonii

Gen. Anders u stóp ruin klasztoru Monte Cassino

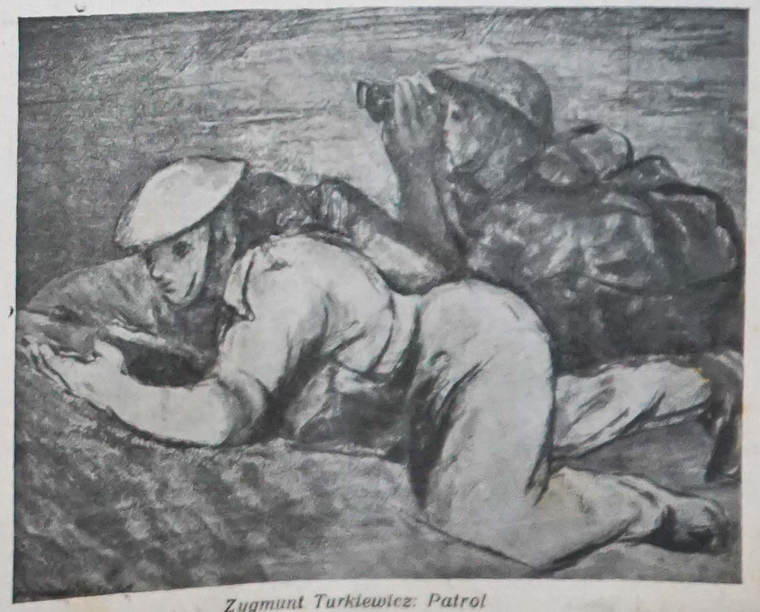

Zygmunt Turkiewicz: Patrol

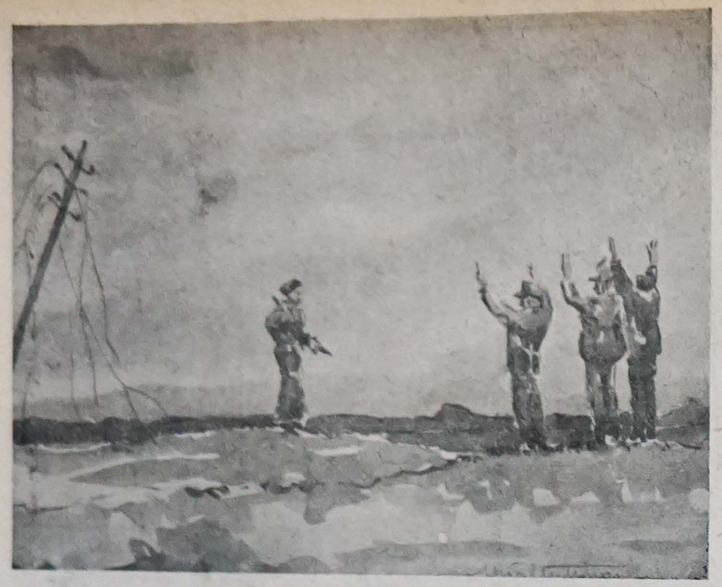

Wzięcie Niemców do niewoli — (rys. Walentynowicza)

jeszcze dojdziemy makabry, skoro dziś na konferencji w San Francisco o udział w niej Polski upomina się przedstawiciel państwa, które całą Polskę wzięło w kleszcze niewoli. Historia uczy nas jednak, jak kończą się takie próby, jak kończy się postawienie Polaków przeciwko sobie.

Legionista Piłsudskiego, który składać się musiał przeciwko żołnierzowi Polakowi w rosyjskim mundurze, z nim razem wszedł do armii wolnego, niepodległego państwa polskiego. Żołnierz spod Monte Cassino już pod Bolonią szedł ramię przy ramieniu z Polakiem wczoraj przymusowo ubranym w mundur niemiecki. Jeszcze raz okazała się prawda, że Polaków ani niemiecki ani rosyjski czy sowiecki mundur nie rozdzieli. Dziś, po upadku Niemiec, razem z wczorajszymi żołnierzami niemieckimi z przymusu i z jeńcami niemieckimi tworzymy jedną wielką armię suwerennego państwa polskiego, jedną wielką armię, obojętne, czy w pełni, czy nie w pełni zmobilizowaną, pozostającą pod rozkazami legalnego Rządu Polskiego i Naczelnego Wodza.

Oba zwycięstwa — Monte Cassino i Bolonia — miały też ogromny wpływ na układ wewnętrznych polskich stosunków politycznych na emigracji. Żołnierz, który zwyciężał w maju 1944 i w kwietniu 1945 r., wyznawał tę samą bezkompromisową ideologię walki o całą, prawdziwą niepodległą Polskę. Ta ideologia niepodległościowa była i jest siłą 2 Korpusu. Bez niej nie byłyby możliwe zwycięstwa Monte Cassino i Bolonii. Bo tylko żołnierz ideowy o najwyższych kwalifikacjach moralnych mógł zdobyć się na czyny tej miary, na najtrudniejsze zwycięstwa odnoszone w chwilach, gdy troska o los najbliższych i tragiczna rzeczywistość polityczna szarpały duszę żołnierza. Ta ideowa atmosfera żołnierza 2 Korpusu, obok decydującego wpływu postawy Kraju, ostatecznie przesądziła o wyzbyciu się przez politykę polską czynników kapitulanckich.

Dziś jednak nie tylko na 2. Korpus, ale i na całe wojsko polskie spada zadanie jeszcze cięższe, niż zdobycie skalistych wzgórz Monte Cassino, czy kanałów broniących Bolonii czy Arnhem. Możność okazywania swojej politycznej woli przez Kraj maleje coraz bardziej w miarę trwania sowieckiego panowania. Dziś więc na wczorajszych zwycięzców spod Monte Cassino i Bolonii i na całe wojsko polskie poza granicami Kraju, na wszystkich wolnych Polaków pozostających poza zasięgiem władzy Lublina i jego mocodawców, spada obowiązek najcięższy — utrzymania suwerennych sztandarów Rzeczypospolitej z tak samo stanowczą wolą walki i zwycięstwa, z jaką przed miesiącem, czy przed rokiem niesiono suwerenne polskie proporce na ruiny Monte Cassino i na smukłe wieże Bolonii.

Jarosław Nagórski

WYRWANE ZAGŁADZIE

Armie alianckie, napotykając w swoim zwycięskim pochodzie w głąb Niemiec na obozy jeńców i obozy pracy przymusowej, mogły na własne oczy przekonać się, że polska „Grauelpropaganda" pokrywa się z rzeczywistością. Zbrodnie niemieckie wprawiają w przerażenie ludzi Zachodu. Trudno orzec, czy ludzie Zachodu skłonni już są teraz dawać wiarę i innym relacjom Polaków o zbrodniach niemniej straszliwych, dokonywanych na naszym narodzie; czy też według dotychczas stosowanych metod — sprawa ta musi doczekać się dopiero naocznego rozeznania.

Tymczasem jednak ujawniła się już niemiecka zbrodniczość, aby w momencie wojennego zwycięstwa i politycznych niesłaności zaniepokoić Zachód formami barbarzyństwa. A może też po to, żeby świat mógł jak najszybciej znaleźć sposoby zabezpieczenia ludzkości przed tymi bestialskimi formami. Zdjęcia dokonane w obozach Buchenwald, Dachau czy innych nie mogą zostać jedynie dokumentem... na kliszach. Zanim powędrują do archiwów, powinny zastanowić tych wszystkich, którzy tylko połowicznie organizują pokój. W sprawach tych powinny też zabrać głos kobiety. Zdziczenie ludzkości staje się przedmiotem ich walki, nie powodowanej żadnymi względami politycznymi. To bowiem, co popełniali niemieccy zbrodniarze, co popełniali i popełniają inni, dotknęło właśnie kobiety i dzieci.

Korespondentka Polskiej Agencji Telegraficznej p. Halina Tomaszewska i liczni korespondenci pism alianckich niemal dzień po dniu podawali wiadomości o kobietach polskich zwalnianych ze straszliwych obozów w Niemczech. Tysiące odzyskały teraz wolność, bądź to wyratowane przez wojska alianckie, bądź przetransportowane w ostatnim stadium wojny przez władze niemieckie do Szwecji. O tych, które uwolnione zostały we wschodnich Niemczech, rzecz prosta — nie posiadamy żadnych wieści.

Wśród uwolnionych jest duża ilość kobiet-żołnierzy Armii Krajowej. Jak mało jednak wie świat o sprawach Polski walczącej w Kraju, świadczy zdumienie alianckich żołnierzy i korespondentów na widok tych „polskich oficerek" — jeńców wojennych. Dziennikarze anglosascy pośpieszyli z przesłaniem do swoich pism emocjonujących i przejmujących „stories". Przypatrywali się jednak tym kobietom raczej ze zdumieniem niż z podziwem. Nie łatwo im było pojąć to zjawisko i pytali z bezradnym uporem: — dlaczego? jak mogło dojść do takich faktów, nie znanych w dziejach cywilizowanego świata?

Oddział żołnierzy Armii Krajowej — mężczyzn i kobiet — maszeruje ulicami walczącej Warszawy w sierpniu 1944 r.

Oddział Armii Krajowej ze sztandarem

Odpowiedzi kobiet-żołnierzy były proste. Wszystko bowiem, co robiły przedtem, zanim się dostały do niewoli, było zrozumiałe nie tylko dla nich samych. Z okupantem, z najeźdźcą walczyli Polacy — to znaczy, że walczyły i kobiety polskie. Z biegiem lat — złych, ponurych, nie do zniesienia — zacierał się podział pracy na męską i kobiecą. W podejmowaniu zadań i przydzielaniu ich decydowała przede wszystkim zdatność i konieczność. Jeżeli jeszcze od czasu do czasu odzywały się przesądy (dyskusja pt. „Żona powstańca" w piśmie podziemnym kobiet „Żywia"), to trzeba ją było czym prędzej odrzucić wobec grozy sytuacji.

Jeszcze ciągle wiemy o tych latach w Kraju zbyt mało. Reportaże o cechach pamiętnikarskich ograniczają się, rzecz zrozumiała, do osobistych przeżyć, do fragmentów nieobjętej dotąd całości. Są to tylko „strzępy meldunków". Całokształt pracy podziemnej i pięcioletnich walk i nadal nie może być ujawniony, ponieważ ci sami, których tropił okupant niemiecki, i dziś nie zaznają bezpieczeństwa. System tępienia przeszedł tylko z rąk do rąk i dotyczy tych samych ludzi, ponieważ nienawidzi tej samej idei: niepodległości.

O tamtym okresie, o niemieckim — mówią, również tylko fragmentarycznie, obozy, w których kobiety były „równouprawnione" w znoszeniu tortur, w umieraniu okrutną śmiercią, w pracy ponad siły ludzkie, w sponiewieraniu. Oto dla przykładu relacja Francuzki Colette Robin internowanej w obozie Ravenesberg, gdzie prawie wyłącznie przebywały Polki:

... „Wszystkim kobietom zatrudnionym w przemyśle niemieckim golono głowy. Nie wolno było rozmawiać, a za przekroczenie tego zakazu bito i zamykano w celach. Kobiety spały na pryczach, jedna koło drugiej, prawie bez możności poruszania się. Pożywienie dzienne, wydawane jednorazowo, składało się z litra wodnistej zupy z brukwi i mniej niż pół funta czarnego chleba... Pobudka była o trzeciej nad ranem, po czym kobiety stać musiały przez dwie godziny na zimnie. W południe był kolejny apel. Kobiety padały na ziemię ze zmęczenia, ale ich towarzyszkom nie wolno było ich podnosić. Kobiety SS systematycznie biły więźniów... Internowane pracowały 11 godzin dziennie w zakładach Siemensa. Po pracy w fabryce, musiały osuszać bagniska, brodząc po pas w wodzie. Inne kobiety używane były do ładowania barek lub wagonów kolejowych albo do budowy dróg. Pilnowały ich psy, które gryzły do krwi. Jedzenie w południe odbywało się stojąco. Pod najmniejszym pretekstem karano kobiety sześciogodzinnym staniem lub 25 uderzeniami kijem. — Obóz śmierci znajdował się tuż koło obozu pracy. Wszystkie kobiety słabe i ułomne gazowano. Lekarz niemiecki znaczył na ramieniu chore i wrzucano je do wozu gazowego. Ponieważ nie było dość gazu, ofiary wrzucano do pieców krematoryjnych często w stanie pół żywym. — Siedem tysięcy młodych dziewcząt Polek używali Niemcy do specjalnych operacyj wywisekcyjnych, wyjmując im kości z nóg lub szpik z kości. Śmiertelność w Ravensburgu wynosiła 60%. Wszystkie uratowane kobiety mają suchoty, malarię lub wady serca..."

O obozie Oberlangen, gdzie internowano kobiety — żołnierzy Armii Krajowej jako jeńców wojennych — pisze plut. A. K. Jolanta Netto:

„...Normalny dzień obozowy wyglądał w ten sposób. Spałyśmy 4 godziny na dobę — od 12 do 4. O 4-ej gwizdki — do baraku wchodziła wachmanka. W minutę ubrane, przy akompaniamencie bicia i ciągłych krzyków pędziłyśmy do łazienki. Czynny był tylko jeden kran. Na mycie miałyśmy tylko 5 minut czasu. Śniadanie — 2 kawałki chleba i pół kubka gorzkiej kawy. Po śniadaniu, stało się piątkami w celi, póki wachmanka nie zabrała nas na apel. Apel trwał przeciętnie do dwóch godzin, na baczność, bez ruchu. Mróz przenikał ciała w wilgotnych drelichowych ubraniach... Praca była bardzo ciężka. Żelaznymi kilofami rozbijałyśmy żelazną rudę, lub zwietrzałe skały i góry kamieni, które inne koleżanki ładowały do wagonów. Nie wolno było stanąć ani odpocząć, najdrobniejsze uchybienia karano biciem... O 5-ej po południu śmiertelnie znużone, głodne i śpiące siadałyśmy — tak, jak podczas godzinnej przerwy południowej — na podłodze w równych szeregach. Wachmanki, tak samo jak przedtem obiad, jadły teraz kolację i uważały, czy nie zasypiamy. Jeżeli którejś z dziewcząt zdarzyło się zachrapać, kopały nas i biły... Po dwóch tygodniach takiego życia, popadłyśmy w stan kompletnego zezwierzęcenia. Jedynym motorem ruchu był dziki strach przed biciem, jedynym pragnieniem odpoczynek i sen. Osaczyły nas głód, mróz, straszliwe wyczerpanie i depresja moralna. Świat nie wiedział o nas i doprawdy, śmierć wydawała się jedynym wybawieniem z tego piekła..."

Możnaby mnożyć te opisy w nieskończoność. W rozmaitych obozach były pewne odchylenia i pewne udoskonalenia w dokonywaniu okrucieństw. Dla wielu z naszych czytelniczek będą powyższe relacje przypomnieniem ich własnych przeżyć w innej szerokości geograficznej i w innym klimacie. Dla ścisłości trzeba podać, że istniały pewne różnice. Np. ta, że w obozach niemieckich wypalano kobietom na ramieniu cyfrę porządkową. I to jeszcze, że w systemie niemieckim, nie krył się cel „wyższy" — wychowywanie na pożytek państwa czy też ustroju. Jeden i drugi system prowadzi jednak do tego samego celu — do wyniszczenia, do uśmiercenia.

Nie chodzi tu w tej chwili o skalę porównawczą. Wiadomość o tym, że przynajmniej część kobiet polskich uratowała się, wywołała uczucie ulgi. Wobec milionowych strat w ludziach, najmniejsza choćby grupa uratowanych wydaje się prawie cudem. Pierwsze wiadomości zaczęły do nas napływać w momencie, kiedy 2 Korpus był w trudnych bojach. Ochotniczki, spełniając swoją nasiloną służbę w okresie walki, miały zaledwie czas na okrzyk radości. Potem dopiero przyszło to ogromne wzruszenie. Przyszło też uczucie dumy. Tak, jak tu jesteśmy w naszej potrzebnej pracy, oddajemy pierwszeństwo kobietom z Kraju, kobietom — żołnierzom Armii Krajowej. One bowiem, wiedząc dobrze o grożących im represjach, nie cofały się przed pracą i walką.

Tymczasowe spisy uwolnionych kobiet, podając wiek i miejsce urodzenia, pozwalają na pewne wnioski: że kobiety Armii Krajowej pochodzą ze wszystkich stron Polski; że są to przeważnie kobiety młode w wieku od 20-25 lat. Trudno nie poddać się wzruszeniu, że taka jest nasza młodzież — pełna odporu i woli, zapału i nieustępliwości. Że jest tak piękna, tak świetna i tak — niebezpieczna dla wrogów. Trudno też oprzeć się gorzkim refleksjom: że tak wyniszczano, tak przetrzebiano te

Zwłoki pomordowanych jeńców-Polaków w obozie Ohrdorf

szeregi, że tak, według słów „Chorału" — „naszą przyszłość cofnięto wstecz".

Nie ustaje też nasz niepokój i nasza ciężka troska o bezpieczeństwo tych młodych. Nie ma tego bezpieczeństwa w Kraju i nie ma tej wolności, o którą walczyły — ani tam, ani tu na obczyźnie. Musimy te sprawy domyśleć do dna, nie poddając się jednak beznadziei. To już przynajmniej wiemy i to jest dla nas ogromnym pocieszeniem, że tysiące zwolnionych kobiet z Kraju są z nami i że ich młodość i ich ideowość zasługuje na najczulszą opiekę.

Piszą o tych dziewczętach, że już rwą się do pracy. Czytamy o nich jak biegły pod ogniem artyleryjskim na linie alianckie po wyzwolenie. I jak w dniu Święta Narodowego mogły już śpiewem i... defiladą cieszyć się z powrotu do człowieczeństwa. Na razie tyle odzyskały. Czytamy też, że są inne niż my i że mówiły do naszych żołnierzy: — Zmieniliście się, ale to nic, jesteście polskimi żołnierzami. — Może są to owe „stories" tylko, a może jest tak w istocie, że po najstraszliwszych walkach i przeżyciach kobiety te muszą dopiero przywyczajać się do widoku pogodnych twarzy. Od nas zależy, czy porozumienie nastąpi szybko. Na pewno znajdą się szczere słowa i takie formy wzajemności, które wyrażą wszystko, co jest w nas wspólne. Nasz podziw dla tych kobiet — to nasza miłość dla nich. Tym uczuciem — witamy nasze siostry łaską Boską wyrwane zatraceniu i zagładzie.

H. N.

DO POLSKI

W bezpiecznym zakątku świata,
Który nam przypadł w udziale,
Myśl nasza z bólem się splata
I serce bije goręcej
Dla kraju, który najwięcej
Wycierpiał wśród krajów świata.

Rzucany z ręki do ręki
Przez wrogów nie sytych męki,
Gnębiony nawet w swej trumnie
Bez wiary i bez litości,
Utrzymał chmurnie i dumnie
Boskie natchnienie wolności.

Raz jeszcze wzniosła się czara
Wezbrana winem cierpienia,
Czy słyszysz dzieci rzężenia
Na krwawym pobojowisku?
I matek — czy słyszysz — jęki,
Ginących w śmierci uścisku?

Patrz, nasze dzieci bezpiecznie
Biegną nad morze słoneczne,
Lub idą w las polną miedzą,
— A polskie dzieci nie wiedzą,
Jak śmiać się, bawić i płynąć...
Lecz za to wiedzą, jak zginąć.

Wszystko, co ludzkość od wieków
Tworzyła z nadziei męką,
O tobie myśląc, człowieku,
Zostało nieludzką ręką
Zmiażdżone, zduszone, skute,
I zlane krwią i zaszczute.

Lecz nad przepaścią zniszczenia,
Co czarne rozsnuwa sidła,
Twój duch, o Polsko, trwa żywy,
A Orzeł twój rozpiął skrzydła
I wzbił się w górę i czeka,
Aż przyjdzie dzień sprawiedliwy.

My, których więzień piwnice
Dotąd nie znane są żadne,
Rozszerzmy serca granice
Gdy ręce nasze bezradne,
I płyńmy z bratnią rozpaczą
Ku tym, co cierpią i płaczą.

Jeanne Oterdahl

(przekład z szwedzkiego Stanisława Balińskiego

Jeanne Oterdahl jest znaną poetką szwedzką i zasłużoną działaczką w akcji pomocy Polsce.

DZIEŃ 12 MAJA 1945 W RZYMIE

Z roku na rok Imię Piłsudskiego staje się coraz droższe, coraz bliższe najszerszym rzeszom narodu polskiego. W ogniu strasznej zawieruchy wojennej, w bólach najcięższych doświadczeń, przez które umęczony naród przechodzi, prawdy głoszone przez Piłsudskiego urastają do wielkości przykazań.

To też w tym roku, w dniu 12 maja, w dziesiątą rocznicę śmierci Wielkiego Marszałka, zapełniły się na obczyźnie świątynie Polakami, którzy przyszli modlitwą uczcić pamięć Józefa Piłsudskiego. Tak było w Londynie, tak było w Paryżu i wszędzie, gdzie na obcej ziemi znalazła chwilowe schronienie polska wolność.

W Rzymie kościół garnizonowy wypełnił się tłumem żołnierskim, w którym uwagę zwracały delegacje oddziałów liniowych, specjalnie przybyłe na tę uroczystość do Rzymu. Uroczyste nabożeństwo żałobne odprawił ksiądz proboszcz dywizji „Kresowej", Judycki. Na nabożeństwie byli obecni: Ambasador R. P. przy Watykanie Kazimierz Papée i poseł R. P. przy Kwirynale Stanisław Janikowski.

Po nabożeństwie delegacje udały się przed pomnik Marszałka na viale Piłsudski, gdzie złożono wieńce. W imieniu dowódcy korpusu złożył wieniec generał Sulik, który wygłosił krótkie przemówienie do żołnierzy i zebranej kolonii rzymskiej.

„Przybyliśmy tu — mówił generał — po bitwach zwycięskich, by pokłonić się przed Tym, który zostawił nam bezcenny testament ofiarności, bezinteresowności i upartej walki do końca bez względu na przeszkody. Uczył On nas, że im większe przeszkody tym większa musi być nasza ofiara, tym wytrwalsza walka. Cieniom Wielkiego Marszałka, Jego Niezłomnemu Duchowi ślubujemy, że w walce tej nie ustaniemy...".

Wśród złożonych wieńców zwracał uwagę ukwiecony bławatami wieniec ze znamiennym napisem:

„Nie mogąc wieńca złożyć na Rosie, w tym roku złożyli go w Rzymie..."

Dowódca i żołnierze „Kresowej".

Z przyczyn od redakcji i autora niezależnych nie zamieszczamy „Miesięcznego przeglądu wydarzeń"

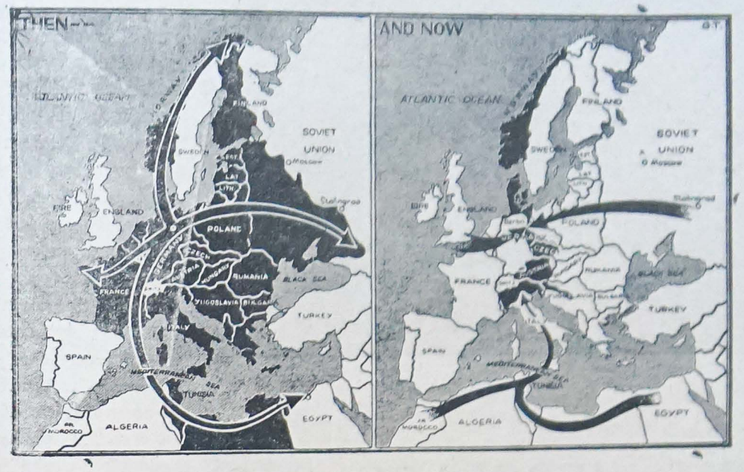

Imperium hitlerowskie miało trwać tysiąc lat tak wyglądało u szczytu podbojów — a tak przed ostateczną kapitulacją

Imperium sowieckie weszło na drogę podbojów — dziś sięgnęło po całe międzymorze

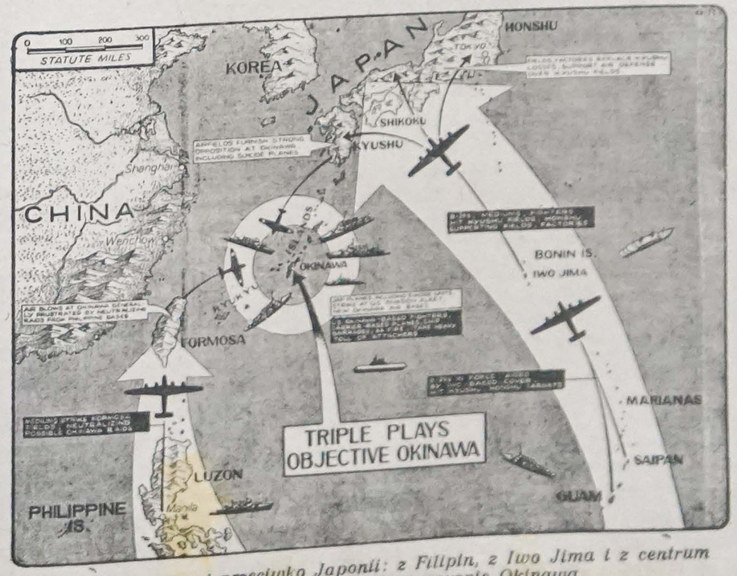

Trzy szlaki operacyj przeciwko Japonii: z Filipin, z Iwo Jima i z centrum najcięższych obecnie walk na wyspie Okinawa

Bitwa pod Racławicami (A. Orłowski)

INSTYNKT NIEPODLEGŁOŚCI

Swieżo wydana książka dr. Edwarda Kostki „Tadeusz Kościuszko a chwila obecna" daje czytelnikowi więcej, aniżeli to zapowiada skromny tytuł. Nie jest to bowiem tylko nowy, bardzo ciekawy obraz samej postaci Kościuszki, nie jest to wspomnienie historyczne, ale bardzo wnikliwe spojrzenie we wszystkie najistotniejsze i skomplikowane problemy państwa polskiego — z wczoraj i dziś. Jest to portret Kościuszki, w którego życiu jak w zwierciadle odbija się życie całego narodu.

„Polska Podziemna" organizowana przez Kościuszkę z zagranicy w obliczu równoczesnej wrogości sąsiada ze wschodu i zachodu, wywożenie w głąb Rosji najwybitniejszych obywateli i werbowanie do współpracy lichych moralnie służalców — figurantów, to fakty, które mówią do nas z wyrazistością dnia bieżącego. A gdy autor pisze o atakach na „jakobińską" konstytucję polską, o rozbijaniu jedności wojska i likwidowaniu polskiej siły zbrojnej włączonej po prostu do armii rosyjskiej, o tym, jak Rosja usiłowała rozpętać „najdamaczyznę" wojny domowej, by osłabić Polskę wewnętrznie, gdy opisuje rosyjskie metody śledcze i przypomina ostrzegawcze słowa Kościuszki: „Obawa jest wielka, aby nasze „królestwo" nie było jak królestwo astrachańskie, które rozpłynęło się na prowincje rosyjskie, ale korona widzialna jest w ceremoniach rosyjskich" — każdy czytelnik odczuje jak bardzo życie Tadeusza Kościuszki związane jest z treścią dzisiejszych przeżyć Polaka.

Dlatego książka Kostki spełni bardzo pożyteczną rolę; krystalizuje świadomość, co znaczy być cząstką narodu, wystawionego na działania niezmiennie powtarzających się wielkich problemów politycznych: powtarzającej się tej samej wrogości sąsiadów, powtarzającej się tej samej konieczności mobilizowania w służbie wielkiego celu wszystkich ludzi uczuciowych.

Naród wiąże w całość biologiczną i duchową nie tylko tych, którzy żyją, ale także tych, którzy byli Polakami przed nami i którzy nimi będą po nas. Realizacja celów narodu nie ogranicza się do okresu życia jednostki czy jednego pokolenia.

Życie państwa jest dłuższe, mierzy się zupełnie inną miarą. Dlatego cele i dążenia państwa idą w pokolenia, aż nie zostaną spełnione. I w tym właśnie tkwi jedność dzisiejszych naszych przeżyć z epoką Kościuszki, w tym tkwi wytłumaczenie ewolucyjnej ciągłości tej linii kierunkowej, wiodącej od Kościuszki do Piłsudskiego. Jest tu wciąż realizacja tych samych celów, o które zawsze Polacy walczyć będą, dopóki cel pełnej państwowej niepodległości nie będzie spełniony.

Kościuszko to nie był bohater narodowy, który ogarnięty jakimś porywem patriotycznego uczucia chciał tylko ginąć za Ojczyznę. To nie był rycerz, szukający honorowej śmierci po utracie wiary w zwycięstwo, to nie Poniatowski, rzucający się w nurty Elstery, gdy sprawa została przegrana. Ani rola Poniatowskiego, ani rola w stylu Rejtana, wznoszącego patriotyczny okrzyk rozpaczy i protestu przeciwko rozbiorom — nie odpowiadają działalności Kościuszki. Kościuszko to nie gesty, to nie jedynie porywy patriotyzmu. Jego osoba jest z innej płaszczyzny. Prawda, że u Kościuszki dużą rolę odgrywało uczucie, że motorem jego życia było przede wszystkim bardzo szlachetne i głęboko czujące serce — ale nie tylko. Kościuszko był człowiekiem serca, ale i wielkiego umysłu. Kościuszko nie był jedynie wybitnym bohaterem generałem, nie był tylko patriotą polskim, ale był osobistością niezmiernie głęboko wnikającą w polityczne problemy Polski. Dlatego najlepiej może odpowiada określenie: Naczelnik Państwa. Kościuszko, to człowiek zakrojony na miarę Naczelnika Państwa. To był polityk w skali nie polityki partyjnej, ale polityki obejmującej i harmonizującej w sposób bardzo piękny i wzniosły potrzeby narodu, jako całości. Kościuszko był wykładnikiem potrzeb i dążeń wszystkich warstw społecznych: zdrowo myślącej szlachty kościuszkowskiej i chłopów kościuszkowskich, mieszczan i duchowieństwa patriotycznego.

Lata długoletniej politycznej niewoli sprawiły, że postać Kościuszki, jak gdyby przystosowując się do potrzeb narodu, szukającego w latach niewoli przede wszystkim pożywki dla podtrzymania miłości ojczyzny, uprościła czy ograniczyła się jedynie do symbolu szlachetnego patriotyzmu. To na nim uczono dzieci, jak kochać Polskę. Ale Kościuszko to także mąż stanu, który miał dobrze przemyślany i sformułowany wyraźny program polityczny, program odbudowy Państwa Polskiego, jaki w spadku po Piastach i Jagiellonach, po Batorym i po Sobieskim Polacy przyjęli. Kościuszko miał wielkie wyczucie państwa polskiego — państwa w wielkim formacie. I właśnie ta część działalności Kościuszki, mniej znana, w książce Kostki jest doskonale przedstawiona.

Nasze pokolenie, mające bardzo wyraźne i skonkretyzowane pojęcie państwa polskiego, najbardziej właśnie — myśl państwowa interesuje. Minęły czasy, kiedy egzaltowano się na temat bohaterów narodowych, kiedy bohaterstwo dla bohaterstwa — ludzi najbardziej porywało. Należymy do pokolenia Polaków, na którym piętno wywarł Piłsudski i jego epoka — a więc bohaterstwo dla realizacji państwa polskiego. Nas pociąga ideał i wcielanie go do życia. Dla nas nie ma ideału Polski oderwanego od realizacji państwa polskiego. Nie ma bohaterstwa dla bohaterstwa — ale jest bohaterstwo i ofiara dla zdobycia państwa. Dlatego też Kościuszko, jako mąż stanu i programowy polityk bardziej do nas przemawia, aniżeli postać bohatera narodowego uosobiona w stylu Byronowskiej przesady, bohater wpatrzony w chmury, a nie w tę naszą ziemię polską, o której Wyspiański powiedział: „Z tej ziemi państwo wskrzeszę".

Jakiż był program Kościuszki? Może najlepiej tłumaczy to inspirowana przez Kościuszkę broszura, wydana w Szwajcarii po rozbiorach, pt. „Czy naród polski może wybić się do niepodległości?" Broszura ta rozprawiała się z poglądem jakoby Polska straciła możność opierania bytu o własne siły. Były to czasy, kiedy rozpowszechniał się wśród Polaków pogląd, iż nowy układ sił, jaki powstał w XVIII wieku przez rozrost potęgi Prus i Rosji, przekreśla na zawsze dotychczasową państwową pozycję Polski, że zatem nie zostaje nic innego, jak oprzeć się o Rosję.

Tadeusz Kościuszko temu poglądowi ostro się sprzeciwił. Głosił, że Polska może uzyskać własnymi siłami niepodległość państwową, jeżeli wydobędzie z siebie nowe siły społeczne, podobnie żywiołowe, jak te, które stworzyła we Francji wielka rewolucja i lata napoleońskie.

Kościuszko, obywatel honorowy Francji, generał amerykański, wyznawca najbardziej uniwersalistycznych ideałów wolności, o którym Prezydent Stanów Zjednoczonych, Jefferson, powiedział, że jest najpiękniejszym wojownikiem o wolność, jakiego ludzkość wydała — Kościuszko, honorowany i czczony wszędzie, bynajmniej nie popadł w utopię międzynarodowej wspólnoty ideałów, oderwanej od rzeczywistości politycznej. Kościuszko zawsze pozostał państwowym realistą, pomimo całej wzniosłej ideologii międzynarodowego braterstwa, którą wyznawał lepiej, aniżeli ktokolwiek inny. Kościuszko zawsze pozostał Polakiem, więcej — pozostał zawsze polskim państwowcem, tzn. politykiem, który rozumiał, że bez przywrócenia w pełni niepodległego państwa polskiego, nie ma w ogóle miejsca na świecie dla Polaków.

Jako realista, umiejący ideały wiązać z życiem, wiedział, że nigdy inaczej naród nie dochodzi do niepodległości, jak poprzez własną wolę i własny wysiłek. Dlatego on, największy przyjaciel ludzkości, ale żaden szlachcic dumny, ale człowiek największej skromności i prostoty, który chłopu był bratem, on właśnie, dlatego, że umiał realnie kochać wolność, wypowiedział te mądre słowa: „W pogardzie śmierci leży jedyna nadzieja na polepszenie naszego losu i następnych generacji. Pierwszy krok do wolności — to odwaga chcieć być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa — to uznanie swojej własnej siły". Tak, nie wahał się tego powiedzieć on, który w historii ludzkości reprezentuje najlepiej polskie pierwszeństwo w zdobywaniu i realizowaniu prawdziwie i na gruncie demokratycznych zasad braterstwa ludzi i narodów.

Dlatego Kościuszko stał się głową polskiego ruchu niepodległościowego. Chociaż po Maciejowicach już nigdy wojskiem polskim nie dowodził, w rzeczywistości on był duchowym wodzem legionów Dąbrowskiego i wojsk księstwa warszawskiego. On dawał czystość myśli, wielkość idei — Dąbrowski i Poniatowski z niego swą siłę dowodzenia czerpali.

Kościuszko nigdy nie poszedł na współpracę z fałszywymi budowniczymi państwa polskiego. Wiedział, że na rynku międzynarodowej polityki, Polska będzie przehandlowana przez każdego cudzoziemca. Przez Napoleona tak samo jak przez cara Aleksandra. Kościuszko był we wszystkich stolicach przyjmowany z wyjątkowymi honorami. Był obsypywany zaszczytami przez Francję rewolucyjną tak samo, jak i porewolucyjną. W Londynie dostał szablę honorową od wielkiej partii politycznej liberałów, ale pomocy dla budowania państwa polskiego nigdzie nie otrzymał. Polska była wtedy słaba, nie liczono się z nią.

Programem Kościuszki było stworzenie 300-tysięcznej armii, stworzenie wielkiej, powszechnej, wszechstanowej dynamiki politycznej, którą dla odróżnienia od anarchicznych tendencyj francuskiej rewolucji nazwał polską insurekcją.

Postać Kościuszki, spuścizna jego myśli politycznej, nie ma nic wspólnego z całym obozem t.zw. Wielkiej Emigracji. Polską emigrację trawiła choroba, której Kościuszko do siebie nie dopuścił — choroba niewiary we własne możliwości Polski. Trawiło ją uczucie Kościuszce całkowicie obce — poczucie politycznego obezwładnienia. Konserwatywny odłam Czartoryskiego wierzył w politykę gabinetów dyplomatycznych. Demokratyczny obóz wierzył w międzynarodową szlachetność, braterskość ideałów demokratycznych. Zawiedli się jedni i drudzy. Gdzie indziej należało szukać odrodzenia polskiej niepodległości. Początek musiał być w Polsce, w samych Polakach. Rozumiał to doskonale Kościuszko, reformator społeczny, poskromiciel swawoli szlacheckiej, odnowiciel jedności państwowej wszystkich Polaków, wielki demokrata i dyktator zarazem.

Czy jednak Kościuszko nie przegrał swojego programu „wolnej, całej i niepodległej" Polski? Czy można, mimo klęski maciejowickiej, gloryfikować program, który urzeczywistniony nie został? Czy w „mocarstwowym" programie kościuszkowskim z równoczesną walką na froncie rosyjskim i pruskim nie mieści się idealizm wzniosły, ale nie życiowy? Czy można stawiać za wzór stanowczość Kościuszki w odrzucaniu współpracy nad odbudowaniem polskiego ułamka — gdy całości odzyskać nie było można?

Na te pytania historia daje odpowiedź. Wódz naczelny Księstwa Warszawskiego, wpatrzony w słońce Napoleona, ginie w falach Elstery. Tragicznie skończyło się życie polskiego Bayarda, rycerza bez skazy. A polski ułamek Księstwa Warszawskiego zgasł, gdy tylko zaszło słońce francuskiego boga wojny. Generał Zajączek, namiestnik Królestwa Kongresowego, zginął niesławnie tak samo w niepamięci Polaków, jak zginęło „astrachańskie" królestwo kongresowe, które rozpłynęło się na prowincje rosyjskie. Ale pamięć o Kościuszce pozostała. Zna go każde dziecko. On jest wciąż budowniczym polskiej niepodległości. Także dzisiaj. Jego myśl jest zawsze żywa, zawsze atraktywna i czekająca na chwilę, w której zostanie zrealizowana.

Każdy, kto myśli o przyszłości Polski, o jej wolności i uroku życia, każdy musi wspomnieć Tadeusza Kościuszkę i z niego zaczerpnąć zrozumienie problemów Polski, charakteru narodowego i myśli przewodniej.

Jego imię jest dzisiaj talizmanem słynnej eskadry kościuszkowskiej. Jego imię musi być podrabiane i fałszowane nawet przez tych, którzy chcą wkraść się w duszę Polaków, by zabić — Polskę.

Ale to nie jest łatwe. Ideały Kościuszki zbyt głęboko tkwią w duszy każdego Polaka. Nazbyt są przejrzyste, by można je sfałszować. Każdy Polak we wspomnieniu kościuszkowskim czerpie niezłomną wiarę w Polskę. Można było przegrać Maciejowice, ale trzeba było uratować instynkt niepodległości Polaków. I to właśnie uczy-

Kościuszko pod Maciejowicami (P. Norblin)

Ruiny Sw. Krzyża w Warszawie (rys. Horowicza)

nił Kościuszko. Dlatego program jego jest wiecznie żywy.

Dzisiaj na wspomnienie Kościuszki każdy Polak wie, że Polska to wielka rzecz. Że nie jest to królestwo astrachańskie rozpływające się w rosyjskie Sowiety, że nie jest to także gubernatorstwo władztwa niemieckiego. Wie także, że Polska to nie jest bezradny kopciuszek narodów — ale naród wielki, świadomy wielkich swoich celów.

Każdy Polak i każdy żołnierz wie, — a książka Kostki mu pięknie przypomina — że rząd dusz ludzkich, tak jak później Piłsudski, zdobył sobie Naczelnik Kościuszko, dyktator i demokrata, który każdemu z wielkich tego świata mógł spojrzeć prosto w oczy i oświadczyć o pierwszeństwie demokratycznym Polski, o nieprzemijającej wielkości narodu, o tym, że Polska ma swoją rację stanu, swoje ideały i z nich płynącą siłę.

Jan Szułdrzyński

KOBIETOM STAMTĄD

To właśnie, że tak po prostu,
rzeczowo — bez wielkich słów,
ale niezłomnie — wszystko —
do ostatniego tchu,
— żeście po strychach, piwnicach,
u zbiegu ulic czy szyn,
poważne i uważne
rozkaz zmieniały w czyn,
— że cel Wam wszystkim był jeden,
a prosty — jak kula w skroń —
żeście po własnym trupie
na oślep parły doń,
— że bohaterstwo Wam było
czymś codzienniejszym niż chleb..

. . . . . .

Werbla gra serce...
Myśl ścina się w skrzep...
Żar bucha w twarz od ognia,
w gruz biały wsiąka krew...
Stolica — jak pochodnia!
Stolica traci dech!
Huk bomb i grzechot strzałów,
przemoc co łamie i gnie
i walka — co się pomału
przetacza do kanałów,
by iść i tam na zabój,
— aż po ostatni nabój —
— aż po ostatnie: NIE!

. . . . . .

Byłyście razem.. Wszędzie..
Po prostu i do ostatka..
I siostra i narzeczona,
córka i żona i matka..
W uporze niezmożone
W wysiłku nieustałe..

. . . . . .

Słowa są takie puste.
Słowa są takie małe.
Werblem gorąca drga skroń.
Idą!
Czy słyszysz?!
W śmiertelnej ciszy,
sztandar się chyli..
Prezentuj broń!!

Boata Obertyńska

NA SZÓSTYM KILOMETRZE

Kiedy latem 1940-go roku Kira wróciła z Wiednia, taka wynędzniała, bez waliz, bez kapelusza i bez jednego uśmiechu, Zuzia zaraz jej znalazła bardzo przyjemny pokój u miłych ludzi. Były tam obrazy i stare biurko jesionowe, książki i kwiatki. Gospodarzom nikogo bliskiego jeszcze wówczas nie zabito, byli spokojni, a także zamożniejsi od wielu. W tym domu naprawdę, jeśli się nie wyglądało przez okno, można było zachować złudzenia. Zuzia z triumfem pchnęła drzwi przed Kirą, puszczając ją przodem i czekając na okrzyk: „jaki śliczny pokój!" Tymczasem Kira poszła prosto do okna i usiadła tam sztywno na brzegu krzesełka. Na szczęście nie patrzyła na rozwalone kamienice, tylko gdzieś nad dachami w przestrzeń. Po kilku miesiącach Zuzia zapragnęła jednak, żeby Kira zauważyła chociaż te ruiny. I stało się tak. Któregoś dnia o zmierzchu Kira zapytała: „co to było tam naprzeciwko — hotel, szkoła, bank?" Od tamtej pory zaczęła mówić żywiej i starać się o pracę. Wkrótce przywiązywała, lubiła nadal patrzeć w szybę.

W pociągu patrzyła tak już przeszło godzinę, ku zgryzocie Zuzi. A nawet kiedy Czarni sprawdzali przepustki, nie potrafiła wytrzymać bez odwracania głowy, co mogło wzbudzić podejrzenie. Zuzię męczyło to strasznie, bo i tak musiała na tyle rzeczy uważać. Przede wszystkim pamiętać mnóstwo imion, cyfr, adresów, całe zdania wykute jak pacierz, które jutro lub pojutrze znów staną się aktualne. Poza tym, broń Boże, nie pamiętać tego wszystkiego, czego wiedzieć nie wolno; co trzeba najkompletniej, najabsolutniej usunąć z górnych pięter świadomości, utopić w sobie głęboko, żeby nie dało się wyszarpać nawet razem z życiem. Zuzia tak była zajęta utrzymywaniem w hermetycznym zamknięciu tego swego dobra — dziesiątków cudzych spraw, które w niej zamieszkały, wygnane z jawnych miejsc — że na świat zewnętrzny nie starczyło siły. Zwłaszcza, jeśli sytuacja, jak np. w podróży, wymagała szczególnej czujności. Zuzia traciła związek ze światem. Niczym monada leciała przez żywioły, zamknięta w sobie, wprost do własnego celu. Świat wszakże nie zgadzał się na obojętność młodych. Chmury, światło słoneczne i księżycowe, zapachy dymu, czy lip, głosy przyjazne i wrogie, to wszystko oblęgało maniaków celowości, natarczywie uderzało ich zmysły, budziło wspomnienia i przeczucia. Wdawała się maligna... Lipy pachniały dymem, kominy lipami, słońce przerażało, wiatr dziwił, najpowszedniejsze gesty ludzi śmieszyły, dzień roił się absurdami, jak rozsypana łamigłówka. Tak właśnie bez sensu roił się on dla Zuzi za oknem, w które Kira patrzyła, mrugając długimi rzęsami.

Tymczasem w przedziale, mimo nieludzkiego tłoku, jakiś mężczyzna drzemał w kącie, nakrywszy twarz kapeluszem. Kobiety wiejskie, obwieszone kobiałkami, uporczywie milczały, depcząc sąsiadom po nogach, a chłopak kilkunastoletni w za krótkiej kurtce gwizdał. Zuzia po raz nie wiedzieć który powtarzała w myśli: „Jadę do Rudzina, jadę do Rudzina, jest święto, nie mam żadnego zadania". Po chwili zaś: „nikt mnie nie obserwuje. Proszek od migreny mam w lewym rękawie. Wyskakuje się z biegiem pociągu." I znowu: „jadę do Rudzina..." Nagle przeraziła się, że właściwie nie pamięta, jaki ten Rudzin jest. Czy umiałaby narysować dom Zofii w stosunku do szosy, do rzeki, do kolei? Czy wie chociażby dokładnie, ile kilometrów stamtąd jest las? Na wschód, czy na zachód od parku? Cóż ona wie o Rudzinie? Tyle tylko, że tam było kiedyś najpiękniej, najczulej, najszczęśliwiej. Jak we śnie. Więc może Rudzin w ogóle nigdy nie istniał? Może one jadą do miejsca, które się przyśniło? Serce Zuzi, obejmujące zbyt wiele naraz czasów, ustawało chwilami. Mózg, znużony ciągłym rozumowaniem na niby, nie łatwo już granic rzeczywistości dostrzegał. Ależ tak! Na pewno! Rudzin jest snem! — coś w niej krzyknęło. — Na jawie przecież nie rosną takie drzewa: pień rozszczepiony w górze na dwa różnogatunkowe konary — pół sosna, pół dąb. Takie właśnie drzewo Zuzia zawsze wspominała, myśląc o drodze do Rudzina, a takich drzew nie ma. Chłód przejął Zuzię i podziw dla nieprawdziwości istnienia.

— Kira — szepnęła z rozszerzonymi oczami — czy ty widziałaś kiedy, żeby pień rozgałęział się w dwa różne drzewa... np. w sosnę i w dąb?

Pociąg wchodził na stację. Kira powiedziała:

— Widziałam i widzę. Mój Boże, stoi sobie to cudaczne drzewo jak stało, za studnią, koło drogi... To Wola Zagrodzka. Następny przystanek będzie Rudzin.

Nieopisana ulga! Więc ów świat przedwojenny jednak istniał nadal i czekał na Zuzię. Dwugatunkowe drzewa rosły na jawie, rzeczywistość była dziwniejsza, niż sny. Pociąg stanął.

Mało kto wysiadł. Natomiast do wagonów trzeciej klasy wsiadło kilku żandarmów i jeszcze kilku Czarnych. Tuż pod łokciem jednego z nich wślizgnęła się mała dziewczynka. Postój trwał krótko. Z wejścia do budynku stacyjnego powiewała wielka gałąź brzozowa, sztandar Zielonych Świąt. „Nazrywamy tataraku"! — wyrwało się Zuzi. Ktoś spojrzał na nią z pobłażaniem, jedna z kobiet westchnęła: „Tatarak ludziom w głowie", ale ktoś inny zachęcił: „A nazrywać, nazrywać! Tatarak, chwalić Boga, jeszcze do Polski należy". Było niezmiernie gorąco, kiedy pociąg ruszył i niezwykłe drzewo za studnią znów odpłynęło w kraj przeszłości.

Ludzie stali w przejściach głowa przy głowie. Niemowlęta wrzeszczały, zaduch wisiał gęstą chmurą. Każdy gest któregokolwiek z podróżnych poruszał całą ciżbą. „Nie na wiele się zdały przepustki" — pomyślała Zuzia. W tej samej chwili pasażerowie na korytarzu zwrócili twarze w jednym kierunku, ustępując w miarę możliwości w przeciwnym, pod naporem jakiegoś intruza. Intruz nie zdawał się być pokaźny, bo tłum reagował drobnymi szarpnięciami, raz w prawo, raz w lewo. Spoglądano przy tym w dół z wyrazem zniecierpliwienia. Niebawem szmer poszedł po wagonie. „Czego się bachor rozpycha?" — sarkano. „Skąd się wzięła ta mała?" „Czego ona chce?" — „Wsiadła w Woli" — ktoś objaśnił — „podobno z ojcem. Ale się zgubiła". Gruby jegomość w rozchełstanej koszuli zarządził: „Przytrzymać dzieciaka i wypytać jak ojciec wygląda. Na razie niech się nie pęta, bo ścisk za wielki". Ale dziewczynkę widać nie łatwo było umiejscowić; wyraźnie nurkowała dalej po przedziałach, słychać nawet było, że coś wykrzykuje cieniutko i natrętnie. Ludzie zaczęli się gniewać. Tylko jedna kobieta wołała: „Chodź tu do mnie, dziecinko, tatuś się znajdzie na następnej stacji". Zuzię, rozradowaną po zdarzeniu z drzewem, bawiło teraz wszystko. Rozglądała się po sąsiadach, upatrując uśmiechów ewentualnego „tatusia". Podróżny na przeciwko, z twarzą zasłoniętą kapeluszem, na słowa „tatuś się znajdzie" drgnął jak gdyby. „Proszę pana, tu jakieś dziecko ojca szuka" — dotknęła lekko jego kolan. Poruszył się i zaśmiał, ale kapelusz z jednego oka tylko zsunął. „Jestem kawalerem" — mruknął. Tymczasem w przejściu z korytarza do przedziału powstał zamęt i z gęstwy dorosłych nóg wynurzyła się raptem dziewczynka. Jasnooka, z chudą i grymaśną twarzyczką podmiejskiego łazęgi. Spocona grzywa spadała jej na nos. Trząchnęła nią i obwieściła krzykliwie: „Tatusia zgubiłam!" Kobiecina z tobołem na plecach przygarnęła ją. „Cichoj! Zgubiłaś, to i znajdziesz. Czy tatuś do tego samego wagonu wsiadł?" Ale dziecko, w swej egzasperacji, nie zdawało się rozumieć pytań. „Tatusia zgubiłam!" — z maniackim uporem krzyknęła znów, zabierając się do odwrotu. Tymczasem podróżny kawaler jak gdyby się rozbudził. „W jakim palcie tatuś był?" — spytał niegłośno. I te słowa nie wiadomo czemu — znalazły wreszcie drogę do świadomości dziewczynki. Jej pracowite łokcie znieruchomiały, odwróciła się w stronę pana z kapeluszem; znacznie ciszej niż przedtem, bardzo poważnie wyrzekła: „W szarym palcie". Pan również spoważniał. "Czekaj, czekaj, moja mała, a ile on miał guzików przy palcie?" Dziewczynka wyciągnęła szyję. Z noskiem zaostrzonym z przejęcia, szepnęła: „Sześć sztuk". Nieznajomy poprawił się na siedzeniu. „E, to ja go widziałem — powiedział — jakem w Woli przez okno wyglądał. Wielgachne takie rogowe guziki, sześć sztuk w dwa rzędy... On wsiadł bliżej lokomotywy". Dziewczynka, zbyt chyba zmęczona by się cieszyć, siąknęła tylko nosem. Nieznajomy poprawił kapelusza, zapuścił ramię pod ławkę, wyciągnął stamtąd pakunek; wstając, oświadczył: „Pójdę z tobą. Razem łatwiej znajdziemy". — „Ili, panie — zaprotestowały babiny — gdzie się pan tera będzie przepychał? Jeszcze pan Czarnego napotka"... Ta z tobołem złapała dziewczynkę w pół. Ale dziecko wyślizgnęło się, chwytając dłoń nieznajomego. Chłopak w za krótkich rękawach zdążył usiąść już na jego miejscu. „Co się pani wtrąca? — burknął — tera takie czasy, że każden niech swojego nosa pilnuje". Wszyscy zamilkli; bezruch i cisza trwały czas jakiś. „Czyżby już Rudzin? Pociąg znów zwalnia" — zdziwiła się Kira. I wtedy nieznajomy z dziewczynką gwałtownie ruszył przed się. Piersią, ramionami rozgniatał ciżbę na korytarzu... Zuzia wyjrzała przez okno. Nie, to nie był Rudzin, ale to były lasy, przez które szła krótsza droga do Rudzina. Tłum falował, poruszony przez nieznajomego, ktoś wołał:

Murillo: Wniebowstąpienie (Muzeum Narodowe w Paryżu)

* * *

Wyszła! wyszła z za obłoku
Ludziom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze;
Cała w słońcach—cała w błyskach
Ludom się pokłoni,
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej.
Ujrzą ją na łąkach trzody
I smętnie zaryczą,
Zadrżą drzewa—staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą
Gwarząc zbiorą się Włodarze
Z kosami na roli...
Bo się w światłach, w snach pokaże
Człowiek dobrej woli.

Juljusz Słowacki

Horowicz: Nad Warszawą

„O, znalazł się drogocenny tatuś"... Zuzia raptem stanęła na równe nogi.

„Wyskakuje się z biegiem pociągu" — błysnęło jej w mózgu. Pociągnęła Kirę za rękaw i głośno, wesoło powiedziała: „Możliwe, że tu się pociąg zatrzyma, bo tu dawniej był przystanek. Dla nas stąd właśnie najbliżej". Ludzie popodnosili głowy, patrzyli tępo na panny; tymczasem one już stały przy drzwiach zewnętrznych, Zuzia z ręką na klamce. Pociąg istotnie hamował ze zgrzytem... Nasyp był nie wysoki, niżej — rów pełen kaczeńców; między torem a lasem 50-metrowy pas kartofliska. Zuzia pchnęła drzwi, zeszła na stopień, skoczyła. Kira za nią... Jednocześnie w korytarzu podniósł się krzyk: „Co pan robi? Trzymać dzieciaka! Puśćcie ją do cholery!" Ktoś trzasnął drzwiami, pociąg szarpnął, wydmuchnął kłąb dymu — popędził dalej.

Zuzia, z twarzą w trawie, leżała jakiś czas na dnie rowu. Po chwili uniosła się — Kira była przy niej. „Zwichnęłaś nogę?" Zgięła nogi. „Nic złego nie czuję". — „Ja nawet nie upadłam, pociąg szedł bardzo wolno". Mówiły szeptem. Kira stanęła pierwsza na krawędzi rowu. „Zuziu, patrz!" O jakie dziesięć metrów przed nimi w stronę Rudzina, przez tor przepełzał właśnie ów nieznajomy z kąta przedziału. Za nim czołgała się dziewczynka. Zuzia położyła palec na ustach, zbiegły znów na dno. Niebawem usłyszały plusk — podróżny wylądował w bajorku. Dziecko gadało po cichu, głowy trzymali przy ziemi, wspięli się na czworakach, taszcząc paczkę, na drugą ścianę rowu. Kilka minut minęło w napięciu; wreszcie wyprostowały się i przez kartofliska podążyły do lasu.

Las, na szczęście, ciągle jeszcze był gęsty na tym odcinku. Zapuściwszy się między drzewa, otrzepały suknie. „Nic nie widać. Tamci też już w lesie". Zawróciły i poszły w stronę drogi, do której nadspodziewanie szybko dotarły. U wylotu jej na tor bielał kamień z czarną cyfrą 6 km. Zuzia chwyciła Kirę za rękę. „Widzisz?" — „Że co?" — „Sześć guzików znaczyło, że pociąg zwolni na szóstym kilometrze. Rozumiesz?" Z wrażenia siadły przy drodze. Milczały jakiś czas ze ściągniętymi brwiami. W końcu Kira spytała: „Dlaczego właściwie postanowiłaś wyskoczyć? Czy tylko dlatego, że stąd bliżej?" Młodsza w olśnieniu kołysała głową. „O, nie... Sama nie wiem... Czułam przez skórę, że to dziecko kogoś ma przestrzec... I że ten w kapeluszu ma coś spełnić... Wiedziałam też, że lepiej wyskoczyć". Sosny szumiały, jedna gałąź, wysunięta z szeregu, powolnymi ruchami suwała się po niebie w tył i w przód, jak zielone, puszyste wahadło. Pachniało żywicą, mrówki z uporem niosły swoje maleńkie krzyże na swoje sypkie kalwarie. "Ach — westchnęła jedna — dokąd popełzł ten człowiek? co taszczył w tej paczce? Czemu zabrał to dziecko?" Druga ze spuszczoną głową rozgrzebywała igliwie. „Kogo ty pytasz? — zdziwiła się — Nikt teraz nie odpowiada na pytania". Cofnęła ramiona, podniosła twarz z zamkniętymi powiekami, nieruchomą i mokrą od łez.

Marie Kuncewiczowa

W LUDZKIM „REPIE"

Znowu wracam tą drogą, którą przyjechałem na bitwę, a na której tablice ostrzegają, żeby „nie dać się zabić". Wozy wprawdzie przesmykują się nią i teraz w pośpiechu, ale ileż bezpieczniejsza się wydaje, kiedy się nią jedzie z pozycyj.

W Aquafondata — pierwszy punkt etapowy na linii ewakuującej rannych. Tu spotyka się pierwsze szeregi „wojska ppłk. Wysłouchowej" — P.S.K. Wiele krzyków i wydziwiań było o te „pestki". Dziś na nie jak i na żołnierzy liniowych przyszedł dzień egzaminu i próby. — Spotykam pierwsze kantyny. Tu też dojeżdżają drajwerki. Mają pyzate buzie i nieraz warkocze z obu stron głowy. Wczoraj poczęto ostrzeliwać transport. Opowiadają z dumą, że „męskie dziady" zwiały, a drajwerka przycupła za chałupą, jako że regulamin zabrania wozu tracić z oczu; odmawiała godzinki i doglądała maszyny.

Pluton kantyniarski pod dowództwem kdtki C. dociera swymi kantynami tam, gdzie kobiecie dotrzeć wolno. Już tu w Aquafondata krząta się kantyna dla zdrowych i dla chorych, dla dwóch C.C.S., dla szpitala.

Kantyny wydają kawę, herbatę, kanapki, ciastka, owoce, papier listowy... Te, obsługujące chorych — bezpłatnie. Te, obsługujące zdrowych — kalkulując 3%-4% dochodu. Apetyt chłopcom służy — nie można nastarczyć wszystkiego.

I tak — z tymi ciastkami i z tymi dziewczęcymi głosami i z tym kubkiem kawy podsuniętym z kanapką wielkości głowy niemowlęcia, przyszła do mnie wojna w bardziej pokojowej postaci.

* * *

Dwie są rynny ściekowe krwi z terenów, z których jadę.

Krew aliancka — spływa przeważnie przez Venafro, Capuę, Casertę — do Neapolu.

Krew polska — przez Venafro, Campobasso, Termoli — pod Taranto, w sam koniec buta.

600 kilometrów licząca linia ewakuacyjna.

...Jadę więc na Venafro — jest to dłuższa droga do Karpackiej, ale zobaczę szpitale. Przy tym droga nie będąca już całkowicie pod obstrzałem. Zburzone mury Pozilli i innych miasteczek, rozwalone wątpia kościołów, zdziwione twarze świętych Pańskich wyłonione z kadzidelnych mroków uśmiechniętemu światu, są obce zielonemu życiu po polach, na których krzątają się kobiety w nafałdowanych spódnicach. Leje od pocisków przy drogach, to przeszłość; rzeczywistość to „bambina" łażące po nich, pieski podnoszące nogę, dzień pokoju widny, jasny, dostatni.

Że tam w tym dniu pokoju jest głód, że ciałka dziecinne często gęsto wylatują na minach, że kobiety kaleczą ręce o zardzazgały drut kolczasty — tego nie widzi przybywający z krainy huku, — rad, że ledwo tu słychać działa i że wełniste kumulusy umówiły się strugać Rafaela.

Venafro, Portella, S. Pietro, S. Michele, Vitticuso, Cervaro, i jak tam się zowią te wszystkie miasteczka przysiadłe na rantach michy, w której zagotowała się bitwa — roztoczyły usypiska ruin niby welon żałobny, przysiadły ślepymi oknami, głodne, bez światła i wody. Przybyły lud wojenny, zagnieździwszy najmniej rozbite gmachy, żył wyczekiwaniem.

Kiedy przed czterema dniami nadeszła godzina „H", na zabawę taneczną w Isserni wkroczył major angielski:

— Sorry — żołnierze giną...

W Venafro czekał nasz szpital 6-ty i nasze C.C.S.

... Ze ściśniętym sercem czekał godziny „H" cały nowosformowany personel. Niesłychanie chuda Karolcia U. — siostra operacyjna, królowała w swoim „kredensie". Żywa jak skra, malutka z koroną jasnego grubego warkocza dookoła głowy, siostra przełożona migała naraz po wszystkich namiotach. Siostra Z., paluszkami jak pajączki, oporządzała aparaturę radiową. Siostry... i cała reszta ich — wszystkie one miały tam jakąś bliską istotę...

Kiedy w godzinie „H" głuchy grzmot dotoczył się do Venafro i już nie ustawał, wiedziano że to już... Od Monte Cassino stała na niebie blada łuna i nigdy nie kończący się huk.

Przelatująca z namiotu do namiotu wszędobylska „ciocia" D. zobaczyła na tle tej łuny sylwetkę kobiecą. To p. M. matka młodziutkiego podchorążego.

— Co pani?

— Syna... tam... — wyciągnęła rękę w stronę zaróżowionego nocnego nieba. I trwała tak matczynym sercem przy niewidocznym synu *) przez cały czas kanonady — póki było można.

Póki było można — o godzinie drugiej w nocy odprawił biskup polowy ks. Gawlina mszę świętą na intencję walczących. Klęczeli ławą, czekając, że ich poderwą łącznicy.

Bo gdzieś z buzującego się kotła już wynurzyły się sanitarki, wolno wioząc krwawy pierwszy plon.

Przywieźli ich — zaszokowanych, milczących, pokornych, zastygłych w grozie zgiełku, który z nich nagle opadł.

Flegmatyczny Poznańczyk, komendant szpitala dr mjr K. — nagle został poderwany przez falę entuzjazmu, bijącego od personelu. Wszystko — łącznie z personelem kancelaryjnym, wartownikami, służbą działu gospodarczego — garnęło się do dźwigania nosz. Kiedy bomby poczęły lecieć na Venafro (tuż obok było lotnisko) nikt z tych przygodnych wojaków nie drgnął.

* * *

Przy 5 C. C. S. roztasowała się jedna z tych ośmiu kantyn — kantyna Krysi B. Krysia — mała, czarna, energiczna, pulchniutka, z oczami jak tareczki, w wielkich gumowych butach z cholewami — ledwo zdążyła się zwinąć ze swoją kantyną, przeniesioną wraz z nią z Vitticuso, jako że „tu za blisko frontu i nie ma miejsca dla bab".

Wściekła na despekt, wściekła, że brygada w Vitticuso została bez kantyny, latała w tych swoich butach z cholewami w ostatniej chwili przed bitwą. Tu stanął jeden stół — tam drugi. Niebawem dźwignął się namiot z przegródką. Z jednej strony — ich gospodarstwo, z drugiej — stoły dla „gości".

Z Głównego Punktu Opatrunkowego zatelefonowano, że pierwsze sanitarki ruszyły. Na tacach Krysi poczęły rosnąć góry kanapek. Krysia wie, że będzie tłok na izbie przyjęć, że trzeba tych lżej, a nawet tych cięższej rannych zająć, rozgrzać, skrócić im czekanie.

... Zawarczał motor — mała osóbka nie widoczna za górą kanapek, wlatuje do izby przyjęć. W izbie chorych na ławie siedzi pierwszy ranny — chłopak, który utracił oko. Niesie mu filiżankę do ust, a tu wnoszą, wprowadzają innych. Izba przyjęć wypełnia się wyziewem medykamentów, mdłym zapachem jaki wnoszą ranni.

Krysia schyla się do nóg: — Zdjąć buty?

*) Przypisek po bitwie: syn poległ.

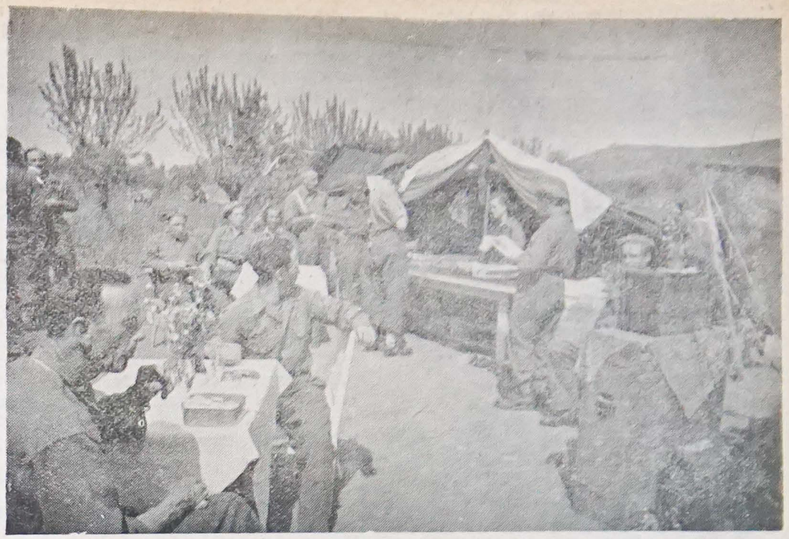

Kantyna polowa pracuje

— Pić — mówią chorzy.

Krysia podaje kubek.

Wówczas otwiera się u nich nieodparta chęć mówienia. O kolegach. O ogniu. O ranieniu. O oficerach. O tym wielkim, jedynym wstrząsie życia, o tym przeżyciu, które przepala dusze. Zaszokowane, zamglone oczy budzą się na świat przemożnym jaśnieniem. Ten człowiek już całe życie, we wszystkich okolicznościach będzie żołnierzem z pod Monte Cassino. Do tego wspomnienia przymierzy każdą gorzką okoliczność życia i, daj Boże, każdą radosną, a tych nie będzie w życiu żołnierzy zbyt wiele. To, że był pod Monte Cassino, zapiszą mu na nagrobku, jeśli się znajdzie dla niego ludzki nagrobek. To, że był pod Monte Cassino zapiszą kroniki rodzinne, jeśli będzie jakowa rodzina.

A Krysia B. — daleko odpłynęła od tych czasów, kiedy kończąc szkołę przed samą wojną, dyskutowała różne „izmy", kiedy szczeniaki założyli straszliwie tajną konspirację trzynastki, kiedy — zielono w głowie — stworzyli ku przerażeniu matek „Parabumbę" — kabaret zbierający się w kawiarni „Zodiak", kiedy Gustaw Herling-Grudziński założył „Orkę na ugorze", Drewnowski „Bunt Młodych".

Gustaw tej nocy walczy pod Monte Cassino (Virtuti Militari), Drewnowski — cały czas wydawał pismo tajne w Kraju (teraz już o tym pisać można), Felek Lechnicki, założyciel „trzynastki", który jesienią 1941 r. pieszo zawędrował na Bałkany, zginął w parę dni po zaręczynach — w locie nad Niemcami.

Członkini „Parabumby" pochyla czarną główkę nad nie dającym się rozsupłać węzłem żołnierskiego buta. Podnosi oczy i widzi pełen jasności, pełen dobroci wzrok ranionego chłopaka.

— Siostro — pokazuje w stronę jęczącego Niemca — to ode mnie dostał... razem nas wieźli... Niech mu siostra da kakao...

Sanitariusz Gryka ładuje na nosze rannego z nowo przybyłej karetki.

— Gryka, twój syn zabity! — krzyczą mu z szoferki.

Gryka bez słowa niesie nosze; dopiero kiedy doniósł chorego na Rentgena, kiedy oddał gdzie trzeba jego dokumenty — wraca przepytać *).

Po minięciu szoku, kiedy żołnierz w kółko powtarza swoje drobne sprawy (zostawiłem chlebak... nie mam chusteczki... brudny mundur...), rodzi się — najedzony

*) Przypisek po bitwie: po trzech dniach dowiedział się, że wiadomość była fałszywa.

Gen. Anders odwiedza rannych (fot. Hrynkiewcz)

i wyspany (mówię o lżej rannych) — miles gloriosus. Co to on zdziałał, ile to schronów rozbił jego pluton, jakie straszne pociski artylerii najcięższej wybuchały obok — i nic...

Potem, wracający do świata, do życia, do ludzi — czuje gwałtowną potrzebę stylizacji. Dusi ich nadmiar patosu tej wspaniałej chwili, którą przeżyli. Oficerowie w ich opowiadaniach wyrastają na półbogów. Siostry stylizują na anioły. Wszędzie, gdzie się pokażę, gruzłowate palce gryzmolą na cześć tych sióstr karteluszki dziękczynne. Żeby tylko koniecznie było w gazecie.

Cieszą się, że trafili do polskiego szpitala. Kantyna staje się klubem dla lżej rannych. Wczoraj już wytrzasnęły dziewczęta i postawiły olbrzymi namiot, rozłożyły wzorzyste dywany, ustawiły fotele, patefon i kwiaty, wszędzie kwiaty.

Żołnierz teraz potrzebuje gadać, gadać, bez końca — gadać... Nadchodzą siostry, w które uderzyło nieszczęście. Przed wejściem przybierają uśmiech wydobyty „z zapasów na czarną godzinę". Krysia jednego karmi, drugiemu jednocześnie przytakuje. „Tak... tak..." O żonie, o dzieciach, o kolegach, o sytuacji... Dziś już zaczynają rozumieć, że to nie była jednorazowa bitwa. Ważą: „Dwóch batalionów się nie pozbiera."

— Zobaczycie, że jeszcze nie zdążymy stąd wyjść, kiedy Monte Cassino będzie już wzięte — mówi czupurny porucznik.

Te słowa budzą popłoch — odwrotny. Do Krysi podchodzi młody chłopak.

— Proszę pani — czy pani by nie mogła przechować tego munduru?

Krysia widzi, co się święci:

— Nie — powiada srogo.

Wobec tego wywiał w parę godzin potem w niebieskich szpitalnych portkach — aby się nie spóźnić na to wzięcie.

Szczególnie starzy wyjadacze spod Tobruku uważają za nie fason wyjść drogą normalną ze szpitala. Zwłaszcza, że ich przestraszono... „Gryfem". Wywiewają autostopami na potęgę i robią dużo zamieszania.

Nad ich ciężko rannymi kolegami ważą się tymczasem losy. Są pełni ufności, że żyć będą. Utarło się przekonanie, że byle dotrzeć do Głównego Punktu Opatrunkowego to już łapiduchy wyciągną śmierci...

Sulfamidy, którymi posypał im ranę sanitariusz na polu walki, zdławiły bakterie i uratowały im życie po raz pierwszy.

Krew, którą przetoczył do ich żył lekarz w czołówce transfuzyjnej, uratowała życie po raz drugi...

Zbliżał się wielkimi krokami dzień naszej bitwy, a Korpus nie miał ani źdźbła cudownego leku — penicilliny. Dopiero na trzy dni przed bitwą otrzymał Szef Służby Zdrowia Korpusu dwa miliony jednostek, t. zn. ilość wystarczającą na mniej więcej sześciu rannych. A na dwa dni przed bitwą kierownik brytyjskiej pracowni bakteriologicznej w Bari przywiózł na ręce docenta ppłk dr D., kierownika naszej pracowni bakteriologicznej — 10 milionów jednostek.

Poważył w dłoni docent otrzymaną dozę — poczuł, że trzyma w niej uratowanych 20-40 kończyn.

Nocami rozsypuje asystentka p. Zofia penicillinę z dużego słoja do probówek. To jest bardzo odpowiedzialna praca, wymagająca skrajnych ostrożności antyseptycznych. Palniki, maski na twarzy, rozpylacze... 1500 flaszek rozdozowała i ani jedna nie okazała się zjałowiona.

* * *

14 — V — opuszczam Venafro, aby przed wieczorem stanąć w Karpackiej. Za kilka godzin zacznie się zmierzch. W ciszy nocnej dalej będą się obracać sanitarne żarna. Dwa C. C. S. i szpital od dziś poczynają pracować rotacyjnie: co osiem godzin otwierają się podwoje jednego z nich, do których łącznicy stojący na szosie kierują nadjeżdżające sanitarki. Nałykany przez osiem godzin „materiał do przeróbki" trawi szpital do następnego otwarcia. Słaniają się na nogach siostry operacyjne, tną mechanicznie chirurdzy bez końca, wyjeżdżają „sprawieni" chorzy w dalszą drogę.

W ciągu pierwszej doby po natarciu przepłynęło przez te żarna 960 rannych. Wysiliła się medycyna w tej wojnie. „W szpitalu się nie umiera".

I posuwający się wzdłuż szeregów łóżek gen. Anders, ekspert nad eksperty, świecąc gwiazdkami swoich ośmiu ranien, mówi:

— Co mnie uderza tutaj, to brak jęków i brak tego swoistego dla sal rannych, mdłego zapachu.

W zespolonym wysiłku ludzkim w Dniu Wielkiej Próby nie ma też mdłego zapachu skrzeczącego dnia codziennego.

Dobrze jest przeżywać chwile, w których każdy mężczyzna ma piętno bohatera i każda kobieta — anioła.

Rzeczywistość jest inna. Ale tę rzeczywistość łatwiej jest znosić, przeżywszy takie dni.

Melchior Wańkowicz

KAPLICA

Zamykam drzwi na Londyn, na życie, na ludzi...
Tutaj świece trzepocą natschnionym płomieniem,
na twarzach wszystkich świętych przebiegają cienie
fantastyczne kwiatów.
— Kaplica.

Mrok opalowy, wonny mrok kościelnych światów
spływa na wierne kłosy szemrzącego zboża.
Głos księdza się unosi jak piosenka boża
skowronka na chwałę latu.
— Bogarodzica —

Czemu słyszę to słowo? Pray for us, pray for us...
modli się pieśń skowronka. Modli się każdy głos
i bezbronne aniołki na połach ornatu.
Ale ja klękam u Ostrej Bramy:
Módl się za nami. Módl się za nami.
Matka Boska się śmieje pomiędzy świecami.

Zofia Ilińska

KIEROWNICA, ARMATY I WIOSNA

„Wojenko, wojenko..."

Wozy zajechały z hałasem, niosąc za sobą tumany kurzu do małego miasteczka, położonego bardzo śmiesznie na sterczącym wzgórzu ostro opadającym w morze. Słońce właśnie zachodziło, rzucając nienaturalny liliowo-różowy poblask na morze, na skupione kolorowe domki i rozkrzyczaną dzieciarnię. Okna w okazalszych budowlach były pozamykane. Lufy ustawionych rzędem na placu armat, szczelnie otulone pokrowcami. Żołnierze przebiegali szybko uliczki, zaaferowani czymś i bardzo poważni. Zaledwie parę dni temu było tutaj inaczej. Żegnające dzień słońce odbijało się czerwono w wyniośle sterczących lufach. Żołnierze spacerowali nad brzegiem. Ten i ów tuliło do siebie czarnooką Paulę czy Florę. Z okien uśmiechały się dobrze znajome twarze. Noc między księżycem, morzem a kwitnącymi migdałami przechadzał się wartownik. Jutro wstawało zwyczajne, niosąc normalny tryb garnizonowego dnia i ćwiczeń żołnierskich.

Dzisiaj było zupełnie inaczej. W powietrze, przygniatające i złe, wczaiło się chytre niewiadome jutro tułaczej żołnierskiej doli. Urywane krótkie rozkazy, gońcy motocyklowi przecinali szosy. Wozy podstawiano pod ładunek. Piętrzyły się skrzynki i pakunki. Słów brakowało właściwych i mówiono do siebie raczej mało i o rzeczach najpotrzebniejszych. Przy kierownicy można jednak rozmyślać, zwłaszcza kiedy wozy czekają na załadowanie. Myślałam o tym, że każdy postój w jakiś sposób przywiązuje nas do siebie, każde żegnanie nawet dalekich i obcych stron pozostawia nieuchwytny osad. Potwierdzały mi to twarze żołnierzy, trochę już zapijających zagadkę nieznanej przyszłości. W blaskach wstającego dnia ustawiła się kolumna. Smutek poprzedniego wieczoru pierzchł, a twarze żołnierskie śmiały się młodo i radośnie. Wieziemy żołnierzy na front — uśmiechnęłam się i ja, nie wiem do wiosny, czy wielkiej przygody. Za wozami ustawiły się wielkie przysadziste matadory, leniwie ciągnęły się za nimi ciężkie groźne działa. Kolumna ruszyła. „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani" — śpiewały dzieciaki z Castro, żegnając codzienną piosenką polskich żołnierzy.

Tyle tu po nich zostało nad srebrno-szarym morzem i w miasteczku kwitnącym mimozą.

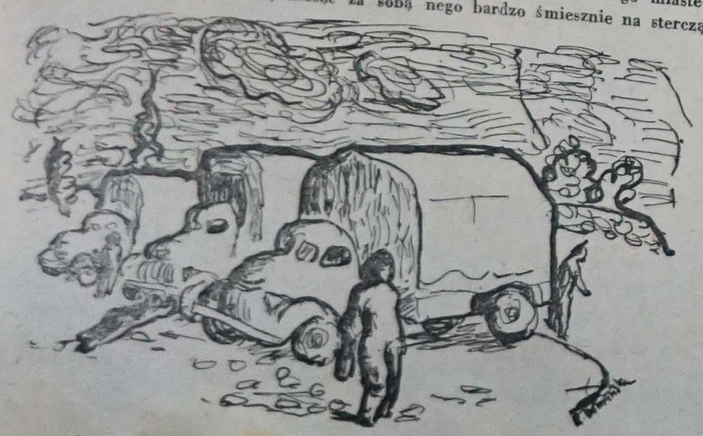

W kompanii transportowej PSK (rys. K. Domańskiej)

Czarne berety (rys. L. i Z. Haarów)

Pierwszy postój

Miało się już na dobre ku wieczorowi, kiedy wozy przystanęły na zieleniejącym się kwadratowym placu. Z dywizjonowych kuchni buchały języki ognia i pachniało gotującą się zupą. Żołnierze powyskakiwali z wozów, biali od kurzu, i pobiegli po wodę. Eleganci rozkładali przybory do golenia, czyścili buty i ubrania. My tymczasem znosiłyśmy z wozów łóżka i pościel i całe ruchome nasze gospodarstwo. Dziwny to zresztą był widok; takie nowoczesne Dyndalskie, dźwigające plecaki, chlebaki, toboły i, zamiast klatki z kanarkiem, nieodzowną dużą miednicę. Brakowało co prawda Zuzi i Fruzi, ale usłużny Grześ, nie huzar i absolutnie nie antyfeminista, zawsze się jakoś znalazł. Zresztą, co tu dużo mówić, wojsko już od dawna przyzwyczaiło się do współpracy z kobietami. Po zupę biegniemy wszyscy razem, wymieniając przy tym wrażenia z drogi.

Przed wozem kantynowym stoją ogonkami żołnierze. Usłużne Angielki nalewają tea i podają ciastka. Adiutant, zapomniawszy o powadze swego stanowiska, ucieka przed roześmianymi dziewczętami, unosząc czekoladę. Dopędziły go jednak ku uciesze patrzących. Księżyc wysunął się podstępnie i zmusza do myślenia o spoczynku. Między wozami zaimprowizowano wygodne sypialnie. Żołnierze gromadą odprowadzają kierowczynie do domku opodal.

Na kwaterze P.S.K. dopiero zaczyna się ruch i rozkładanie gospodarstwa. Łóżka, prześcieradła, szlafroki i lustra — że też im się chce wozić ze sobą to wszystko, wypakowywać wieczorem, w pośpiechu pakować co rana! — Ale tak już jest. Pokój wygląda jakby mieszkano w nim od dawna. Na najbardziej uhonorowanym miejscu stoi duża emaliowana miednica. Dziewczęta w piżamach, nie zapominają o kremie i wszystkich normalnych zaklęciach kosmetycznych. Białe duchy z komicznymi szmatkami wplecionymi we włosy kręcą się jeszcze długo w blasku świecy, opowiadają coś i chichocząc pół głosem. W końcu i wszystko się ucisza. Nad snem maleńkich pań czuwają siedzące na walizkach lalki i misie maskoty.

Droga nr 16

Sapiąc i dysząc ciężko, wjeżdżają wozy w górę. Trójka. Dwójka. Znowu trójka. Zgrzyt lewarka i szybkie dwa ruchy nogą. Zegary się ożywiają. Oliwienie do dwudziestu. Temperatura podskakuje — milaż zmniejsza. Ostatni jęk maszyny jest na górze. Teraz chce na łeb na szyję lecieć w dół. Uwaga! Serpentyna! Noga przesuwa się na hamulec, leniwe skręty kierownicą zataczają szybsze i pełniejsze półkola. Pod górę i z górki i znów serpentyna. Droga zaczyna być interesująca. Jakiś wóz zatrzymał się, nie może ruszyć, chciałby zlecieć innemu na maskę. Figlarnych mu się zachciewa kawałów. Bo też i figlarnie w tych górach. Zielono, wiosennie i radośnie. Niebo uśmiecha się nad kolumną — puszyste watowane obłoczki kiwają przyjaźnie. Wraz z kurzem wdycha się młodość i wiosnę. Na wojnę, na front, na wojnę — wystukuje maszyna.

Tymczasem góry się kończą — zjeżdża się w dół coraz niżej i bliżej morza. Jak rozlana balia farbki wygląda Adriatyk z góry. Droga jest znów szeroka i prosta. Równym szeregiem wyrastają cyprysy przy malowniczych miasteczkach na wzgórzach, opodal porozrzucane pikkach na wzgórzach, opodal porozrzucane pikkach na wzgórzach, opodal porozrzucane pik

żał jej były pan, ale z czasem przywykła już ze swoich wędrówek powracać do swojego nowego właściciela. Zaczęła też ukradkiem zaglądać do miski. Bała się ludzi i do nikogo nie miała zaufania; okazywała nieomal zdziwienie, że wszyscy są dla niej życzliwi i nie biją jej. Widocznie nie zawsze był dla niej uprzejmy jej dawny pan. W dalszych trudach wojennych stała się wytrwałym towarzyszem i przynosiła szczęście. Miała, jak twierdzi jej nowy właściciel, intuicję, węszyła niebezpieczeństwo. Historia Tassy urywa się — trzeba jechać dalej. Tassa zachowuje się w stosunku do nas pogardliwie. Po jakimś czasie w drodze mija nas tankietka. Pan Tassy kiwa do nas przyjaźnie, a Tassa wylazłszy na grzbiet tankietki także okazuje życzliwość. Widocznie — po namyśle — przekonała się do kierowczyń. I ona także.

Święta przy akompaniamencie pelotki

M.p. było w dolinie między wzgórzami w ładnej, dość bogatej wsi. Ledwo kolumna stanęła, już wojsko zabrać się musiało siarczyście do pracy. Rano dnia następnego z nikim już nie można się było dogadać. — Tu nie garnizonowe życie, tu front — tłumaczył Zygmunt Halinie. I tak jedni pojechali wstrzeliwać się i oglądać stanowiska. Armatom zdjęto pokrowce, czyszczono broń, konserwowano sprzęt i przygotowywano się na serio do rychłej już, poważnej roboty. — A święta? — pytała Halina. Była to już Wielka Sobota. — Przyjedziemy, jeśli się da, jutro o czwartej — krzyczano do nas z samochodu. — Urządzić mi święta tu w polu. — Bardzo się nam to myśl podobała. Od razu co lepsze gospodynie zaczęły układać fantastyczne menu; o kurach była w nim mowa i majonezie. Niestety zakupy nie dały żadnych rezultatów, a raczej minimalne. Następnego dnia, rezygnując z fantastycznych planów — wybrałyśmy się z dyplomatyczną misją do magazynu żywnościowego i wróciłyśmy obładowane konserwami. We włoskiej kuchni założyłyśmy nasze królestwo. Nie obeszło się bez ostrej wymiany zdań w sprawie rozbieżnych wiadomości z

Dyżurna (rys. K. Domańskiej)

dziedziny kulinarnej. Jakoś jednak poszło, potrawy gotowe ułożyłyśmy na stole. Okazuje się, że dużo łatwiej prowadzić wóz, niż gotować.

Około drugiej pozostało już tylko zastawienie stołu. Zwolniwszy więc tempo, śledziłyśmy samolot nieprzyjacielski, uciekający przed osaczającymi strzałami pelotki. Dymki gromadziły się na niebie. Powaga wojny oderwała nas od małych, kulinarnych trosk. — Są! — krzyknęła Halina. Istotnie byli prawie wszyscy i to o dwie godziny wcześniej. Zastosowałyśmy teraz wojskowe tempo w nakrywaniu stołów; w ostatniej chwili jakieś zielsko rzuciłyśmy na stół, bo po rosnące opodal kwiaty nie wolno się było porywać. — Miny — miny — powtykane co krok tabliczki z ostrzeżeniami.

Był domowy porządek i bez przesady dobrze zastawiony stół świąteczny. — Patrzcie, patrzcie tylko, co te kobiety potrafią w parę godzin zrobić! — cieszyli się i dziękowali. Posypały się życzenia i toasty — właśnie dzieliliśmy się jajkiem, kiedy pelotka zestrzeliła nieprzyjacielski samolot. Dymy rozerwały się po niebie — szerokim łukiem spadał srebrny ptak.

A oni już się wstrzeliwują

Nasz powrót do kompanii, a ich na linię zbiegły się w czasie. Przy świątecznym stole przyciszyły się rozmowy i coraz ktoś inny zerkał skrycie na zegarek. Jeszcze trzydzieści minut. Było właściwie wesoło i poruszano najprostsze, najbanalniejsze sprawy, nikomu niepotrzebne i nieciekawe. Trzy minuty na pożegnanie, punktualnie o 5-tej wyjeżdżamy. Wstał major i za nim wszyscy. Serdeczne uściski, jakieś zalęknione słowa, trzask drzwi — warkot samochodu i mamy wszystkie wilgotne oczy.

Na drugi dzień bardzo rano kolumna ruszyła do domu.

— A oni się już wstrzeliwują — a oni się już wstrzeliwują — myślała każda z nas.

Maria Weberówna

CZOŁÓWKA POD FRONTEM

Pisząc o pracy ochotniczek P.S.K., nie wolno zapominać o tych, które pracują w Teatrze Żołnierza i w Czołówkach Teatralnych, a rekrutują się zarówno z zawodowych artystek, jak i z nowych sił, które pierwsze kroki zaczęły stawiać dopiero na „deskach" teatru żołnierskiego. Jednak dziś, po zwyż trzech latach i te amatorskie siły wykazały się dużym dorobkiem i one stały się artystkami. Niejednokrotnie Czołówki dawały przedstawienia dla żołnierzy w bezpośredniej bliskości frontu, nie tylko pod groźbą nalotu lotniczego, ale i w zasięgu artylerii npla. I choć artystki nie znają się na kb., moździerzach, czy granatach, jak ich koleżanki z innych oddziałów, umiały jednak zachować spokój i grać dalej, mimo krążących nad głową Messerschmidtów. — O przedstawieniach, odbywających się w okresie walk o Monte Cassino pisze z humorem ochotniczka Helenka z Czołówki Teatralnej.

Było nas wtedy trzy. Rena, Ela i ja. Ktoś złośliwy powiedział, że jak na jedną Czołówkę, to też za dużo. Mężczyzn było znacznie więcej. Ale też i bali się więcej. Kiedy powiedziano nam po raz pierwszy, że jedziemy grać na front, byłam bardzo wzruszona. Do tego stopnia, że nogi ugięły się pode mną. Ale pomyślałam sobie od razu: Helenka bądź mężczyzną. I od razu nogi się wyprostowały, ale w zamian za to zaczęłam trząść się, jak galareta. Prawdziwie po męsku.

Wyjechaliśmy raniutko, a w południe nasza ciężarówka zatrzymała się na stanowiskach c.k-emów, na pięknym pagórku, skąd roztaczał się wspaniały widok. Żołnierze otoczyli nas zwartym kołem. Mimo woli wyrwało mi się pytanie:

— Przepraszam, a jak daleko stąd są Niemcy?

Jakiś pucołowaty kapral uśmiechnął się:

— Na tym przeciwległym zboczu. Przez lornetkę można ich nawet zobaczyć...

Zrozumiałam przez to, że Niemcy nas też mogą zobaczyć przez lornetkę i nie bardzo byłam z tego zadowolona. Mimo to starałam się uśmiechnąć. Musiało to wypaść nie szczególnie, bo koleżanki zapytały mnie od razu, czy mnie czasem żołądek nie boli...

Scena była zbudowana z jaszczów z amunicją, przykrytych płachtą z samochodu, pomiędzy dwoma pagórkami, na których usadowili się żołnierze. Takiej krzywej sceny nie widziałam nigdy przedtem, ani nigdy potem. Niebieskooki podporucznik starał się to wyjaśnić z miłym uśmiechem:

gen. Anders wśród artystów Czołówki

— Niestety nie mogliśmy dokładnie wyrównać terenu, bo wczoraj w tym miejscu padł pocisk i zabił jakiegoś pastucha. Pastucha pochowaliśmy obok, ale dziura po pocisku była bardzo duża i nie zdążyliśmy jej zasypać dokładnie. Szkoda, że państwo wczoraj nie przyjechali. O tej porze było tu bardzo wesoło...

Pomyślałam, że rzeczywiście było by bardzo wesoło, gdyby w tym miejscu, gdzie rąbnął pocisk, była nasza scena. Mogła być duża „rozrywka".

Obok sceny stał mały namiot przeznaczony na garderobę dla „pań", bo „panowie" przebierali się za samochodem. W namiocie z trudnością można było poruszać się. Na przestrzeni dwóch metrów kwadratowych widać było z osiem pokaźnych dziur w ziemi. Postanowiłam już o nic nie pytać, ale tajemnice tych dziur wyjaśnił nam kapral, który przyniósł wodę do picia:

— To są dziury po minach, które dwa dni temu zostały wykryte. Min tutaj w ogóle nie brakuje.

Musiałam zrobić ładną minę, bo od razu wyszedł z namiotu. Na szczęście tego dnia Niemcy nie dali znać o sobie i żołnierze na przedstawieniu świetnie się bawili. Tylko ja nie mogłam zapomnieć o tych minach i żałowałam, że nie jestem ptaszkiem, żebym mogła fruwać, zamiast chodzić po ziemi.

* * *

Droga do Pietrobondante była bardzo urozmaicona.

Cztery godziny jazdy po serpentynach, które wydały się 47-miu braćmi słynnych „siedmiu sióstr" na drodze Tel-Aviv — Jerozolima, potem lasek. Piękny lasek, przez który wiodła wyboista droga. Szeroka trzydziestka raz po raz zaczepiała o gałęzie drzew zwalonych po obydwu stronach drogi. A nade wszystko bardzo zachęcające informacje porucznika, który nas pilotował:

— Trzeba tu jechać bardzo ostrożnie, bo lasek jest kompletnie zaminowany. Wczoraj w tym miejscu wyleciał na minie nasz wóz. Na szczęście kierowcy nic nie stało się, bo wyrwało tylko tylne koła i dyferencjał.

Przejechaliśmy jeszcze dwieście metrów: Dwa dni temu jeden kapral „Karpatczyk" stanął na przydrożnym kamieniu koło tego drzewka i frunął razem z kamieniem.

Od tego czasu omijam wszystkie przydrożne kamienie. Nawet, kiedy samochód po kilkugodzinnej jeździe zatrzymuje się na parę minut w wiadomych celach.

Przedstawienie w Pietrobondante odbyło się przy współudziale wielkiej ilości żołnierzy, którzy zaprosili całą ludność miasteczka z miejscowym księdzem na czele. Ksiądz bawił się doskonale, jedynie podczas tańców rumienił się i opuszczał głowę mocno zażenowany. W środku koncertu, właśnie podczas mego numeru nad starożytnym teatrem, gdzie wśród ruin znajdowała się nasza scena, ukazały się dwa Messerschmidty. Przedstawienie jednak widać nie przypadło im do gustu, bo bardzo szybko odleciały. Złośliwe koleżanki jednogłośnie twierdziły, że to na mój widok...

* * *

W Aquafondata mogło być bardzo przyjemnie, gdyby nie strzelanina. Zaczęło się w momencie kiedy orkiestra rozpoczęła grać uwerturę. Byliśmy wszyscy w świetnym nastroju, bo poprzedniego dnia ostrzeliwano w tym samym miejscu konkurencyjną Czołówkę. Dzisiaj przyszła kolej na nas. Jakieś sto metrów na prawo od sceny waliła ciężko kolubryna nowozelandzka, naprzeciwko sceny o jakie pięćdziesiąt metrów parskała nasza ciężka pelotka, a z tyłu za sceną co parę minut kropiły działa angielskie. W międzyczasie kilka niemieckich pocisków rozerwało się na wysokim zboczu, o jakieś 400 metrów od nas. Nastąpił prawdziwie koncertowy. Przed wyjściem na scenę usłyszałam, jak oficer oświatowy zwracał się do naszego kierownika:

— Niech państwo postarają się jak najprędzej skończyć przedstawienie. Właśnie otrzymałem rozkaz w tej sprawie...

— Wcześniej niż za godzinę nie skończymy. Dopiero idzie pierwszy numer.

— A nie można czegoś wyrzucić?

— Można, ale my nie mamy tego zwyczaju. Kierownika wal na scenę. I nie zwracaj uwagi na strzały...

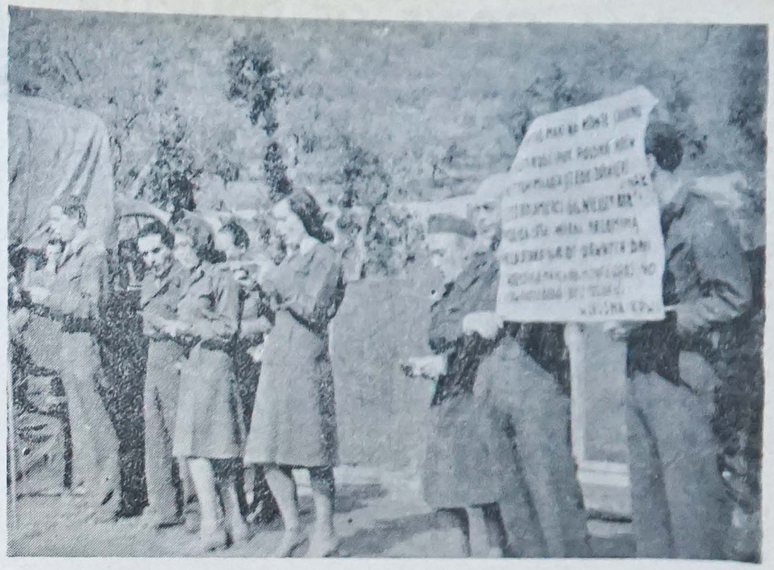

Artyści Czołówki śpiewają piosenkę o Monte Cassino: „Czerwone Maki"

Wyszłam na scenę i zaczęłam mówić, ale widziałam wyraźnie, że nikt mnie nie słyszy. Wobec tego postanowiłam mówić głośniej, w końcu zaczęłam krzyczeć. Mimo to sama siebie też nie słyszałam. Sytuacja była bardzo zabawna. Zwłaszcza, że w pierwszym rzędzie ujrzałam jednego z najodważniejszych ludzi w Armii, redaktora Melchiora Wańkowicza, który za każdym strzałem podskakiwał na ławce. Po prostu nie miał czasu zwracać uwagi na scenę, bo musiał uważać, żeby ławka nie zawaliła się pod nim. Prawdopodobnie też dlatego, że nikt nie słyszał mojego monologu, miał on bardzo duże powodzenie tego dnia...

Po półgodzinnej strzelaninie tak przyzwyczailiśmy się do niej, że zaczęliśmy żartować. Jeden z kolegów powiedział do mnie na scenie:

— Panno Helenko, pewnie będzie deszcz...

— Dlaczego?

— Bo grzmi.

I tak grzmiało aż do finału. Kiedy skończyliśmy finał, skończyło się strzelanie. Zaproszono nas na małą przekąskę do kasyna, urządzonego w małym namiocie. Byłam zdziwiona, że nikt nie ma apetytu.

Z Aquafondata jechaliśmy bardzo szybko. Nigdy przedtem kierowca tak szybko nie jeździł.

* * *

Bardzo przyjemnie jest grać na stanowiskach. Zwłaszcza, gdy przedtem uprzedzają, że w razie alarmu wszyscy mają się rozbiec i schować, gdzie się da. Najlepiej pod samochodami. Chodziło o niemieckie samoloty, które mogą zauważyć duże zgrupowanie ludzi podczas przedstawienia.

Samoloty jednak nie nadleciały i przedstawienie odbyło się normalnie. Pożegnaliśmy się z oddziałem, kiedy na dworze było już ciemnawo. Wracając na m.p. jechaliśmy polnymi drogami, przez jakieś brody, przy zgaszonych światłach, aż po dwóch godzinach zatrzymaliśmy się przed tabliczką, na której wyraźnie było napisane „200 metrów do n-pla".

W tym momencie nadjechał łazik, na którym siedziało trzech żandarmów. Zdziwiłam się, że żandarmeria jest też na froncie.

— A państwo dokąd?

— Czołówka. Wracamy na m.p.

— A to świetnie trafiliście. Za tym pagórkiem moglibyście zrobić przedstawienie dla Niemców.

Kierowca w miejscu zawrócił i popędził jak wariat z powrotem, nie zwracając uwagi na krzyki żandarmów:

— Zgasić światła! (Kierowca zapalił światła chcąc szybciej jechać). Po godzinie jazdy, na skrzyżowaniu dróg przed jakimś miasteczkiem, zatrzymał nas znowu żandarm:

— Musicie państwo przenocować w miasteczku, bo droga jest zajęta. Jadą czołgi. Przesiedzieliśmy do szóstej rano po ciemku w małym pokoiku. Było nas około dwadzieścia pięć osób. Na m.p. wróciliśmy o ósmej rano. O jedenastej był wyjazd na następne przedstawienie.

Ochotniczka Helenka

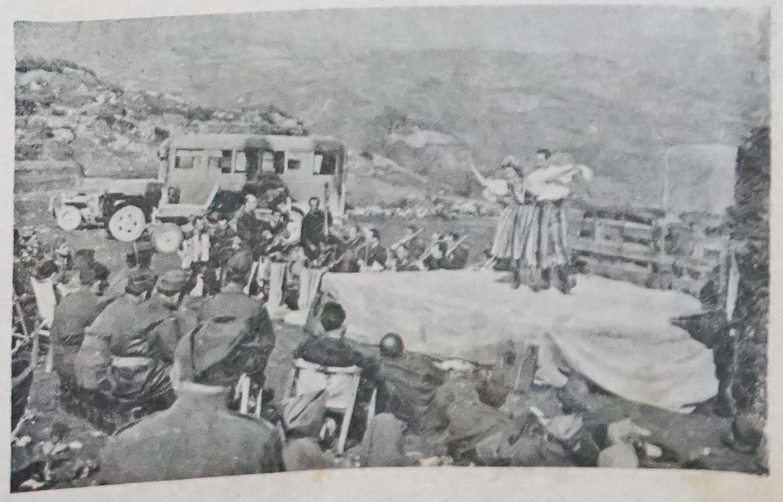

Scena zbudowana z jaszczów z amunicją

TAM, GDZIE SIĘ DRUKUJE „OCHOTNICZKA"

Małą, boczną ulicą dochodzi się do narożnego budynku, który nie zwróciłby niczyjej uwagi, gdyby nie biała kartka na szklanych wahadłowych drzwiach, informująca, że tu właśnie znajduje się Drukarnia Polowa Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu. Kilka schodów prowadzi do biura, gdzie od wczoraj przeniosła się redaktorka i korektorka „Ochotniczki", bowiem są to dni łamania numeru (formowanie stron). W tym czasie ważą się losy wyglądu „Ochotniczki", poprawia się jej maquillage (korekta), robi manicure (obcinanie w introligatorni), no i co najważniejsze ubiera się ją w wyjściową formę artykułów. Ale zanim będzie gotowa, dużo jeszcze chwil upłynie i dużo pracy muszą włożyć zatrudnieni przy jej „toalecie": redakcja, kierownik drukarni, korektorka, linotypiści, zecerzy ręczni, metrampaże, maszyniści itp.

Gdyby się chciało opisać kolejność prac według tego, co się widzi bezpośrednio po wejściu do drukarni, powstałby chaos głosów i poruszających się rąk ludzkich; stuk linotypów miesza się z warkotem maszyn drukarskich, stosy papierów piętrzą się wśród rozłożonych wszędzie szpalt — łamów złożonych artykułów do wydawnictw, które wykonywane są w Drukarni Polowej.

Wystukany na maszynie w redakcji czystopis, po skontrolowaniu i zrobieniu poprawek (jaka czcionka, jakie odstępy, pisownia, znaki polskie), wędruje do drukarni i dostaje się w ręce linotypisty. Ten na dużej klawiaturze, przypominającej maszynę do pisania, wystukuje tekst według maszynopisu. Za każdym uderzeniem, z magazynu linotypowego wypada przez specjalny otwór, odpowiadająca klawiszowi — ryta w mosiądzu litera, czyli tzw. matryca linotypowa. Gdy tak uzbierają się w podłużnej rynience (wierszownik) wszystkie litery stanowiące szerokość wiersza, na który jest nastawiony wierszownik, wtedy linotypista (przez naciśnięcie rączki) przesuwa je do formy odlewniczej, znajdującej się obok kociołka z ołowiem (darujcie czytelniczki te gospodarskie określenia — jak kociołek, rynienka, — ale przemawiają lepiej do niefachowca, jakim i ja jestem). Odlane w ołowiu czcionki — wiersze są automatycznie obcinane i układają się w łam (szpaltę). Równocześnie wyciąga się łapa (ramię dźwigu), i chwytając „pazurami" niepotrzebną już matrycę, unosi ją na tzw. pryzmat, zawieszając matryce linotypowe, które wprowadza do odpowiednich przegródek magazynu linotypowego wał rozdzielczy. Każda matryca wpada do właściwej przegródki, gdyż na matrycy są dopasowane dokładne nacięcia. Całość, to — dźwigi, wałki, śruby, śróbki, płyty kółeczka jak w zegarku i t. d. Jest to maszyna składająca się z kilku tysięcy drobnych i większych części. (Nie należy się dziwić, że wynalazca przed jej wykończeniem dostał pomieszania zmysłów).

Z linotypu wędruje „Ochotniczka" do zecerni ręcznej, gdzie złożone łamy-szpalty odbijane są na wąskich paskach papieru dla korektorki, skąd z poprawkami odbitki wracają z powrotem do linotypisty.

Następuje nowy zupełnie etap pracy. Człowiek działa bez współudziału maszyny. Ułożone w szpalty - łamy wiersze, które wyszły z linotypu, układa się ręcznie na szufli i metrampaż formuje strony (strona może być jedno, dwu, trzy i więcej łamowa) drukowanej „Ochotniczki". Teraz decyduje smak i pomysłowość redaktorki oraz fachowa znajomość pracownika — metrampaża. Trzeba się nieraz długo zastanawiać, jak pogodzić np. trzy zdania artykułu, które absolutnie nie chcą się zmieścić na poprzedniej stronie z wierszem i fotografią (klisza-ilustracja) o zupełnie odmiennej treści.

A z fotografią też nie jest prosta sprawa. Oddaje się ją do cynkografii, gdzie na płycie cynkowej robiony jest negatyw — klisza. Maszynista musi precyzyjnie podkleić spód drewniany takiej kliszy, aby

rys. K. Domańskiej

miała tę samą wysokość co do milimetra jak czcionki, bo w przeciwnym razie zamiast obrazu wyjdzie biała plama.

Gdy już wszystkie trudności zostały pokonane a wolne miejsca, które mają zostać białe (marginesy, odstępy i tp.) dokładnie co do milimetra wypełnione, wtedy przychodzi na „Ochotniczkę" moment „masażu". Całe strony przełamane, obwiązane sznurkiem zabiera pojedyńczo mały sprytny Augusto, lub Vittorio pod ręczną prasę korektorską. Kolumnę — czyli stronę powleka farbą, przykłada arkusz czystego papieru i przeprowadza duży walec. Pierwszy „brudno druk" tak zw. odbitka korektorska — jest gotowa, lecz toaleta naszej „Ochotniczki" jeszcze długo będzie

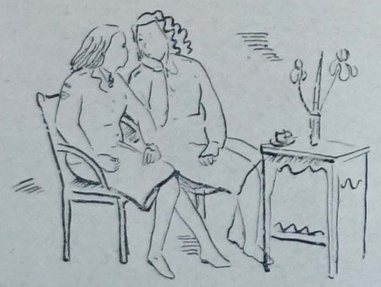

rys. K. Domańskiej

trwała. Przecież numer również składany był przez linotypistę - Włocha, nic więc dziwnego, że mimo dokładnej korekty błędy się pokazały, lub któraś czcionka jest za słaba i nie dokładnie odbita. Trzeba znów tekst poddać rewizji, skorygować czyli poprawić nowe błędy na linotypie. Brak choćby przecinka powoduje ponowne składanie całego wiersza (tj. linii). A wtedy, niestety, znowu zdarzają się błędy. Niech się więc czytelnicy nie oburzają na omyłki druku, pospolicie zwane „chochlikami drukarskimi", w naszych warunkach nie do uniknięcia.

Gdy krytyczny wzrok redaktorki spocznie na tak przygotowanej „Ochotniczce", gdy stwierdzi, że już „mniej więcej" dobrze — kolumny zjeżdżają po schodach na dół do hali maszyn.

Piekielny niemal warkot i stuk maszyn drukarskich miesza sie z rytmicznym szelestem papieru. Wzrok stara się zatrzymać na jakimś szczególe, lecz wszystko drga i porusza się bez przerwy. Dopiero po dłuższej chwili można wyłowić z tego chaosu szczegółu pracy, trzy zasadnicze ruchy: pionowy, obrotowy i poziomy. Pionowy — to ruch tłoka, podnoszącego specjalne urządzenie z papierem, który porywany jest przez ssawki, do których pompa tłoczy powietrze i równocześnie rozdmuchuje arkusze, nie dopuszczając do łączenia się razem. Równocześnie połączone z ssawkami ramię unosi się rytmicznym ruchem do góry i na dół, podając papier na cylinder (bęben - walec). Bęben ten spełnia tak samo rolę „masażystki", tłocząc papier na formy sklinowane na specjalnym fundamencie, który ma ruch poziomy. Następnie arkusz wydrukowany zostaje wyniesiony za pomocą taśm na deskę z drugiej strony maszyny i stamtąd zabrany do introligatorni, gdzie specjalna maszyna — falcowaczka — zagina arkusze na taki format, jaki otrzymują czytelnicy.

Oczywiście chcemy wiedzieć, skąd się bierze na wałkach farba drukarska. Otóż wałki nabierają mechanicznie farbę jakby łyczkami do specjalnych zbiorników umieszczonych na maszynie (drajwerkom przypominam jeden z systemów oliwienia) i rozprowadzają po powierzchni form czyli stron „Ochotniczki".

Tortury „Ochotniczki" mają się ku końcowi. „Złamana", wytłoczona na maszynie, jeszcze musi być równo przecięta ostrymi nożami, złożona i spięta metalowymi klamrami.

Numer jest gotowy. „Ochotniczka" wyrusza w świat za pośrednictwem Administracji Czasopism i Wydawnictw Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu, zaś w terenie zajmują się kolportażem powołane do tego odpowiednie komórki.

Myśl i ręce ludzkie, skomplikowany mechanizm maszyn, mało znany i często niedoceniany wysiłek pracownika Drukarni Polowej — złożyły się na to, że „Ochotniczka" dzieli się z Wami wiadomościami ze świata, z Kraju i bratnich oddziałów, naświetla wydarzenia, omawia problemy i tp.

Na zakończenie wspomnę, że Drukarnia Polowa wykonuje szereg stałych wydawnictw, oraz drukuje wiele książek, broszur i innych druków, zatrudniając kilkadziesiąt ludzi, w tym około 50% pomocniczego personelu włoskiego.

Redakcja Czasopism i Wydawnictw Wojskowych Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu spełnia ważne zadanie i jest bodaj najczynniejszą w tej chwili polską placówką wydawniczą na obczyźnie.

Jadwiga Majewska

NOWA KSIĄŻKA MELCHIORA WAŃKOWICZA

„Łatwiej pisać prozą niż wierszem. Stąd trudniej pięknie pisać prozą, niż wierszem". — ten pozorny paradoks, ukuty przez bardzo ciekawego i rzetelnego krytyka literackiego, Jana Stura, niezbicie potwierdza rzeczywistość. W sferze 2 Korpusu — we Włoszech i na Sr. Wschodzie bujnie rozwija się poezja. W prozie pięknej, pomijając nazwiska pisarzy, którzy przenieśli się na Zachód, na placu boju pozostał właściwie tylko Melchior Wańkowicz. Gdyby to nie był Wańkowicz, możnaby rzec, że w tej dyktaturze jego prozy mieszczą się zaczyny powodzenia i niebezpieczeństwa równocześnie. Niebezpieczeństwem byłaby pewność siebie i grymasy pisarskie. Jednakże Wańkowicz przypomina biegacza, który na bieżni walczy nie z przeciwnikami, a z czasem, z rekordem. Ogląda się tylko na swój stoper w dłoni.

Trudno byłoby mówić o „rozwoju" prozy Wańkowicza. Osiągnęła ona już dawno swój poziom — najwyższą linię współczesnych polskich stylistów. Chodzi o to, jak tę swoją sztukę pisania autor wykorzystuje, jak pomnaża ewangeliczne talenty, jak ze swych kamyczków składa mozaiki? A więc Wańkowicz jest przede wszystkim wzorem pracy pisarskiej. W czasach, gdy żołnierz polski daje ze siebie wszystko — trud i życie, politycy i pisarze powinni dać ze siebie całą moc swej pracy i talentu. A praca ta powinna być styczną do tych samych celów, co praca żołnierska. I oto właśnie Wańkowicz dotyka czułych nerwów bieżącej historii i nurtu najważniejszych spraw narodu. Jego bitwy o sprawę polską, to Wrzesień („Wrześniowym szlakiem"), Cassino (na ukończeniu, a częściowo już w druku), Rosja.

Właśnie ukazała się w drodze wielkiego rozmachu wydawniczego „Biblioteki Orła Białego" książeczka Melchiora Wańkowicza: „Dzieje rodziny Korzeniewskich". Dzieje tej zamordowanej przez odwiecznych wrogów Polski rodziny są pierwszym pamiętnikiem o losach cywilnych wysiedleńców polskich w Rosji. Niepodobna czytać tej książki inaczej, jak jednym tchem. Najpomysłowsze baśnie, najbardziej rozbujała fantazja nie umiałyby się tak wznieść w wymysłach okrucieństwa i nieludzkości, jak ta relacja prawdy. Autor tylko dobrał słów do wyrażania spraw, które dotąd wyrażane były jedynie łzami. Gdy się czyta „Rodzinę Korzeniewskich", oczekuje się chciwie w jej treści jakiegoś szczegółu jasnego, jakiejś chwili ulgi, choćby przelotnego promienia. Tymczasem zło i okrucieństwo wali się jak niepowstrzymana lawina.

Nasuwa się przypomnienie czyjegoś powiedzenia, że pół nieba, to będą święci polscy. Bo chyba ci wszyscy Korzeniewscy z Rosji, to posłańcy z nieba, aby światu ukazywać, gdzie jest piekło na ziemi. Ich straszna ofiara dla świata nie może pójść na marne, jak na marne nie może pójść krew żołnierza polskiego na wszystkich frontach kontynentu. Jedno i drugie — mękę i krew mają światu ukazać pisarze. Naszym tu obowiązkiem jest w językach całej Europy nieustannie tłumaczyć światu te prawdy polskie, świata i Boże.

Jest to opowiadanie ochotniczki, która przeżyła tragedię całej rodziny, by jako jedyna znaleźć się w szeregach ludzi wolnych. Główna bohaterka jej bolesnej opowieści, siostra Ola, nie przekroczyła już granicy do świata, w którym rosyjskie przeżycia są już tylko minionym dręczącym koszmarem.

* * *

Wańkowicz nie ma szczęścia do wydawnictw, mimo, że jego proza na jak najstaranniejszy druk zasługuje. „De profundis" wydała bardzo nieestetycznie i z rojem błędów prywatna firma wydawnicza, „Wrześniowym szlakiem" i obecnie „Dzieje rodziny Korzeniewskich" nakładem „Biblioteki Orła Białego" wydane są na sposób wojenny i z tym ostatecznie trzeba się pogodzić. Ale co innego papier i druk, czy okładka, a co innego niedbałość w korekcie i przeoczenie takiego np. szczegółu w „Korzeniewskich", że w „dzienniczku Oli" jego autentyczne fragmenty oraz słowa pisarza odbito jednakowym drukiem, co dezorientuje czytelnika.

Byłoby rzeczą ogromnie przykrą, gdyby wielkie dzieło Wańkowicza o Monte Cassino, dające w ogromnej ilości ilustracji stronę wizualną naszej ofiary, było potraktowane podobnie jak tamte książki. Żeby wydać dobrą książkę ilustracyjną, potrzeba zsynchronizować wiele czynników: papier odbitek fotograficznych, jakość klisz, jakość farby drukarskiej, dokładne podłożenie na maszynie, krój czcionek tytułowych, papier książki i tp. Te rzeczy nie leżą gotowe na rynku wojennym. Ale jak wskazują wydawnictwa obce z Włoch na te same tematy oraz polskie poszczególnych oddziałów Korpusu, można i dziś wydawać książki wspaniałe. A przecież to polskie dzieło o Cassino ma zostać nie tylko jako nasz dokument, ale i jako przywrócenie pamięci sojusznikom, którzy już zdali się zapomnieć o krwawej ofierze i trudnym polskim zwycięstwie.

Jan Bielatowicz

PRZEZ ZMRUŻONĄ SOCZEWKĘ

Po albumie rysunkowym „Montecassino" Z. Turkiewicza ukazał się album fotografii pt. „Żołnierz z Montecassino" w opracowaniu inż. Wiktora Ostrowskiego. Oba wydane zostały nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2. Polskiego Korpusu. Trudno oglądając, a zwłaszcza omawiając to drugie wydawnictwo nie pomyśleć i nie uwzględnić pierwszego. Jedno i drugie bowiem odnosi się mniej więcej do tego samego wydarzenia — dziś na wskroś historycznego.

Czym się więc najpierw różnią? Oczywiście przede wszystkim użytą techniką graficzną — nie w reprodukcji, bo ta jest jednaka, tu i tam rotograwiura, zresztą w tych samych zakładach „Novissima" wykonana — lecz w samym wątku artystycznym. Tam mieliśmy różnego rodzaju rysunek odręczny, tu mamy dość jednolitą w ujęciu foto-

Z albumu „Żołnierz z Montecassino"

Z albumu „Żołnierz z Montecassino"

grafię bromową. Tam jedna ręka artysty-malarza, tu siedem różnych obiektywów-fotografów. Oprócz W. Ostrowskiego bowiem, znajdują się zdjęcia A. Chruściela, inż. W. Hryniewicza, inż K. Hrynkiewicza, F. Maliniaka, inż. Olszewskiego i T. Szumańskiego.

Z tej różnicy wynikła dość paradoksalna konsekwencja. O ile pierwsza publikacja obejmowała także i uwzględniała dość obszernie okres przygotowawczy do decydującej bitwy, to druga mogła dzięki bogactwu materiału skupić się bardziej na samym jej terenie i następnym etapie — pod Piedimonte. Subtelizując, można by te różnice mnożyć dalej. Poprzestając na wyżej wymienionych, zastanowić się wypada nad tym, co te dwie publikacje zbliża do siebie.

Tu na pierwszym miejscu należy wspomnieć trudności w ujęciu tematu. Mowa o nich była już kiedy indziej *). Nazwalibyśmy je łącznie nieplastycznością nowoczesnej akcji wojennej, którą przezwycięża bodaj jedynie film lub fotografia lotnicza. Przy stosunkowo ograniczonych środkach technicznych fotografii naziemnej (sprowadzających się praktycznie do jakiejś „Leici", czy „Retiny") używanej za dnia, rysownik dysponujący siatkówką swoich oczu, połączoną z pamięciowym aparatem mózgowym, wydaje się nawet uprzywilejowany, gdyż może utrwalić i przerabiać doznane wrażenia w takich sytuacjach, w których płyta czy błona fotograficzna, jeśli nie jest po prostu ślepa, reaguje i ewentualnie deformuje w sposób bardzo prymitywny.

Przechodząc od kwestii technicznych do sprawy oceny czysto artystycznej, wypada oderwać się od porównań. Jeszcze bowiem przeciwstawić by należało tylko fakt, że artysta-rysownik ma tendencję do subiektywnego (indywidualnie-osobistego) sposobu ujmowania przekazywanych wrażeń i oddziaływania raczej elementami formalnymi, czysto artystycznymi; natomiast zwykła fotografia z pogranicza reportażu i klasycznie umiarkowanej fotografiki—pojętej jako wydobywanie środkami techniki wyłącznie fotograficznej urody ze zdejmowanego tematu — ma tendencje wybitnie obiektywizujące. Stara się ona oddać jak najprzejrzyściej i jak najwymowniej temat takim, jakim był w rzeczywistości.

Trzeba bowiem dopiero modernistycznego, awangardowego, jak się to nawet popularnie mówi „futurystycznego" podejścia do fotografiki, jako samodzielnej sztuki (w odróżnieniu od fotografii, jako kunsztu technicznego), aby osiągnąc ten stopień subiektywizmu, (o ile nie jeszcze większy) co subiektywizm właściwy rysunkowi odręcznemu, czy innej odmianie grafiki artystycznej, jak drzeworyt, akwaforta, miedzioryt itp.

200 kilkadziesiąt zdjęć na przeszło 100 planszach całostronicowych, z których składa się album fotograficzny, utrzymanych jest w jednej, najprostszej technice bromowej, co przed wojną, zwłaszcza w Polsce, gdzie kwitły oleje i gumy, uznano by za prymitywizm. Dziś, pod wpływem konieczności wojennych, ta właśnie technika bromowa przeżywa swój renesans i rozkwit. Wśród amatorów fotografiki powstał więc tu i ówdzie m. inn. we Włoszech — rodzaj „fanatyzmu bromowego". Uznano bowiem, że właśnie z tej techniki, jako czysto fotograficznej, należy wydobyć wszelkiego typu efekty — od miękkich rozproszeń, głębokich cieniów, pełnych blasków świateł i subtelnych smug świetlnych, aż po różne odcienie delikatności rysunku czy grafiki odręcznej i kontrastową precyzyjność grafionu kreślarskiego. Wszystko to przy zachowaniu jak najpełniejszego charakteru dokumentarnego, właściwego fotografii czysto reportażowej.

Ten typ ambicyj w naszych wojskowych poczynaniach fotograficznych przejawia się, jak dotychczas, dość nieśmiało, jakkolwiek pewnych jego zarodków dopatrzeć się można w niektórych zdjęciach krajobrazowych, rodzajowych, czy portretowych w albumie W. Ostrowskiego. Bardzo ostrożnie podchodzi się w nim nawet do zagadnienia oddania żywego ruchu techniką fotograficzną, zapewne dlatego, iż jest to nierozłącznie związane z zdjęciami, po części nie ostrymi, rusz[illegible]mi, niekiedy wzajem na siebie nałożonymi, co jest sprzeczne z klasycznie pojętą fotografiką. Umiar, charakteryzujący album pod tym względem, zapewni mu powodzenie powszechne. Unikając problematyki czysto formalnej, a za to podkreślając momenty opisowe, przemówi do najszerszych kół odbiorców.

Znamienną i pokrewną temu cechą albumu jest nadto nie tylko daleko posunięty obiektywizm, ale i wręcz pewna anonimowość w podejściu do tematu. Pomino bowiem zacytowania już tak licznych nazwisk współtwórców, do których dołączyć by można jeszcze pracowników laboratorium Referatu Fotograficznego Oddziału Kultury i Prasy, nie ujawniają się żadne indywidualności, poza — być może — osobą redaktora albumu. On bowiem, kierując doborem i opracowaniem materiału ilustracyjnego, nadał pracy swe piętno, podciągając wszystko do uznawanego przez siebie za właściwy, jednolitego poziomu. Dopatrzeć by się można tego w pewnym harmonijnym spokoju, występującym czy to w panoramach krajobrazowych, czy też w doborze póz fotografowanych żołnierzy przy pracy wojskowej lub w akcji, z nielicznymi wyjątkami bardziej dynamicznych zdjęć z działań pozorowanych, czy odtwarzanych.

Ta bezimienność rozciągnęła się i na obiekty zdjęć, wśród których nie wyróżniono poszczególnych oddziałów. Żołnierz z Montecassino jest żołnierzem nie z tej czy innej dywizji lub brygady, lecz po prostu żołnierzem 2. Polskiego Korpusu. Wartość dokumentarna albumu nie będzie przez to umniejszona, choć wrzawa bitewna oddana jest jakby z pewnym tłumikiem, miejscami niby szeptem w obliczu majestatycznej grozy masywu górskiego, to znów z jakimś niewzruszonym spokojem w potoku pogodnych promieni majowego słońca i kwiatów. Ze zrozumiałych względów więcej jest może w tych zdjęciach zmagania się ze skalistym stokiem, niż z samym nieprzyjacielem, nie mniej trud walki oddany jest wymownie, podobnie jak z prostym patosem przedstawiono „ostatni przegląd" dokonywany na cmentarzu poległych przez Dowódcę Korpusu, dziś Naczelnego Wodza, gen. Andersa.

Album poprzedzony jest zwięzłą historią klasztoru Montecassino i scenami z bitwy, charakteryzującymi żołnierza z Montecassino. Wstęp ten posiada właściwy, jędrny, plastyczny i miejscami dobitny styl doskonałego naratora, jakim jest Wiktor Ostrowski. Dopilnował on też starannej szaty drukarskiej wydawnictwa. Osiągnął w tym zakresie poziom, jeszcze rzadko spotykany, świadczący jednak, że rozpoczął się w naszych wydawnictwach nawrót do dobrych tradycji graficznych. Jeśli w tej benedyktyńskiej pracy nie zdołano zawsze opędzić się od chochlików drukarskiego, czy właściwie korektorskiego, to powiedzieć szczerze wolno pod adresem autora, unikającego konwenansów, że te drobne usterki z pewnością znikną w następnym wydaniu, przed którym się chyba nie zdoła obronić.

Ow

*) Art. pt. „Oczami artysty" — „Ochotniczka" R. II, nr 14, z listopada 1944 r., str. 20-22.

KRONIKA

Od Redakcji

Numer niniejszy „Ochotniczki" łączy się z rocznicą zwycięskiej bitwy 2 Korpusu pod Monte Cassino. Zamiarem naszym było dać w tym numerze obszerniejsze opracowanie poszczególnych działów pracy Pomocniczej Służby Kobiet. Jeżeli założenia naszego nie mogłyśmy całkowicie zrealizować, stało się to na skutek nie wypełnienia zobowiązań naszych współpracowniczek w terenie. Mimo to, po raz pierwszy omówiono dokładniej te działy pracy, które bezpośrednio związane były z akcją bojową 2 Korpusu.

Numer majowy naszego pisma, o dwukrotnie powiększonej objętości, zawiera ponadto artykuły treści aktualnej, beletrystykę i t.p.

Okładkę projektował Stanisław Westwalewicz. Rysunki w tekście — Zygmunta Turkiewicza, Krystyny Domańskiej, L. i Z. Haarów, Horowicza i Walentynowicza.

Cena
majowego numeru
„Ochotniczki" wynosi
50 lir.

Sprostowanie

W numeracji kwietniowej „Ochotniczki" zaszła omyłka, którą prostujemy: ma być—Nr 4 (19), a nie Nr 5 (20), który jest cyfrą porządkową bieżącego, majowego numeru.

Kurs dalekopisów dla Ochotniczek Łączności

W trosce o dalsze przygotowanie kadr technicznych, Dowódca Wojsk Łączności Korpusu zarządził zorganizowanie kursu dalekopisów. Zapytacie się, koleżanki, co to jest dalekopis? Jest to po prostu maszyna do pisania, lecz pisząca na odległość do 200 km. albo i więcej. Oczywiście, że technicznie to prosto nie wygląda i wiele lat upłynęło zanim staromodnego „Juza" przekonstruowano na najświeższej mody „Teleprinter". Ten sposób przekazywania wiadomości zdobył sobie przebojem prawo do życia. W Stanach Zjednoczonych jest do tego stopnia rozpowszechniony, że każdy bank i każda większa redakcja ma swoją stację dalekopisową.

Kurs korzysta z całej pomocy sprzętowej i instruktorskiej... Baonu Łączn. Tempo nauki jest prawdziwie „wojenne" i rozkład dnia wygląda mniej więcej następująco:

5 godzin — pisanie na wspólnej sali, czyli tak zwane „palcówki angielskie".

2 godziny — to samo, lecz już ćwiczenia indywidualne, pisanie dowolnych angielskich lub polskich tekstów poza specjalnymi godzinami zajęć.

1 godzina — regulamin służby ruchu.

1 - 1 1/2 godziny — język angielski, prowadzony przez podoficera brytyjskiego (z fachu cyw. nauczyciela).

W ten sposób do 10-ciu godzin dziennie słuchaczki pracują nad sobą i nie zaobserwowałam, by którakolwiek się na to skarżyła.

Praca jest jednak ciężka. Najwięcej trudności sprawia pisanie „na ślepo", to jest bez patrzenia na klawisze maszyny; dla pewności są one zresztą zalepione. Poza tym trzeba pisać wszystkimi 10-ciu palcami, a nie dwoma, jak to się zazwyczaj widzi u większości osób piszących na zwykłej maszynie do pisania.

Z kursu dalekopisów wypływa więc dla słuchaczek jeszcze dodatkowa korzyść. Stają się automatycznie bardzo biegłymi stenotypistkami.

Świadomość, że nie tylko staną się pożyteczniejsze dla Armii, ale także, że zdobywają sobie kawałek chleba na przyszłość, jest niewątpliwie czynnikiem pobudzającym słuchaczki do wytrwałej nauki.

Jedna z kursistek

Komitet Łączności Polskich Organizacyj Kobiecych w W. Brytanii

W końcu roku 1944 ukonstytuował się w Londynie Komitet Łączności Polskich Organizacyj Kobiecych w W. Brytanii, w którego skład weszły następujące organizacje kobiece:

1. Komitet Pomocy Warszawie
2. Polskie Stowarzyszenie Kobiet z Wyższym Wykształceniem
3. Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet
4. Koło Opieki nad Żołnierzem
5. Organizacja Harcerek Polskich
6. Zrzeszenie Absolwentek Aliancckich Kursów Opieki Społecznej.
7. Ośrodek Polskiej Y.M.C.A.

Zgodnie z brzmieniem przyjętej deklaracji, Komitet Łączności powstał „celem skoordynowania wysiłków stowarzyszeń kobiecych w W. Brytanii na rzecz sprawy całości, wolności i niepodległości Polski w chwilach, gdy byt Kraju i jego najświętsze prawa do niezawisłości i integralności są zagrożone".

Odznaczenia w P. S. K.

Krzyż Walecznych otrzymały: siostry P. C. K. Jaskułowska Julia, Małecka Halina, Wolff Felicja. Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami: kodtka komp. Tokarzewska Maria Janina, kodtki plut. Kozakowska Romana, Łagowska Aniela, siostry: Antoniewicz Helena, Grabska Irena, Jacewicz Anna, Lasko Helena, Lipska Irena, Nowak Stefania, Serwatowska Wanda, Ujejska Krystyna, Wyrzykowska Halina.

Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami: sierż. Abrahamowicz Stanisława, Pierzchalska Helena, Kawecka Helena, Niczyńska Maria, Oskierko Izabela, Mokrzycka Walentyna, Sulik Zofia, Kolęda Kornelia, Sienkiewicz Maria, Horodyszcz Maria, st. sierż. Wróblewska Bronisława, plut. Dziedziech Bronisława, Pałka Jadwiga, Parylewicz Jadwiga, Pszczółkowska Janina, kpr. Słaby Olga, Cwikowska Jadwiga, Golinowska Zofia, Gonczarczyk Irena, Podkowińska Janina, Porazińska Zofia, Strumidło Janina, Ziemba Janina, Dworakowska Bolesława Wanda, Delhołos Wanda, Duduś Maria, Waszkiewicz Anna, st. och. Libera Gertruda, Brodniewska Aniela, Kuciel Stanisława, Kuźniar Julia, Podhalicz Wanda, Rawska Helena, Tobiasiewicz Maria, och. Garwolińska Sabina, Ławrowa Seweryna, Marko Stefania, Słomiana Teresa, Daszkiewicz Anna Bronisława, Karpowicz Aleksandra, Majerczak Władysława, Nawoj Anna, Owanek Władysława, Podlewska Emilia, Prędka Maria, Puć Kazimiera, Puchalska Helena, Reutt Maria, Sarnecka Helena, Spalik Aleksandra, Wojtczuk Krystyna Irena, Majewska Leokadia.

Wykładowcy i słuchaczki kursu aplikacyjnego

Kurs aplikacyjny dla oficerów P. S. K.

W jednej z włoskich miejscowości odbył się czterotygodniowy kurs aplikacyjny dla oficerów P. S. K.

Dzięki staraniom Kierownictwa Kursu słuchaczki miały możność wzbogacić swoje wiadomości wojskowe. Wykłady były na wysokim poziomie. Obejmowały one zakres nie tylko związany ściśle ze służbą wojskową, ale omawiały także organizację rozmaitych instytucyj i służb wojskowych, jak np. Kultury i Prasy, Welferu i Oszczędności.

Ponadto zapoznały się słuchaczki z organizacją Pomocniczej Służby Kobiet od chwili jej powstania aż do okresu obecnego, we wszystkich jej fazach. Był również wykład o organizacji A. T. S.

Kierownictwo Kursu umożliwiło słuchaczkom zwiedzenie jednego z portów, oraz dużej Centrali Łączności, gdzie dzięki uprzejmości gospodarzy, miały możność zapoznać się z najnowocześniejszymi urządzeniami.

Słuchaczki otrzymały zaświadczenia z ukończenia kursu. Na zakończenie odbył się wspólny obiad wykładowców i słuchaczek, który zaszczycił swą obecnością gen. Sulik.

LISTY DO REDAKCJI

Kobieta - żołnierz

Szanowna Redakcjo! W dzienniku „Gazeta Żołnierza" Nr. 85 z dnia 22. IV. br. czytamy artykuł pt.: Kilka słów o... „pestkach". Używanie tego rodzaju terminu dla określenia tak zaszczytnej służby, jaką spełniają nasze rodaczki Polki — jest co najmniej już przestarzałe. Być może, że miało to rację gdzieś tam w Buzułuku czy Tatiszczewie, wówczas kiedy kobiety, nie znając służby wojskowej, istotnie stanowiły pomoc w tej służbie. Dziś po tylu latach twardej służby, jaką spełniają na równorzędnych stanowiskach z mężczyznami, nazywanie takiej służby pomocą, jest niezgodne z rzeczywistym stanem. Jakby się czuł żołnierz gdyby go po trzech latach nazywano rekrutem? Jeśli weźmiemy dla przykładu, że kobieta na stanowisku siostry w szpitalu spełnia opiekę nad rannym, czy chorym daleko lepiej niż mężczyzna, albo kierowczynie z Komp. Transp. nie gorzej od mężczyzn obsługują transport, to jasne, że to nie pomoc, lecz spełnianie samodzielnie służby na równi z mężczynami. Reasumując powyższe, uważam, że nazwa „Pomocnicza Służba Kobiet" powinna ulec zmianie na „Wojskową Służbę Kobiet". Kobieta jest żołnierzem, nie ulega to żadnej dyskusji. Spełnia tak samo, jak mężczyzna wszelkie powierzone jej funkcje. A jak jest traktowana? Żołd otrzymuje daleko mniejszy: czyż to nie jest krzywdzące? Jeśli kobieta wykonuje to samo zadanie co mężczyzna, to i żołd należałoby, wypłacać w wysokości takiej samej, jak mężczyźnie, tym bardziej, że kobieta ma daleko większe i to konieczne wydatki na osobiste potrzeby. A jeśli chodzi o służbę w Komp. Transp., służbę nadzwyczaj odpowiedzialną i ciężką jak na kobietę, to sądzę, że będę wyrazicielem przekonań wielu kolegów, jeśli powiem, że nie tylko należy wypłacać żołd na równi z mężczyznami, lecz każda kierowczyni winna być co najmniej w stopniu kaprala. To jest poważna funkcja i dlatego należałoby dać odpowiedni stopień.

W końcu apeluję do wszystkich kolegów o wykreślenie ze słownika określenia „pestki", gdyż taka nazwa nie tylko nie jest właściwym skrótem, lecz w ogóle niedwuznacznie nieprzyzwoitym określeniem charakteru służby.

Ogniomistrz W. H.

Nie zrażajmy się

Kochane Koleżanki! Chcę Wam opisać obrazek, który widziałam w czasie przygodnego pobytu w Redakcji naszej „Ochotniczki". Obrazek nie wisiał na ścianie i nie był kolorowy. Do redaktorki pani N. przyszedł tęgi siwy pan. W ręce trzymał plik kartek maszynopisu. Był w mundurze, jak i my, ale poznałam go. To nasz znany pisarz. Zwrócił się do p. N. — „przyniosłem pani mój rękopis do wykorzystania w „Ochotniczce". Niech pani z niego weźmie co uważa za stosowne i proszę przerabiać, jak pani będzie pasowało".

Jakto — pomyślałam — to on pozwala swobodnie przerabiać swoje utwory, a mnie przykro, gdy Redakcja zmieni jedno zdanie?

Musicie wiedzieć, że jestem początkującą „pisarką" i dopiero niedawno zobaczyłam mój pierwszy artykuł w „Ochotniczce"... obcięty. Dziś się już nie martwię i myślę, że i Wy zechcecie próbować dalej swych sił literackich, nie zrażając się, że coś zmieniono, dodano czy nawet może w ogóle początkowych prac nie wydrukowano. Więc piszemy dalej — prawda?!

Janina

List Polki-Amerykanki

Szanowna Redakcjo! Dwa egzemplarze miesięcznika „Ochotniczka" wychodzącego we Włoszech przysłano mi do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki do Mt. Clemens Michigan. Natychmiast jeden odesłałam do Polskiego miasta Hamtramck Mich, do biblioteki Polskiej, a drugi do Alumnów Polskich przy Swietlicy w mieście Detroit Michigan, gdzie Polonię liczą na przeszło 350.000 tysięcy.

Ja osobiście przesyłam swe serdeczne uznanie Naczelnej Redaktorce dr H. Naglerowej, jak również całej Redakcji i administracji, w tak trudnej i żmudnej pracy na obczyźnie. Lecz my Polacy musimy być wytrwali, silni i niezłomni, jak również niezmienni. Bądźmy dzielnymi i pracujmy wszyscy wspólnie bez różnicy klas. My tu Amerykanki polskiego pochodzenia musimy żyć z sobą w najlepszej zgodzie, i przez to bardzo dużo korzystamy. Każda musi mieć uśmiech na twarzy, pomimo iż pracują bardzo ciężko, gdyż w fabrykach od 8-miu do 10-ciu godzin dziennie, następnie po powrocie sprzątają dom, od 5-ciu do 8-miu pokoi, gotują, pieką, i to wszystko my Polki same bez pomocy wykonujemy, bo my tu służby domowej nie trzymamy. Jednak zawsze nasze kobiety są wesołe, miłe i sympatyczne dla każdego; czasami aż za wesołe i roześmiane, ale może klimat na nas tak działa.

Dziś właśnie dostałam list od kuzyna z 2 Korpusu A. P. z Włoch, który pisze: „Danusia musi być bardzo wesoła, gdyż na fotografii jej oczy i twarz są tak miło uśmiechnięte".

W numerze 15 „Ochotniczka" w odpowiedzi redakcji, niejaka Panna Michalina jest zasmucona, że marnuje swą młodość. Ale to nie jedna tylko p. M. U nas w Ameryce jest 3 miliony młodych panienek, dużo z nich zaręczonych, codziennie oczekują poczty, co im przyniesie nowego... Milczą, lecz ciężko pracują, kupują bondy, czekają cierpliwie na ukończenie tej rozterki po wszech świecie, a potem dopiero będą myślały o swym własnym ognisku. A ile mamy starszych panien, po 25 latach, i te cierpliwie czekają. Takie są Amerykanki, które żyją dla zwycięstwa tej strasznej wojny, żyją myślą i pracą, wysyłają codziennie listy i to jest całe ich zadowolenie osobiste.

P.S.K. są to dzielne i fizycznie silnie zbudowane Polki, jak można wnioskować ze zdjęć, są również pracowite, czynne, dla nich nie ma nic nie do wykonania, bez szemrań spełniają swe powinności. To już w naszej krwi dziedziczne.

U nas w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki życie wre, każdy jest pod wrażeniem, że już czas bliski zwycięstwa... lecz dużo jeszcze wody upłynie...

Obecnie mamy początki marca, dnie bardzo ładne, trochę słońca, lecz zimę mieliśmy tegoroczną dokuczliwą, gdyż od 10 grudnia do 2 marca trzymała zima z śnieżycami i silnymi zawiejami, lecz mamy nadzieję, wiosna nam dopisze, będziemy mieć wczesną wiosnę.

W Polsce są przysłowia na pogodę:

Jak się Wincenty w kożuch nie otuli,
Będziem na wiosnę chodzić w koszuli.

Albo:

Swięty Wojciech trawkę sieje,
Swięty Marek zeń się śmieje.

I takie jeszcze o maju:

Po mokrym maju,
Posuchy w czerwcu nastają.

Przyszły mi na myśl dawne czasy w kochanej Ojczyźnie naszej, lecz Bóg da, że powrócą i wkrótce będzie Wolna i Niepodległa Rzeczpospolita Polska

Za naszą ciężką pracę,
Za naszą przelaną krew,
Nic nie żądamy w darze,
Co nasze było, to ma naszym być.

Jestem żoną Weterana z pierwszej Wojny Swiatowej, również siostrą siedmiu braci w obecnej wojnie. Jeden z nich zginął w 1939 roku w Jaśle w Małopolsce. Nie miałam przez kilka lat żadnej wiadomości od swych najbliższych, lecz obecnie odnalazłam bratanka w 2 Korpusie Armii Polskiej we Włoszech, za co składam dzięki Najwyższemu.

Na zakończenie przesyłam wszystkim Rodakom i Rodaczkom, którzy mogą porozumieć się językiem kraju swego pochodzenia lub pochodzenia swych rodziców, swe najserdeczniejsze pozdrowienia.

Wanda z Dolińskich Otłowska

Mt. Clemens, 3 marca 1945 roku

Do Wolnej Polski musimy wrócić zewsząd

W rozwoju zdarzeń obecnej wojny jakąś linię logiki znajdą może w przyszłości uczeni historiozofowie. My zwykli śmiertelnicy, i niestety uczestnicy, świadkowie i zainteresowani — gubimy się w tragicznym zamęcie nie tylko wypadków ale odwróconych pojęć, wykoszlawionych idei, krzyczących załamań. Wojna ideologiczna, czy wojna interesów, wolność dla wszystkich, czy zwycięstwo siły, obalenie dyktatur czy wznoszenie dyktatur, solidarność czy egoizm, moralność czy polityka, moje czy twoje...

Przeciętny Polaku, uczestniku tej wielkiej zawieruchy, jeśli nie dla ciebie, to od ciebie zaczętej, uchwyć się na moment za jakiś punkt wyjściowy i próbuj rozumować. Polska, państwo suwerenne o 30 milionowej ludności przystąpiła w roku do wojny wespół z innymi aliantami. Polska padła, ale nie została pokonana, Polska walczy. Nie jest zwyciężona, bo nie są zwyciężeni alianci. Polskie wojsko walczy zwycięsko przy boku aliantów. A więc Polska istnieje.

To wszystko logiczne. I zaraz potem bij głową o mur: toczą się narady możnych tego świata na temat Polski, lecz bez udziału Polski, po czym na świat rozgłasza się decyzję: „stworzenie Polski mocnej, niepodległej". A więc Polski nie ma? Polska dopiero będzie?

Rzućmy logikę i rozumowanie. Nie my jedni byliśmy chwilowo pokonani w tej wojnie. Jest Francja, jest Belgia, są Czechy, bo żyje, istnieje naród francuski, belgijski, czeski... I dzięki Bogu, pomimo sprzysiężenia wszystkich mocy piekielnych, istnieje jeszcze wiele milionów Polaków. Ale istnienie Państwa Polskiego zagrożone jest nie tylko dlatego, że od początku tej wojny wszystkie zgodne, jakby umówione wysiłki wszystkich naszych wrogów idą w jednym kierunku — wyniszczenia ludności. Tu logika jest prosta i niezawodna: nie będzie Polski bez Polaków! Trzeba także przyznać, że na drodze do osiągnięcia tego celu zarówno Niemcy jak i bolszewicy posunęli się już bardzo. Nie krwawmy sobie raz jeszcze serca wyliczeniem, ile milionów zmarłych — wśród jakże strasznych cierpień — straciliśmy. Ale powtórzmy sobie raz jeszcze, że wszyscy oni, dzieci i bezbronni, starcy i kobiety, to nie tylko niewinne ofiary, to polegli w walce o istnienie Polski. Takiej, jaką pragniemy mieć my, a nie Stalin.

Polegli zasłużyli się Polsce, ale niestety, nie wrócą. Chcą i powinni wrócić przede wszystkim ci, którzy o powrót do ojczyzny walczą przez z górą pięć lat, bez żadnych wiadomości z domu i od bliskich — żołnierze polscy. Bramy oswobodzonej od wszystkich wrogów Ojczyzny muszą być dla nich szeroko otwarte, jak serca tych wszystkich, którzy na nich tam czekają. Potem sprowadzi się uratowane dzieci z tych wszyskich dalekich kątów świata: i z Afryki, i z Nowej Zelandii, zewsząd dokąd je zagnała dola tej nieludzkiej wojny, wojny przeciw Polakom. Potem wrócą wszyscy inni, rozsiani po tylu krajach, tylu krajom oddawszy zdrowie i siły... Im więcej ich wróci, tym mocniejsza będzie Polska. Polska nie może być ziemią bez Polaków, ziemią niczyją, jabłkiem niezgody, czy przedmiotem ugody, trudnym problemem, zagadnieniem dla obcych bez rozwiązania. Polska to ziemia, na której wzrósł, bytował, tysiącletnią kulturę stworzył i kontynuować ją będzie — naród Polaków.

Z. J. (jedna z uchodźczyń)

Złe przeminie, a my będziemy lepsi

Kochana Redaktorko! Czasami mam nieodpartą chęć gawędy ze starą wypróbowaną „wiarą". Ileż dałabym za rozmowę z Marszałkową! Kiedy jest się świadkiem tego wszystkiego, co się wokół dzieje, w świecie, na rynkach międzynarodowych, i wewnątrz nas samych, przychodzi myśl prosta: czemuż to szukać prawd po omacku, w chaosie nowych nieznanych przeżyć, mając te prawdy i wskazania w pismach Marszałka. Nic się nie zmieniło, wszystko jest stare, dobre. I aby dojść do tej żelaznej konsekwencji, trzeba było morza najdroższej, przelanej krwi, męczeństwa Narodu na miarę Chrystusową. Jeszcze są resztki, nieliczne zresztą, które szarpią tę linię niezawodną, resztki tak znikome, dla których nie tylko my, ale i świat ma pogardę.

Weź zdjęcie żołnierza niemieckiego z „Parady", który dostał się do niewoli. Zestaw tę twarz z twarzą któregokolwiek z naszych żołnierzy. Niemiec ma twarz gracza, który kładąc wszystko na jedną kartę — przegrał. Gra pozbawiona ideału — rezultat zieje pustką. Jakimże przeciwstawieniem jest oblicze naszego chłopca np. przy lufie działa. Najbardziej zaś mówiące są zdjęcia żołnierzy A. K. Bez natchnienia malarza, zwykły aparat fotograficzny utrwala prawdę żołnierza polskiego. Prawdę tak wielką, jaką się czyta w twarzy żołnierza wydobywanego przez Niemców z kanału, po kapitulacji Warszawy. Czy nie dość natchnienia w tej twarzy, aby starczyła dla milionów Polaków do nieugiętej wiary w naszą przyszłość?

Nie ma miejsca już wśród nas na przyziemne ideały, nie ma recept na zbawienie Kraju, może być tylko siła w jedności powziętej słusznej decyzji. Zarzucany nam przez świat romantyzm polski — nie przynosi nam ujmy. To pewnie będzie paradoks, bo w tej chwili, nie rozporządzamy nawet skrawkiem ziemi, a mimo to przecież stworzeni jesteśmy do wielkości. Patrzę i widzę jasno naszą przyszłość, taką o jakiej marzył Marszałek. Polskę, w której ześrodkuje się wszystko, co jest najwznioślejsze w Narodzie. My zaś, Siły Zbrojne za granicą, wkraczając do Kraju pozostawimy na progu wszystkie nasze małości, cały przyziemny charakter myśli o własnym losie. Wkroczymy do Kraju z tym szacunkiem i nabożeństwem, jakie towarzyszy przy wejściu do kościoła. Kraj to jest coś tak świętego, że tylko milczeniem hołd należny oddać jesteśmy w stanie. Na usługach Rzeczypospolitej jesteśmy, i Jej rozkazów słuchamy.

Musiałam się wypowiedzieć, potrzeba mi tego, żeby w sobie samej tę sprawę wyjaśnić, choć wiem, że złe przeminie, a my będziemy lepsi. Bywaj!

S. P.

TREŚĆ NUMERU

1. Zasady ideowe P. S. K. — *Z. Bohusz-Szyszko*
2. Geneza P. S. K. na terenie Z.S.R.R. . . . . — *Z. Bohusz-Szyszko*
3. Swietliczarskie serca — kantyniarskie ręce. . . — *Stefania Łomnicka*
4. Do generała Andersa . . — *Beata Obertyńska*
5. Dobra łączność to połowa zwycięstwa. . . . — *Jadwiga Majewska*
6. W walce o życie . . . — *Siostra*
7. W szpitalnej izbie przyjęć. — *Seweryn Ehrlich*
8. Atmosfera kobiecej opieki. — *Henryk Domaniewski*
9. Czarne berety. . . . . — *J. M.*
10. Praca społeczna P.S.K. . — *A. Łagowska*
11. Dzięki . . . . . — *J. Czechowiczówna*
12. W dniach bitwy o Monte Cassino . . . . . — *Maria Trojanowska*
13. Koncert . . . . . — *W. Bojcza-Babińska*
14. Nocny pochód . . . . — *Kazimierz Wierzyński*
15. Przypomnienie . . . . — *Juliusz Poniatowski*
16. Z „Króla Ducha" . . . — *Juliusz Słowacki*
17. Prawdy Monte Cassino i Bolonii. . . . . — *Jarosław Nagórski*
18. Wyrwane zagładzie. . . — *H. N.*
19. Do Polski . . . . . — *Jeanne Oterdahl*
20. Książka o instynkcie niepodległości . . . . — *Jan Szułdrzyński*
21. Na szóstym kilometrze. , — *Maria Kuncewiczowa*
22. W ludzkim „Repie". . . — *Melchior Wańkowicz*
23. Kaplica . . . . . — *Zofia Ilińska*
24. Kierownica, armaty i wiosna . . . . . — *Maria Weberówna*
25. Czołówka pod frontem . — *Ochotniczka Helenka*
26. Tam, gdzie się drukuje „Ochotniczka" . . . . — *Jadwiga Majewska*
27. Nowa książka M. Wańkowicza . . . . . — *Jan Bielatowicz*
28. Przez zmrużoną soczewkę. — *On*
29. Kronika.
30. Listy do redakcji.

WŁOCHY, 1945 r.

„Ochotniczka" ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: *Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu*
Redaktorka Naczelna: *dr Herminia Naglerowa*
Adres redakcji i administracji: *Polforces CMF 62*

„Ochotniczkę" nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2 Korpusu, w Oddziałach P.S.K., w Kantynach polowych, oraz Świetlicach

TŁOCZONO w DRUKARNI POLOWEJ

Cena 50 lirów